Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Franek Sterczewski dla „Wyborczej”: W KO panuje twarda hierarchia, ludzie się boją ▸4

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

WYSOKIE OBCASY

Urszula Dudziak: Cały czas płonę. Rozmowa Pauliny Reiter

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Jakie powody może mieć premier, by nie lubić Zbigniewa Jakubasa

Miliarder kontra Tusk

▸8

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 42>

Aleksander Kwaśniewski: Kaczyński to zrozumiał, a demokraci popełnili błąd ▸13

Konkurs Chopinowski Który fortepian wybrałby dziś Chopin? ▸26

Krystyna Demska-Olbrychska: Dziś muszę bardziej ważyć słowa ▸30

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

Sobota – czwartek, 18-23 października 2025 | Redaktor prowadzący Andrzej Kulasek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 243.11040, 1 Nakład 72 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 404822a087

Agnieszka Kublik

Pierwsze potknięcie prezesa

Bardzo dziękuję, że państwo tu dziś przyszli. Trzeba w tym trudnym czasie mówić tym, którzy rządzą: do widzenia! – grzmiał z mównicy Jarosław Kaczyński. Sęk w tym, że mało kto powiedział mu „dzień dobry". Na Placu Zamkowym w sobotę 11 października zgromadziło się zaledwie 10-15 tysięcy osób.

To nędzny wynik. Dwa lata temu, przed wyborami parlamentarnymi, na Marszu Miliona Serc, który zwołał Donald Tusk, przyszło może i z milion ludzi. Prezes PiS chciałby to powtórzyć. Nie teraz. Mimo to PiS na X zaklinał, że była „moc". Paradoksalnie ten wpis uświadomił... brak mocy. Wiecowej, bo sondażowa wciąż jest świetna – około 30 proc., tyle, co KO – ale pierwsze koty za płoty.

No dobrze, okoliczności Kaczyńskiemu nie sprzyjały. Największa obywatelska mobilizacja zaczyna się kilka miesięcy przed wyborami, a te dopiero za dwa lata. No i Tusk pokrzyżował prezesowi plany. Tuż przed manifestacją ogłosił, że Polski nie obejmą ustalenia paktu migracyjnego.

Jednym wpisem na X Tusk podłożył nogę marszowi PiS, namieszał między Kaczyńskim i Nawrockim oraz uszczypnął Hołownię

– Załatwione. Robimy, nie gadamy! – zaćwierkał premier na X. Tym jednym wpisem załatwił Kaczyńskiemu słabą frekwencję na marszu i wbił szpilę Hołowni, bo to on lubi gadać, że „robi, a nie gada". Oraz Nawrockiemu, bo tymi słowy Tusk zwrócił się do niego podczas pierwszej rady gabinetowej. Pokazał sprawczość i namieszał między Kaczyńskim a Nawrockim. Bo niektórzy twierdzą, że wyłączenie Polski z unijnych ustaleń to sukces prezydenta, gdyż napisał do Ursuli von der Leyen, że nie wyrazi zgody na wdrażanie paktu migracyjnego. A Kaczyński nazywa to wyłączenie „oszustwem". Czyli co, Nawrocki oszukał swojego mentora?

W lipcu prognozowałam, że Kaczyńskiemu marsz się uda, jeśli do października wzmożenie antyimigranckie będzie rosło. Nie urosło. Ale nikła frekwencja na antymigranckim spędzie nie znaczy, że lęki i niechęć do „obcych" się wypaliły. Socjologowie Sławomir Sierakowski i Przemysław Sadura szacują, że na antyukraińskich nastrojach można zgarnąć 5, a może nawet 10 procent! Dla Kaczyńskiego to „polityczne złoto". I nie złagodzi retoryki, bo o tych wyborców walczy z oboma Konfederacjami.

Ale jeśli ktoś ma skuteczne narzędzia, by z tym walczyć, to państwo. Czy po nie sięgnie? Co zrobi w sprawie Anastasii, 22-letniej Ukrainki, która od siedmiu lat mieszka w Polsce, a od kilku miesięcy pracuje w warsztacie samochodowym. I nie to, że nie potrafi – bo potrafi, i to świetnie – naprawiać auta. To jej paszport sprawił, że dostaje takie życzenia: „wyp... na Ukrainę".

Liczę, że państwo ustali autorów takich wpisów i ich ukarze. Przypadek Jurka Owsiaka, którego hejterzy zostali namierzeni i dostali zarzuty, udowadnia, że da się. ●

Polska
Górnicy na ulicy

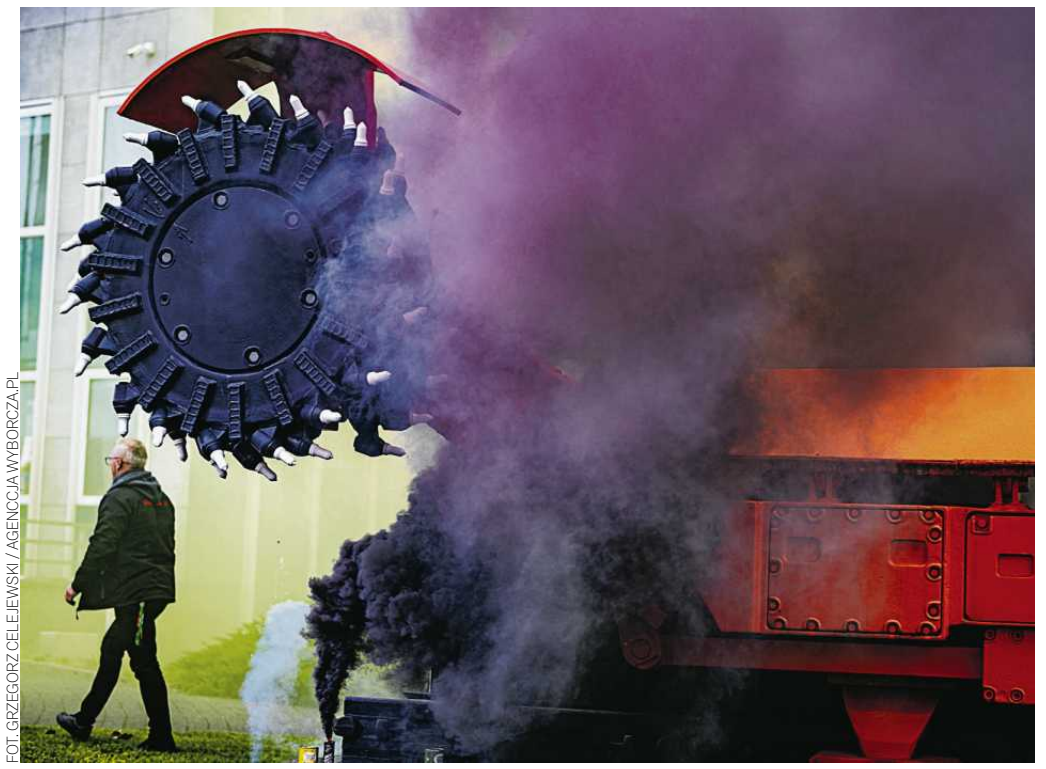

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kilkaset osób protestowało przed siedzibą Jastrzębskiej Spółki Węglowej w Jastrzębiu-Zdroju. Górnicy nie zgadzają się na cięcia płac, domagają się też objęcia pakietem socjalnym takim, jaki mają pracownicy pozostałych zakładów górniczych. „Walczymy o nasze kopalnie, bez nich tego miasta nie będzie" – mówili protestujący, do których dołączyli mieszkańcy miasta.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Naukowcy potwierdzili legendę
Posągi naprawdę chodziły po Wyspie Wielkanocnej

Wyspa Wielkanocna, zwana przez rdzennych mieszkańców Rapa Nui, należy do Chile. Na mapie to maleńka plamka na południowo-wschodnim Pacyfiku. Żyje tu niespełna 8 tys. osób.

Znakiem rozpoznawczym wyspy są moai – monumentalne kamienne posągi z charakterystycznymi głowami, wysokie nawet na 10 metrów i ważące dziesiątki ton.

Jest ich w sumie około 900, większość wyrzeźbiono między 1250 a 1500 rokiem n.e. Ale jak dotarły z kamieniołomu Rano Raraku do miejsc docelowych, czyli nawet kilkanaście km. I to bez użycia zwierząt pociągowych, metalu czy kół?

FOT. CARL LIPO

Miejscowe wierzenia głoszą, że przyszły same, dzięki boskiej mocy. Amerykańscy badacze z Uniwersytetu w Binghamton dowiedli, że coś jest na rzeczy. Przeprowadzili eksperyment za pomocą modelu posągu i okazało się, że ledwie 18 osób było w stanie przenieść posąg na 100 metrów w 40 minut, wykorzystując jedynie system lin przymocowanych po bokach i z tyłu figury. Uczeni kołysali nim na boki tak, że sprawiał wrażenie, jakby „chodził", choć w rzeczywistości ślizgał się po podłożu. Przesuwali go powoli, ciężar posągu przenosił się z jednego boku na drugi.

„Najtrudniejszy był początkowy moment kołysania. Kiedy już udało nam się wprawić nasz model w ruch, dalsze poruszanie jest łatwe" powiedział szef projektu, prof. Carl Lipo. ●

Joanna Bujakiewicz

• **Więcej na Wyborcza.pl/nauka**

Andrzej rysuje

Cytat tygodnia

Nic tylko się cieszyć, oglądać nas i wspierać

TOMASZ PIEŃKO
kapitan reprezentacji Polski U-21, po efektownej wygranej ze Szwecją 6:0 w el. ME

Liczba tygodnia

872

TYSIĄCE
– tyle według danych ZUS pracuje w Polsce emerytek i emerytów.

FOT. SHUTTERSTOCK

W ciągu ostatniej dekady ich liczba wzrosła o ponad połowę. W ubiegłym roku osoby z ustalonym prawem do emerytury, które wciąż pracowały, stanowiły 13,7 proc. ogółu emerytów, a jednocześnie emerytem był co dwudziesty pracujący. Z roku na rok rośnie liczba osób z prawem do emerytury, które nie porzucają pracy. Powodem są niewielkie świadczenia emerytalne, pogarszająca się demografia oraz niski wiek emerytalny. Dziś kobiety mogą odchodzić na emeryturę, mając 60 lat, a mężczyźni 65 lat.

• **Więcej na Wyborcza.biz**

2 RP

eprasa.pl 404822a087

Co z rozliczeniami? Aborcją? Przywództwem w Europie?

Mamy same atuty

Więc dlaczego w drugą rocznicę wyborów 15 października odczuwam taką frustrację

Wieliński

Miało być inaczej? Miało. Oczekiwaliśmy naprawy państwa zdewastowanego przez PiS: od stadnin koni po Sąd Najwyższy. Oczekiwaliśmy rozprawy z „misiewiczami", którzy zajęli lukratywne stanowiska w spółkach skarbu państwa, a ci najbardziej bezczelni nawet nie przychodzili do pracy, choć na ich konta co miesiąc spływały dziesiątki tysięcy złotych. Z tymi, co lekką ręką rozdawali umowne wille plus i tymi, którzy brali dotacje z państwowej kasy i je przejadali. Z cwaniakami, przekręciarzami, paradującymi z biało-czerwonymi opaskami.

Elektrownia Ostrołęka, wybory kopertowe, Pegasus i Hermes, 326 tysiące polskich wiz wydanych bez jakiejkolwiek kontroli mieszkańcom Azji i Afryki, miliardy na propagandę TVP Kurskiego – chcieliśmy rozliczenia szwindli i nadużyć władzy. Chcieliśmy po prostu prawa i sprawiedliwości. I końca arogancji władzy, czego symbolem byli Piotr Gliński czy Przemysław Czarnek. Końca porażającego braku kompetencji. Końca kłamstw.

15 października 2023 roku wydawało się, że Polska diametralnie się zmieniła. Przed wyborami PiS rzucił do walki o utrzymanie władzy wszystko, co miał.

Pamiętacie o powołanej na mocy Lex Tusk komisji, która pod kierownictwem Cenckiewicza miała w trybie administracyjnym orzekać o rzekomych powiązaniach polityków demokratycznej opozycji z Rosją i wykluczać ich z życia publicznego? Pamiętacie, jak Błaszczak ujawniał fragmenty supertajnych planów obronnych Polski? I twierdził na ich podstawie, że poprzednie rządy w razie wojny zamierzały wycofać się ze wschodniej Polski i oddać ją Rosji. Pamiętacie zwożonych na wyborcze pikniki PiS żołnierzy? Tysiące billboardów opłacanych przez spółki skarbu państwa?

W kampanię wciągnięto cały aparat państwa, nie licząc się z kosztami. Tłum stojący do nocy przed komisją wyborczą w podwrocławskim Jagodnie symbolizował triumf demokratów nad autorytarną partią. Miał być triumfem ostatecznym i jednocześnie dowodem, że Polska ma dojrzałe i potężne społeczeństwo obywatelskie. Napawałem się metaforą, że Polacy przez osiem lat PiS-u byli jak bezkształtna węglowa masa, który w wysokiej temperaturze i pod wpływem wielkiego ciśnienia krystalizuje i staje niezniszczalnym diamentem.

Późnym wieczorem 1 czerwca okazało się, że w najlepszym wypadku było to życzeniowe myślenie.

●

Klęska Rafała Trzaskowskiego – jak większość katastrof – była sumą drobnych, jak i kardynalnych błędów, efektem lekkomyślności, arogancji, wręcz pychy, ale też wydarzeń, na które polscy politycy nie mieli wpływu, jak chociażby wmieszanie się administracji Donalda Trumpa do kampanii wyborczej. Przyczyny tej kompromitacji polskich demokratów będziemy roztrząsać przez najbliższe miesiące, jeśli nie lata.

A w Polsce w tym czasie nic się nie zmieni. I nie chodzi mi tylko o status neo-sędziów, ambasadorów bez nominacji, pata w sprawie liberalizacji aborcji czy spodziewanych ułaskawień przez prezydenta Karola Nawrockiego polityków PiS, którzy w najbliższym czasie zostaną skazani. Polska nie pofrunie, chociaż przecież miała lecieć i to wysoko.

Najbardziej frustruje świadomość, że na własne życzenie pogrążyliśmy się w marazmie.

Miało być inaczej? Miało. Oczekiwaliśmy wysokiej dywidendy za trwającą 35 lat transformację, nagrody za lata wyrzeczeń, plan Balcerowicza i pracę na śmieciówkach albo na zmywaku na emigracji. Widzieliśmy Polskę jako dojrzałe państwo dobrobytu, państwo demokratyczne i praworządne, które pokonuje kolejne szczeble rozwoju, niewyobrażalne dla wcześniejszych pokoleń. Które nie tylko doścignęło Zachód, ale staje się dla Zachodu punktem odniesienia.

Walka z Tuskiem i Sikorskim będzie jeszcze bardziej zażarta. Bo to dla Nawrockiego, Kaczyńskiego, Mentzena i Bosaka jedyny wspólny mianownik

To nie były mrzonki, ten proces już trwa, Polska stała się 20. gospodarką świata i goni Wielką Brytanię. Wraca coraz więcej imigrantów, bo praca na obczyźnie nie tylko przestaje się opłacać. Polskie miasta zaczynają wygrywać z miastami Zachodu, jeśli chodzi o jakość życia. Tę zmianę już u nas widać. Chodzi o to, by ją utrwalić, przyspieszyć, rozciągnąć na cały kraj, a nie tylko na miasta. Sky is the limit, jedyną granicą miało być niebo.

Rząd demokratycznej koalicji miał potencjał, by nadawać Europie ton, by ją inspirować i zmieniać. Premier Donald Tusk na europejskiej scenie politycznej jest pierwszoplanową postacią, wicepremier Radosław Sikorski to słuchany na świecie głos europejskiej dyplomacji. Niewiele państw świata ma w ręku takie atuty.

A Polska do tego miała swoją wolnościową legendę. Mobilizacja ludzi, którzy w 2023 roku uratowali kraj przed wpadnięciem w autorytarną otchłań, automatycznie budziła skojarzenia z masowym charakterem Solidarności, która doprowadziła do obalenia w Europie komunizmu. Odsuwając PiS od władzy, Polacy udowadniali, że nie jesteśmy skazani na demontujących demokrację populistów, inspirowali Węgrów, dawali nadzieję Niemcom czy Francuzom przygniatanym coraz lepszymi wynikami skrajnej prawicy w ich krajach. Bo skoro udało się Polakom...

Tusk potrafi zresztą Europejczyków inspirować. Czołowi unijni politycy zbyt często wpadają w fatalizm, bezradnie opowiadają o głębokim kryzysie wspólnoty, widzą ją nad przepaścią. Tusk opowiada o europejskiej sile, o jej przewadze nad rywalami i przeciwnikami, o dodanej wartości, którą wytwarza wspólnota w każdej dziedzinie. Potrafi mówić stanowczo, w porównaniu do gładkich wypowiedzi jego kolegów z Zachodu czasami brzmi wręcz jak jastrząb, jak radykał.

Takiego przywództwa Europa w tych niepewnych czasach, gdy na wschodzie trwa rozpoczęta przez Rosję wojna, której płomienie coraz częściej dotykają naszego terytorium, a z Zachodu rośnie presja ze strony Ameryki Trumpa, bardzo potrzebuje.

Tym bardziej że stare filary wspólnoty kruszeją. We Francji kryzys polityczny trwa prawie od półtora roku, rząd, nie mogąc znaleźć większości w parlamencie, zawalił się już trzy razy, nad państwem zawisła wizja bankructwa. W Niemczech wielka koalicja chadecji i socjaldemokracji większość ma niewielką, partie są mocno skłócone, przetrwanie aliansu nie jest pewne. Na tym tle jeszcze niedawno Polska wydawała się oazą politycznej stabilności.

●

Dziś nasz kraj, pogrążony w politycznym klinczu nawet z Tuskiem, nigdzie nie pofrunie. Grozi nam, że nasze atuty zostaną roztrwonione, rozwój się zatrzyma, marzenie o wielkości stanie się tylko urojeniem.

A klincz będzie trwał. PiS ani Kancelaria Prezydenta nie są w stanie mimo usilnych prób rozbić rządu demokratycznej koalicji. Rząd nie jest w stanie odrzucać wet prezydenta. Jak na razie nie udało się wypracować kompromisu w sprawie nominacji dla ambasadorów, w zasadzie drugorzędnej, czy poluzowania rygorów budowy elektrowni wiatrowych. Jakakolwiek współpraca wydaje się niemożliwa, zostaje tylko podjazdowa walka.

Otoczenie prezydenta zaczęło ją od publicznego podkopywania międzynarodowego autorytetu Tuska i Sikorskiego. Kto na tym traci? Całe państwo. W takiej politycznej konfiguracji pole do zmieniania Polski dramatycznie się kurczy.

A wszystko to dzieje się w obliczu rosnącej globalnej nieprzewidywalności. Jeśli Polska nie będzie się rozwijać, będzie słabła, jeśli będzie słabła, jej głos przestanie być słyszany. To właśnie jest cena przegranych wyborów prezydenckich i wielu bolączek demokratycznej koalicji, które się do tej klęski przyczyniły.

Poprawiam sobie humor, myśląc, że nic nie jest przesądzone. Po wyborach nie doszło do tąpnięcia w sondażach, a Jarosław Kaczyński, co pokazała zeszłotygodniowa manifestacja przeciwko paktowi migracyjnemu i umowie z Mercosur, z trudem mobilizuje elektorat wokół – wydawałoby się żelaznych – tematów migracji i obrony rolnictwa. Kaczyński toczy też zażartą walkę o prymat na prawicy z przywódcami Konfederacji. Powstanie prawicowej koalicji po wyborach w 2027 roku nie wydaje się już takie pewne. Na tej łodzi jest za dużo wielkich politycznych figur, by utrzymała się na wodzie. To samo dzieje się w prawicowych mediach, rywalizujących ze sobą poprzez zbiórki pieniędzy wśród telewidzów.

Ale właśnie dlatego walka z Tuskiem i Sikorskim będzie tym bardziej zażarta. Bo to dla Nawrockiego, Kaczyńskiego, Mentzena i Bosaka jedyny wspólny mianownik.

Chciałbym móc z przekonaniem napisać, że ta złowroga koalicja przynajmniej konsoliduje polskich demokratów. Po tajnym, kunktatorskim spotkaniu Szymona Hołowni z Kaczyńskim w mieszkaniu Adama Bielana, nie jestem tego pewien.

Mało być inaczej? Miało. ●

Bartosz T. Wieliński

OGŁOSZENIE Kraj/34401850

Ambasador

Zostań *Ambasadorem* Gazety Wyborczej

Wesprzyj niezależne dziennikarstwo.

Dzięki Twojej pomocy będziemy mogli działać jeszcze skuteczniej.

Poznaj szczegóły na wyborcza.pl/ambasador

eprasa.pl 404822a087

WAŻNY TEMAT

CZEMU STARSI KOLEDZY NIE ROZUMIEJĄ

Franciszek Sterczewski: Roman Giertych ostatnio udawał, że mnie nie widzi, więc podszedłem i zapytałem: Roman, ręki mi nie podasz?

Z **FRANCISZKIEM STERCZEWSKIM,** POSŁEM KOALICJI OBYWATELSKIEJ ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak trafił pan na statek Flotylli Global Sumud, która płynęła do Palestyny?
– Odpowiedziałem na zaproszenie polskiej delegacji, która składała się z kilku stowarzyszeń. Te skontaktowały się z kilkoma posłami i posłankami, którzy solidaryzują się z Palestyną. Nie zastanawiałem się ani minuty i po sześciu tygodniach na morzu podjąłbym taką samą decyzję.

Jak wyglądało zatrzymanie przez izraelską armię?
– Byliśmy przez dobę trzymani na pokładzie w pełnym słońcu. Potem, w porcie, usadzono nas na ziemi w rzędach. Żołnierze zmuszali nas do klęczenia albo siedzenia w niewygodnych pozycjach. Jak ktoś spojrzał w górę, to był od razu upominany – albo komendą „głowa w dół", albo uderzeniem.

Wyrzucono wszystkie nasze prywatne rzeczy i symbole państwa palestyńskiego. Kobietom odbierano biżuterię. Jedna dziewczyna zwróciła żołnierzowi uwagę, że jej opaska nie ma palestyńskich kolorów, że to pamiątka od przyjaciela z Senegalu, który umarł. Ale zrywali z nas wszystko. Koledze połamali nawet gitarę.

Z przykrością przekonywaliśmy się, że Izrael stał się barbarzyńskim państwem terrorystycznym, takim samym niestety jak Rosja. Ale te nieprzyjemności są niczym w porównaniu z codziennością Palestyńczyków i Palestynek. Ludzie bez sądu trafiają do więzień, nawet dzieci.

MSZ opublikowało komunikat, z którego wynika, że służby konsularne spotkały się z panem i z innymi Polakami. Dlaczego nie przyjęliście pomocy?
– Przyjęliśmy kanapki ze smakiem i wdzięcznością. To był masz pierwszy posiłek ód dwóch dni.

To była jedyna pomoc, jaką oferował MSZ?
– Odwiedził nas konsul i prawniczka.

„Konsul RP w Izraelu spotkał się z trojgiem Polaków zatrzymanych na flotylli. Są bezpieczni i zdrowi, mają wsparcie prawne i medyczne. Odmówili dobrowolnej deportacji. Czeka ich rozprawa przed sądem w Izraelu. Zapewniamy pełną pomoc", tak brzmi cały komunikat. Dlaczego państwo odmówili deportacji?
– Bo moim obowiązkiem jako posła RP jest bronienie prawdy. Zostaliśmy zatrzymani nielegalnie przez Izrael na wodach międzynarodowych, wiele mil od stref objętych działaniami wojennymi. Następnie Izrael bezprawnie więził mnie przez pięć dni, a żołnierze zmuszali mnie do podpisania zeznań i oświadczeń, który miały potwierdzić ich wersję wydarzeń.

Miałem przyznać się do złamania prawa. Nie chciałem wchodzić w układ z terrorystycznym państwem, nie mogłem poświadczyć nieprawny. I oczywiście cieszę się, że odwiedził nas konsul i przekazał kanapki, ale...

To jakiej pomocy oczekiwaliście od polskich służb?
– Konsul był w porządku, ale to nie o nas chodzi, tylko o Palestyńczyków. Liczyliśmy na zrozumienie sytuacji i wsparcie od ministra Sikorskiego.

Co działo się dalej?
– Spędziliśmy pięć dni w więzieniu, co kilka godzin podsuwano mi pod nos kolejne dokumenty. Niczego nie podpisałem. Straszono nas, że bez przyznania się do winy nigdy nie opuścimy Izraela. W tym czasie na całym świecie wybuchły protesty w naszej sprawie, pojawiła się presja międzynarodowa i w końcu rząd Izraela postanowił nas wypuścić. Na koszt Grecji, której rząd wykazał się solidarnością, przedostaliśmy się do Aten.

A w Polsce usłyszałem, że minister Sikorski chce mi wystawić rachunek za deportację. Co jest po prostu wprowadzaniem w błąd opinii publicznej, bo o żadnych kosztach ze strony skarbu państwa ani przez moment nie było mowy. Przypomnę, że to my mu płacimy za bronienie standardów świata demokratycznego.

Czy jest pan pewien, że MSZ nie zrobił nic w sprawie pańskiego uwolnienia?
– Tak. Minister Sikorski, zamiast krytykować odpowiedzialnych za ludobójstwo, skupia się na mnie. Jasne, nasza akcja nie była idealna, ale tylko tego rodzaju zrywy są w stanie uwrażliwić ludzi na całym świecie na to, co dzieje się w Palestynie. Przez sześć tygodni apelowaliśmy o zaprzestanie ludobójstwa. Co w tym czasie robił minister Sikorski? Robił sobie żarty na Twitterze. Legitymizował to, co robi rząd Izraela.

Używa pan słowa „ludobójstwo". Czy jest odpowiednie do opisu tego, co się dzieje w Palestynie?
– Absolutnie tak. Jest zgodne z orzeczeniem ONZ, które wskazuje, że w Palestynie mamy do czynienia i z ludobójstwem, i ze świadomym głodzeniem Palestyńczyków przez rząd Izraela. ONZ zobowiązuje państwa i rządy z całego świata do prawnego przeciwdziałania tej sytuacji. W Palestynie są niszczone infrastruktura, szkoły, szpitale, mordowani są dziennikarze, lekarze, aktywiści w skali nieznanej w najnowszej historii.

Minister spraw zagranicznych zwrócił uwagę, że immunitet poselski obowiązuje tylko w kraju i że „nie ma zakładników na wymianę", gdyby dostał się pan do niewoli, a w sondzie na platformie X pytał, czy koszty związane z pańską ewakuacją powinien ponieść pan, czy państwo polskie. Jak pan skomentuje te słowa?
– Z przykrością mogę stwierdzić, że minister Sikorski zdecydował się zostać adwokatem Beniamina Netanja-

1 RP

eprasa.pl 404822a087

hu. Nadal mam nadzieje, że szef MSZ zmieni nastawienie do Palestyny.

Ale MSZ opublikowało komunikat, z którego wynika, że Polska popiera plan pokojowy przedstawionego przez USA. Resort liczy, że plan „będzie stanowić punkt zwrotny w procesie pokojowym i doprowadzi do zakończenia tragicznego kryzysu humanitarnego w Strefie Gazy". Słowa, że Radosław Sikorski jest rzecznikiem Netanjahu, nie są zbyt ostre?
– Nie, ponieważ rząd nie robi nic w sprawie Strefy Gazy. Powinien wziąć przykład z Hiszpanii, która nałożyła na Izrael sankcje, embargo na sprzedaż broni i produkty ze stref okupowanych, a Netanjahu uznała za takiego samego zbrodniarza co Putin. Dlaczego Radosław Sikorski w ONZ domaga się od prezydenta Rosji wzięcia odpowiedzialności za atak dronami, a w sprawie dronów, które atakują polskich obywateli oraz mienie, czyli statki płynące pod polską banderą umywa ręce? A w tym samym czasie uważa, że moim obowiązkiem nie jest obrona praw człowieka za granicą. To na jakiej podstawie oskarża na forum międzynarodowym Rosję o atak na Ukrainę?

Chodzi o konsekwentną obronę wyznawanych przez nas wartości.

Pańscy krytycy wskazują uwagę na to, że Hamas jest organizacją terrorystyczną, która dokonywała zbiorowych gwałtów na obywatelach Izraela, podkłada regularnie bomby, w którym giną cywile w Izraelu, że ma na sumieniu śmierć wielu dzieci.
– Sprzeciwiam się w takim samym stopniu temu, co robi rząd Izraela i co robi Hamas. Każda przemoc zasługuje na krytykę. Zawsze stoję po stronie ofiar cywilnych, niezależnie od ich narodowości czy wyznania.

Ale przyzna pan, że 7 października 2023 roku Hamas rozpoczął ten konflikt.
– Oczywiście wyrażam solidarność z wszystkimi rodzinami ofiar. Lecz pytanie o to, kto zaczął, jest nieistotne, ponieważ równie dobrze możemy szukać odpowiedzi w wydarzeniach sprzed 70 lat, kiedy Izrael zaczął prześladować Palestyńczyków. Od dekad Izrael prowadzi politykę apartheidu. Widzimy odmawianie Palestyńczykom ich podstawowych praw: do podróżowania, pracy, budowy domów. Wspólnie z innymi parlamentarzystami byliśmy kilka lat temu na Zachodnim Brzegu i widzieliśmy, w jak niegodziwy sposób są traktowani.

Ale ważniejsze jest coś innego: to, kto ma władzę, kto bombarduje Palestynę i ile ofiar pochłonęła ta wojna w Strefie Gazy.

Czyli równie dobrze staje pan po stronie ofiar Hamasu?
– Absolutnie tak. Każde życie jest tak samo cenne. Nie można nikomu odmawiać jego praw tylko ze względu na jego wyznanie, kolor skóry czy narodowość. Od lat biorę udział w akcji Żonkile, która upamiętnia Żydów, którzy zginęli w czasie powstania w getcie warszawskim. Pamiętam o wszystkich tragediach, których doświadczyła społeczność żydowska w Polsce. Więc z rozbawienie podchodzę do zarzutów o antysemityzm.

Czyli Hamas jest grupą terrorystyczną?
– Tak.

Więc popieranie Palestyny, której Hamas jest liczącą się reprezentacją, można nazwać popieraniem terroryzmu.
– Nie. Czy krytyka lub walka z IRA wiązała się z obwinieniem całego narodu irlandzkiego? Walką ze wszystkimi Irlandczykami? To, że na terenie jakiegoś kraju działa grupa terrorystyczna, nie oznacza, że wyraża zdanie całego społeczeństwa. Jasne, Hamas wygrał ostatnie wybory w Strefie Gazy, ale wzięła w nich udział tylko połowa mieszkańców. Nie można winić całego społeczeństwa za błędy takiej czy innej grupy politycznej.

Pojawiają się jednak głosy, że krytyka Izraela zwiększa społeczną niechęć do wszystkich Żydów, czyli uruchamia mechanizmy antysemickie. W Polsce, we Francji, w Niemczech, w całej Europie.
– Zadałbym to pytanie inaczej: czy wolno nam krytykować rządy? Czy krytyka Trumpa oznacza, że jesteśmy antyamerykańscy? Jeżeli jakikolwiek rząd czy lider państwa popełnia zbrodnie, należy je wyraźnie nazwać.

Ubolewam, że słuszna krytyka rządu w Tel Awiwie miesza się z haniebną antysemicką falą. Ale odpowiada za to rząd Netanjahu, a nie ludzie, którzy wyrażają solidarność z ofiarami konfliktu w Palestynie. Zadaniem państwa polskiego jest przeciwdziałanie tym zjawiskom.

Franciszek Sterczewski

• Rocznik 1988, poseł KO, inżynier architekt. Był aktywistą i radnym w Poznaniu. Za rządów PiS współorganizował protesty w obronie wolnych sądów i strajkujących nauczycieli oraz przeciwko „lex TVN". W Sejmie od dwóch kadencji (za pierwszym razem dostał ostatnie miejsce na liście i 25 tys. głosów, za drugim – był w połowie listy, dostał ponad 10 tys. głosów). Wbrew swojemu klubowi poparł Fundusz Odbudowy, głosował przeciw podwyżkom dla posłów i krytykował przyjęcie Romana Giertycha na listy KO, sprzeciwiał się ograniczeniu prawa do azylu i stanowisku wicemarszałka dla Krzysztofa Bosaka. Głośno zrobiło się o nim w 2021 r., kiedy uciekał przed pogranicznikami, próbując dostarczyć uchodźcom na granicy białoruskiej jedzenie i leki, a potem w 2022, gdy jechał nocą na rowerze, policja zatrzymała go do kontroli alkomatem, ale zasłonił się immunitetem.

Izraelscy żołnierze zmuszali nas do klęczenia albo siedzenia w niewygodnych pozycjach. Jak ktoś spojrzał w górę, to był od razu upominany – albo komendą „głowa w dół", albo uderzeniem.

A może rząd nie za wiele robi, ponieważ boi się antysemityzmu, który w Polsce łatwo się przyjmuje?
– Nie rozumiem tej logiki. Trzeba walczyć z antysemityzmem, z każdego rodzaju prześladowaniem mniejszości religijnej czy etnicznej. Po to mamy edukację, po to mamy muzea, kulturę, które wyposażając społeczeństwo w wiedzę, mogą walczyć z prześladowaniem jakiejkolwiek grupy. Nie można zakładać sobie kagańca cenzury i nie nazywać wprost zbrodni, jakie popełnia Izrael.

Pojechałby pan z podobną misją do Mariupola?
– Od początku wojny w Ukrainie jeżdżę z Poznania pod granicę z pomocą humanitarną. I tak samo, jak z Palestyńczykami, całym sercem jestem po stronie Ukraińców. Przed wylotem na Flotyllę świętowałem wspólnie z Ukraińcami mieszkającymi w Warszawie ich Dzień Niepodległości.

To pojechałby pan do Mariupola czy nie?
– Tak.

Pański kolega z klubu KO, poseł Jan Grabiec stwierdził, że pański udział we Flotylli był rejsem wakacyjnym. Inne osoby sugerowały, że nie odważyłby się pan na podróż do Ukrainy, gdzie nad głowami latają drony, które polują na ludzi.
– Nad naszymi głowami też latały drony, a nasz rejs został przechwycony na morzach międzynarodowych przez armię Izraela. Nie chodzi w tej sprawie o mnie, tylko o Palestyńczyków.

Dwa miliony Palestyńczyków nie ma dostępu do wody pitnej, jedzenia, medycyny, ochrona zdrowia znajduje się w kompletnej zapaści. Wszystkie operacje odbywają się bez znieczulenia. Jeśli na stole operacyjnym pojawia się dziecko, któremu trzeba amputować nogę, to umiera na zawał serca z bólu. Dlatego wieźliśmy leki przeciwbólowe, choć zdawaliśmy sobie od początku sprawę, że dostarczone przez nas paczki będą kroplą w morzu potrzeb. Zależało nam na otwarciu korytarza humanitarnego i na nagłośnieniu skutków ataku na Strefę Gazy. I wbrew temu, co twierdzi propaganda Izraela, to nie ONZ blokuje pomoc humanitarną, tylko izraelskie wojsko.

Zrównuje pan Rosję z Izraelem, ale Netanjahu nie najechał na Palestynę, tylko broni się przed Hamasem.
– Przyjmuję te argumenty, jednak sytuacja w regionie dawno przekroczył skalę obrony państwa, mamy do czynienia z czystką etniczną, mordowaniem ludzi. To nie jest obrona państwa, to jest kolonializm.

Koalicja Obywatelska sprzeciwia się prawu do azylu, krytykuje Zielony Ład, ogranicza 800+ dla ukraińskich dzieci. Nadal czuje się pan częścią tego środowiska politycznego?
– Tak, ponieważ znam oczekiwania naszych wyborców, dla których prawa człowieka nie są po prostu sloganem. Ludzie, którzy na nas głosowali, oczekują ich obrony. Niestety rząd zawodzi nie tylko w sprawie Palestyny. Nie poprawił sytuacji społeczności LGBT+, kobiet, osób z niepełnosprawnościami. Skutki? Wyborcy zostają w domach i wygrywa Karol Nawrocki. I ja ich rozumiem: po co mają się fatygować do urny, skoro rząd nie realizuje obietnic. Dlatego jestem w Sejmie i w klubie KO, by walczyć do skutku. Na to liczą nasi wyborcy.

I uważa pan, że łączą walkę o Palestynę z sytuacją osób LGBT+ w Polsce?
– To nie jest wybór albo-albo. Bycie demokratą w 2025 roku oznacza sprzeciw zarówno wobec antysemityzmu, jak i islamofobii, szowinizmu czy homofobii. Te wartości się nie wykluczają, ale uzupełniają i mają jeden mianownik, czyli szacunek oraz równość prawa i szans dla każdego.

Partyjni koledzy raczej nie stanęli po pańskiej stronie. Został pan obłożony karą za nieobecność na posiedzeniach Sejmu. Czuje się pan wypychany z KO?
– Nie. Znam procesy partyjne, które stoją za tymi decyzjami, wypowiedziami i milczeniem wielu kolegów. W partii panuje twarda hierarchia, ludzie boją się o miejsce na liście w kolejnych wyborach parlamentarnych.

Ja się nie boję, bo mogę robić różne rzeczy w życiu, wolę być szczery i wiarygodny wobec deklaracji, z którymi szedłem do wyborów niż dać sobie łamać kręgosłup tylko po to, żeby dostać się znowu do Sejmu.

Publicznie ujął się za panem Sławomir Mentzen, który namawiał rząd do reakcji na pańskie zatrzymanie. Zaskoczyła pana ta deklaracja?
– Nie, ponieważ wiem, że skrajna prawica chętnie wykorzystuje obecną sytuację do szerzenia nastrojów antysemickich i podtrzymywania ksenofobicznej narracji.

Konfederacja na dobre zajęła trzecie miejsce w sondażach. Ich wyborcy są do odzyskania?
– Pewna część. Ale chodzi o coś innego: o dotrzymywanie obietnic złożonych ludziom, którzy zagłosowali na nas w 2023 roku. I przekonanie ich, że za dwa lata głos oddany na Koalicję 15 Października nie będzie zmarnowany. Powtórzę: rząd i większość sejmowa nie zrealizowała takich obietnic jak liberalizacja aborcji i wprowadzenie związków partnerskich.

Przy poprzednim i obecnym prezydencie te obietnice i tak nie zostałyby zrealizowane.
– Mam tego świadomość, ale nasi wyborcy oczekują, że zrobimy wszystko, żeby wysłać na biurko prezydenta gotowe projekty ustaw. Wówczas wina spadłaby na Pałac Prezydencki, a nie na koalicję rządzącą. I dlatego Rafał Trzaskowski przegrał: rząd nie potrafił pokazać, że chce spełniać obietnice w sprawach światopoglądowych.

Narzekanie na rząd stało się ostatnio bardzo modne, a przecież renta wdowia została poprawiona, zwaloryzowano 800 plus, działa „babciowe", pieniądze unijne są odblokowane.
– Chodzi o sprawiedliwe recenzowanie rządu. Jeśli po wyborach w 2023 roku podjęto strategiczną decyzję, że nie tykamy tematów światopoglądowych, to przegrana Trzaskowskiego powinna być dla nas pobudką.

Prezydent Warszawy przegrał tylko o 300 tys.głosów.
– I powinniśmy to potraktować jako sygnał od wyborców, którzy zostali w domach. To głównie wyborcy z wielkich miast, którzy uczestniczą od lat w strajkach kobiet, w protestach dla wolnych sądów. To ludzie, którzy wykazali się potężną aktywnością obywatelską, doprowadzając do obalenia rządów PiS.

Przecież KO i sam premier Donald Tusk są za sprawami, o których pan mówi. Przeciwni są politycy z PSL.
– Zgadzam się, ale premier mógłby tupnąć nogą, gdyby chciał. Zarzuca się lewicy, że nie wpisała do umowy koalicyjnej twardego zapisu o liberalizacji aborcji. Z perspektywy czasu żałuję, że to nie był punkt zaproponowany przez KO, ale tu mam żal zarówno do swojego środowiska, jak i do siebie. Wydawało mi się, że jest to tak oczywisty priorytet, że nawet nie trzeba o tym mówić.

Krytycy takiego myślenia zarzucają panu czy lewicy oderwanie od codziennych problemów Polaków i Polek. Mówią, że prawa gejów to wielkomiejski wymysł, a rząd powinien dbać o portfele ludzi.
– Kawa nie wyklucza herbaty. I nie chodzi o jakieś teorie, tylko o życie, o bezpieczeństwo obywateli. Brak tych ustaw sprawia, że ludzie emigrują z Polski i chcą żyć w krajach, które szanują ich prawa, gdzie mogą czuć się bezpiecznie. Zagwarantowanie praw kobietom czy osobom LGBT+ wiąże się przecież z demografią, z którą nie jest za wesoło.

Błędem Trzaskowskiego i rządu jest skręt w prawo, a mówiąc konkretnie: oswajanie opinii publicznej z prawicowymi postulatami. Zwrot konserwatywny może przynieść wiele korzyści na krótką metę, ale na dłuższą będzie katastrofą dla demokracji i państwa. Nie chodzi o wynik kolejnych wyborów, tylko o to, czy kobiety będą miały pełnię praw, czy osoby tej samej płci będą traktowane na równi z innymi, czy mniejszości etniczne otrzymają gwarancje bezpiecznego życia. Rewersem tej wizji rozwoju jest sianie niepokojów.

Wróćmy do obietnic wyborczych. Wspólnie z Tuskiem opowiadał pan w czasie kampanii wyborczej w 2023 roku o wykluczeniu komunikacyjnym. Co się w tej sprawie poprawiło?
– To jest sprawa, z którą rząd sobie radzi. Ministerstwo infrastruktury wykonuje gigantyczną pracę na kolei, wra-

eprasa.pl 404822a087

cają połączenia między miastami, pociągi jeżdżą szybciej.

Ale PKS-y nie wróciły, a obiecywał pan to w kampanii.
– Pracujemy nad tym.

Od dwóch lat?
– Nie zaprzeczam. Rozmowa z koalicjantami jest trudniejsza, niż przewidywaliśmy. Niektórzy mają odmienne poglądy w sprawie połączeń autobusowych dotowanych przez państwo. Niemniej będę się upierał, że w infrastrukturze czy polityce mieszkaniowej rząd ma sporo sukcesów, dobrej woli, odpowiednich ludzi na stanowiskach i opracowane strategie.

Ale zgadzam się, że połączenia autobusowe wymagają jeszcze większej troski. Tak samo jak polityka rowerowa. Cały czas czekamy na dopłaty do rowerów elektrycznych.

Co pan robi jako poseł, żeby przekonać KO do swojej perspektywy?
– Rozmawiam, z kim mogę. Z różnym skutkiem, bo partie funkcjonują jak korporacje, w których szef ma zawsze rację. Więc nawet jeśli nie ma, to wszyscy mu przytakują. Ale to nie znaczy, że na dłuższą metę nie opłaca się w tej korporacji pracować. Dlatego uważam, że to jest moment, w którym polska polityka, rząd i moja partia muszą ponownie nawiązać kontakt ze swoją bazą wyborców.

Czyli z kim?
– Z ludźmi nie tylko w dużych miastach. Przy okazji każdej kampanii jeżdżę po gminach powiatu poznańskiego i przekonuję wszystkich, niezależnie od ich majętności, wykształcenia, wieku. Wystarczy spojrzeć, kto na nas głosował wcześniej, w jakich miejscach mogliśmy liczyć na sporo głosów, a kto nie poszedł do urn podczas wyborów prezydenckich. I tam po prostu pojechać, by przekonać się, że ludzie wciąż czekają na realizację wielu postulatów. Między innymi tych związanych z prawami człowieka.

Konserwatywna część KO ocenia, że pańskie poglądy są zbyt lewicowe.
– Znów – to nie chodzi o mnie, ale o naszych wyborców, którzy mają jasne oczekiwania w kwestii praw człowieka. A jeśli polityka nie potrafi tego dogonić, to moją rolą jest ją mobilizować, by dotrzymała tempa zmian społecznych. Tak rozumiem rolę posła.

Ci sami politycy mówią: nasza strategia się sprawdza, jesteśmy liderami sondaży.
– PiS też był i przegrał wybory. Zapatrzenie w słupki jest fetyszem, a polityka – mówię to panu do znudzenia – opiera się na realizowaniu obietnic.

Jakie jeszcze grupy straciła koalicja?
– Wolę to pytanie inaczej zadać: dlaczego moja koalicja nie wyciąga wniosków z błędów.

Po wyborach prezydenckich sporo rozmawiałem z politykami KO i słyszałem mantrę, że zawiodła komunikacja. Słyszałem: mamy sporo osiągnięć, ale nie potrafiliśmy się pochwalić, więc jak powołamy rzecznika rządu, to wszystko się zmieni. To myślenie magiczne, związane z poczuciem, że wystarczyło odsunąć PiS od władzy, a sprawy miały się same jakoś ułożyć. Znam tę perspektywę: uważamy się lepsi od prawicy i populistów, a wszystko, co było wcześniej wymyślone i realizowane, jest z góry złe.

Przykładem jest CPK. Przez blisko rok od wyborów chodziłem z tym tematem do wszystkich, którzy mieli związek z tematem i wpływ na premiera. Sam byłem jednym z tych, którzy krytykowali CPK za jego przeskalowanie czy brak konsultacji z mieszkańcami. Ale moment po wyborach parlamentarnych to był deadline do podsumowania i zamknięcia tej dyskusji oraz jasnej deklaracji: tak, budujemy CPK, ale lepiej niż poprzednicy. Mówiłem, że audyt to za mało, że w tak ważnej sprawie nie można dawać przeciwnikom pola do spekulacji i siania fake newsów. No więc zaczepiałem ministrów, posłów, doradców premiera i nic.

W końcu w czerwcu premier ogłosił, że CPK będzie budowane, tylko lepiej, bardziej realistycznie. Przekaz dobry, tylko spóźniony o pół roku. W tym czasie propaganda PiS wmawiała Polakom, że Tusk nie chce inwestować w rozwój polskiego transportu, tylko zależy mu na rozbudowie lotniska w Berlinie. A następnie temat wziął ma sztandar Karol Nawrocki podczas kampanii prezydenckiej, co przyczyniło się do jego zwycięstwa. To bolesna lekcja powinna mas uczyć, że temat rozwoju i transportu publicznego jest dla Polek i Polaków bardzo ważny i nie wolno tego lekceważyć.

Że niby wyborcy was opuścili przez odpuszczenie CPK?
– Nie doceniono pewnych tematów. W czasie kampanii, kiedy chodziłem z ulotkami po małych wsiach pod Poznaniem, musiałem przekonywać, że nie zabierzemy ludziom 500+. Mówiłem też, że będziemy kontynuować budowę CPK, choć w lepszej formule. Przez brak jasnej komunikacji w tych sprawach musieliśmy udowodnić, że nie jesteśmy wielbłądami.

A co z osobami, dla których ważna jest ekologia? Nie tylko odnawialne źródła energii, ale też ograniczenie praw myśliwych, ochrona praw zwierząt, zakładanie parków narodowych. Słyszę od takich ludzi, że o ich, jak to się mówi, agendzie zupełnie zapomniano.
– Podam przykład: w rządzie pojawiła się idea lasów społecznych, czyli terenów zielonych pod dużymi miastami, do których należałoby ułatwić dostęp mieszkańcom. Projekt prowadzi Ministerstwo Klimatu i Środowiska, podoba się dosłownie wszystkim, nikt nie zgłasza większego sprzeciwu, ludzie czekają na lepsze przystosowanie lasów do spacerów, uprawiania sportów. W dodatku wybrane lasy będą lepiej chronione przed wycinką. Słowem: prosta sprawa do załatwienia tu i teraz. Ale zamiast korzystać ze sprzyjającego klimatu i działać szybko, przeprowadzono szerokie konsultacje społeczne z udziałem ekologów, samorządowców, ale też Lasów Państwowych. I te słabo moderowane spotkania zamieniły się w publiczną kłótnię. Skutek? Zamiast zbliżyć się do konkluzji, zaostrzył się spór między stronami.

Więc tak, ludzie zainteresowani ekologią mogą czuć się rozczarowani.

To jeszcze jeden kamyczek, który wrzucają do rządowego ogródka ludzie tacy, jak Adam Wajrak. Nad rzeką Bóbr wycięto masę drzew pod instalacje Tarczy Wschód. To pana oburzyło?
– Z jednej strony musimy wzmacniać naszą obronę, ale z drugiej – znowu dotykamy tej nieszczęsnej komunikacji – dlaczego wojsko nie poinformowało ludzi o planowanej wycince i nie zaproponowano czegoś, co znamy z dużych miast, czyli nasadzeń zastępczych? Przecież od ponad dekady w Warszawie, Poznaniu czy Gdańsku, kiedy urzędnicy są zmuszeni wyciąć drzewa na trasie nowej linii tramwajowej, to sadzą w okolicy nowe sadzonki. Władza mogłaby wysłać jasny komunikat: nie lekceważymy potrzeb transportowych czy obronnych, ale też realizujemy postulaty ekologiczne.

Rozumiem, że wojsko ma taką specyfikę, że działa bez oglądania się na nikogo, że jest głuche na koszty społeczne, ale zabrakło tu wyczucia. Władza nie może traktować przedmiotowo ludzi. I znowu: może właśnie dlatego straciliśmy wyborców, ponieważ niewystarczająco tłumaczymy, nie potrafimy obronić swoich decyzji? Bo przecież ludzie lubią wysłuchać argumentów i w uczciwy sposób je ocenić.

Skoro jesteśmy przy granicy, to minister obrony narodowej zarzuca panu kłamstwo w sprawie śmierci żołnierza na pograniczu. Pan uważa, że młody sierżant zginął z powodów proceduralnych. Czytaj – z winy państwa, nie Białorusinów prowadzących na zlecenie Rosjan wojnę hybrydową.
– Ponieważ na tej konkretnej granicy nie jest przestrzegane prawo międzynarodowe. Żołnierze i pogranicznicy bez wyroku sądu wywożą pod granicę ludzi, często traktując uchodźców brutalnie. Jeśli więc procedury zostały zawieszone, to narażeni na niebezpieczeństwo są i migranci, i żołnierze. Jeśli działałyby tam zasady biorące pod uwagę prawa człowieka, to bezpieczni byliby i migranci, i żołnierze.

Władysław Kosiniak-Kamysz oczekuje od pana przeprosin i wycofania się z tych słów.
– Jeśli zostałem źle zrozumiany, to przepraszam, ale moja wypowiedź nie dotyczyła tego konkretnego przypadku, ale ogólnie sytuacji na granicy. Nikt nie podważa okoliczności tej tragedii. Zwracam tylko uwagę, że granica będzie realnie szczelna i bezpieczna, dopiero gdy będą na niej przestrzegane prawa człowieka.

Czy słowa ministra nie wpisują się w inne głosy, które pana od blisko tygodnia krytykują? Klub parlamentarny ukarał pana za nieobecność na głosowaniach.
– Wszystkie osoby, które mnie teraz krytykują, chcą się podlizać Sikorskiemu, który wyrasta na ważną osobę w partii i rządzie. Gdy minister wypowiada się w kontrowersyjny sposób na mój temat, to zachęca innych, którzy się ze mną nie zgadzają. A tak naprawdę, o czym już mówiłem, odcinają się od własnych wyborców, którzy oczekiwaliby zupełnie innego stanowiska od partii rządzącej.

Od młodych wyborców prawicy słyszę, że chcieliby mieć dobry szpital w okolicy, przystanek, z którego odjeżdżają autobusy, żeby nikt ich w pracy nie prześladował, a w szkole pracowali dobrze opłacani nauczyciele

I nikt pana nie broni w klubie? Nie ma więcej osób, które myślą podobnie? Bo z tego, co pan mówi, wynika, że widziałby KO jako partię liberalno-lewicową.
– Nie będę się bawił we wskazywanie, kto jest w jakiej frakcji. Interesuje mnie rozmowa o przyszłości kraju, a nie rysowaniu mapy grup, jakie tworzą się w KO.

Ale z konserwatystami pan rozmawia?
– Znajdę czas dla każdego, choć Roman Giertych ostatnio udawał, że mnie nie widzi, więc sam do zawołałem: co Roman, ręki nie podasz?

I podał?
– Podał. Choć wcześniej zablokował mnie na X.

Ja się nie obrażam, potrafię wyciągnąć rękę do każdego i zaprosić do rozmowy o tym, czego od nas oczekują wyborcy, wspólnie szukać rozwiązań, a jak trzeba, to przyznać się do błędu.

A jak rozmawia pan z chłopakami, którzy głosowali na Mentzena, to jakich argumentów używa, żeby przekonać ich do KO?
– To ciekawe, bo po powrocie z izraelskiego więzienia sporo takich młodych wyborców Konfederacji do mnie napisało albo podeszło na ulicy. Mówią, że w wielu kwestiach się nie zgadzamy, ale w sprawie Palestyny i udziału Polaków we Flotylli wyrażali zdecydowane poparcie. A więc sprawy międzynarodowe i równe traktowanie zbrodniarzy wojennych mogą być płaszczyzną dla nieoczywistych sojuszy. Stosunek młodych ludzi do tej sprawy jest jednoznaczny. Warto, by starsi koledzy spróbowali to zrozumieć, zamiast z tym walczyć.

I pan wierzy, że koalicja jest w stanie ich do siebie przekonać?
– Tak. Choć kluczowi są ci młodzi wyborcy i wyborczynie, którzy 1 czerwca, w dniu drugiej tury wyborów prezydenckich, zostali w domach, pojechali na wycieczkę, spotkali się ze znajomymi. Oni nie zmienili poglądów. Ta grupa znajduje się nadal w orbicie całej koalicji i o nią w pierwszym rzędzie musimy się zatroszczyć.

Jak?
– Nie ścigać się z postulatami z prawicą i Mentzenem, nie kopiować programu Konfederacji. Prawica zawsze będzie bardziej wiarygodna w swoich tematach. My musimy pokazywać, że mamy inną i lepszą wizję rozwoju Polski.

W czasie kampanii prezydenckiej zapytałem Rafała Trzaskowskiego, dlaczego nie ma programu dla młodych mężczyzn. Odpowiedział: a po co? Przecież oni i tak nigdy na mnie nie zagłosują. Pan mówi to samo.
– Ja z nimi rozmawiam. A młodzi ludzie nie zostali zauważeni w tej kampanii. Młode Polki są rozczarowane przez brak liberalizacji aborcji. Wielkomiejski elektorat jest wkurzony, bo nie ma związków partnerskich.

Jest jedna rzecz, w której populiści są dobrzy: potrafią używać platform społecznościowych do chowania swoich wad. Ale to tylko marketing. Gdy zajrzymy do środka, zobaczymy ofertę szkodliwą dla zdrowia i życia. Warto korzystać z nowych kanałów komunikacji, ale by promować dobre idee zamiast kopiowania antyludzkich narracji.

To nieprawda, że młodzi się nie interesują. Oni chcą być w kontakcie z polityką, ale politycy muszą ich traktować poważnie, a nie paternalistycznie.

A o czym mogliby im mówić?
– A o zdrowiu psychicznym, mieszkalnictwie, poprawie warunków pracy, rozwiązywaniu problemów w branży gastronomicznej, gdzie są wyzyskiwani ludzie, o nowych tramwajach i pociągach, bezpieczeństwie na drogach, likwidacji bezpłatnych staży.

Ale młodych wyborców Konfederacji to nie interesuje. Oni chcą zarabiać pieniądze i ograniczyć państwo do minimum.
– Ponieważ nie mają na stole innej oferty. Cały czas rozmawiam z młodymi wyborcami prawicy i słyszę, że chcieliby mieć dobry szpital w okolicy, przystanek, z którego odjeżdżają autobusy, żeby nikt ich w pracy nie prześladował, a w szkole pracowali dobrze opłacani nauczyciele. To nieprawda, że każdy z młodych wyborców Konfederacji chce zostać rekinem biznesu.

Wiem, że skrajna prawica terroryzuje nas wszystkich w internecie, ale świat wygląda inaczej, a Konfederacja nie ma żadnego poważnego planu na rządzenie. Po każdej takiej rozmowie ci młodzi zdają sobie sprawę, że tylko dobrze działające państwo będzie w stanie im zapewnić dobrą, bezpieczną przyszłość.

Kiedy spotka się pan z ministrem Sikorskim?
– Mam nadzieję, że jak najszybciej.

A czy widział się pan już z marszałkiem Sejmu? To w końcu pański szef.
– Byłem właśnie w sejmie na komisji infrastruktury i zaraz wracam na głosowania, więc mam nadzieję, że się zobaczymy.

Dzisiaj już wiemy, że obie strony konfliktu, czyli Izrael i Hamas, podpisały porozumienie o zawieszeniu broni w Palestynie.
– Cieszę się, że świat polityki reaguje na sytuację w Strefie Gazy. Niemniej traktat pokojowy, któremu patronuje prezydent Trump, jest grą pozorów. Wielokrotnie widzieliśmy – nawet w tym roku – jak Izrael łamał takiego rodzaju postanowienia, a zawieszenie broni natychmiast zamieniało się w kolejną falę zbrodni i bombardowań. Bez presji rządów i nakładania sankcji na Izrael, bez decyzji o budowie prawdziwego korytarza humanitarnego, nie uda się poprawić losu Palestyńczyków. ●

1 RP

eprasa.pl 404822a087

Tylko Polak zrozumie Polaka

Chopin należy do świata wewnętrznego i światu zewnętrznemu go nie oddamy. Obcokrajowcy nie powinni mieć tu nic do gadania.

Michał Rusinek

Oderwijmy się na chwilę od słuchania Chopina, bo wszyscy szepczą po kątach, a tylko jedna Marzena Nykiel odważyła się wykrzyczeć to głośno na łamach prowadzonego przez siebie portalu wPolityce.pl: ktoś próbuje nam ukraść Konkurs Chopinowski.

•

„Są w kulturze wydarzenia dla Polaków święte – rozpoczyna swój artykuł autorka książki *Pułapka gender. Karły kontra orły. Wojna cywilizacji.* – Z tego powodu trudno poddawać je krytyce, nawet gdy sprawa tego wymaga". A wymaga, bo Konkurs to „jedyna tak spektakularna okazja do promocji polskości", tymczasem „tej polskości jest coraz mniej" i „niezwykłe polskie wydarzenie zaczyna przeradzać się w kosmopolityczną imprezę świata zewnętrznego", bo na przykład „po raz pierwszy w historii przewodniczącym jury jest obcokrajowiec, a Polacy nie stanowią w składzie jurorskim narodowej przewagi" (byłbym ostrożny: w pierwszym Konkursie w 1927 w jury był tylko jeden obcokrajowiec, za to przedstawiciel Rzeszy; laureatem został natomiast reprezentant ZSRR).

Nie chodzi przecież o muzykę, ale o polskość. Chopin był może i kompozytorem, może i genialnym, szeroko znanym w świecie, ale przede wszystkim był Polakiem, więc oceniać wykonania jego utworów mogą wyłącznie Polacy. Jedyne właściwe interpretacje jego utworów to interpretacje do cna polskie. Obcokrajowcy nie powinni mieć nic do gadania.

•

Pisze dalej Nykiel: „Jawi się irytujące pytanie, dlaczego – skoro jury składa się z laureatów dotychczasowych edycji Konkursu Chopinowskiego – nie ma w nim Krystiana Zimermana". Oraz dlaczego „w oprawie konkursowej nie ma ani śladu polskich symboli", czemu „okolice Filharmonii Narodowej są rozkopane i brudne, a pomnik Fryderyka Chopina w remoncie" wreszcie fundamentalne: dlaczego „prawa do wydań płytowych laureatów ma niemiecka wytwórnia Deutsche Grammophon"?

„Od pytań aż iskrzy" – podsumowuje pani Nykiel, ale ważniejsze są odpowiedzi, a ściślej jedna: Konkurs Chopinowski ukradli nam Niemcy! Śledztwo pani Nykiel wykazało, że „niemiecka wytwórnia" od pewnego czasu współpracuje z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina.

Wyniki śledztwa kolportuje już Robert Bąkiewicz, w którego komentarzu pojawiają się takie określenia jak „satelicka polityka", „relatywizacja polskości" i „regermanizacja tożsamości kulturowej naszego kraju". Użycie przedrostka „re-" albo oznacza, że Bąkiewicz wie coś, czego my nie wiemy: że Chopin pierwotnie był Niemcem, następnie został spolonizowany, a teraz przywraca mu się germańskość, albo że Bąkiewicz nie wie, kiedy stosuje się ten przedrostek.

•

Pani Nykiel w pewnym momencie konstatuje, że „od pewnego czasu widać konsekwentne odzieranie Konkursu Chopinowskiego z polskości", na scenie nie ma „ani polskiej flagi, ani też popiersia Fryderyka Chopina". A przecież na widok rzeczonego popiersia każde dziecko na świecie zawołałoby: o, Polak! Cóż, nieszczęście naszego narodu polega na tym, że największy polski kompozytor miał francuskie nazwisko (pani Nykiel surowo przypomina, że Chopin „podkreślał swoją polskość i stanowczo przypominał o niej innym"; aż dziw, że nie nawołuje ona, by jego nazwisko, jak w czasie pierwszego Konkursu, pisać „Szopen").

Nieświadomie natomiast pogłębia ona nasze narodowe nieszczęście wspominając „najsławniejszego polskiego chopinistę", skandalicznie nieobsadzonego w roli przewodniczącego jury, który nosi niestety nazwisko pochodzenia niemieckiego, czy też śląskiego, oraz „wybitnego polskiego pianistę", który – jak przypomina z dumą – w 1945 roku odegrał hymn Polski w czasie słynnej konferencji ONZ i który – co za pech! – był Żydem polskiego pochodzenia.

W dodatku komentatorzy tegorocznego Konkursu posługują się ponadnarodową kategorią „nasi europejscy pianiści", a w samym Konkursie występują osoby pod flagą neutralną oraz reprezentujące dwa kraje na raz: Japonię i Koreę, Polskę i Wietnam, Polskę i USA oraz Polskę i Izrael. Domyślam się, że dla antykosmopolitycznych prawicowych publicystów jest to sytuacja wysoce niekomfortowa pod względem poznawczym.

•

Wróćmy do dzisiejszej Warszawy, gdzie nie tylko na scenie Filharmonii, ale nawet w Łazienkach Królewskich nie można zobaczyć pomnika Chopina, bo Rafał Trzaskowski zasłonił go brezentem. No, może nie on sam, tylko dyrektorka Łazienek Marianna Otmianowska, ale „Rafał Trzaskowski sprawę ignoruje", a przecież „wstyd patrzeć, jak dziś wyglądają okolice Filharmonii Narodowej". Wniosek jest jeden: „tak ordynarne nieprzygotowanie miasta na chopinowskie święto muzyczne, to nie tylko blamaż. To niedopełnienie obowiązków, które powinno zakończyć się dymisją".

Tymczasem, rozmarza się pani Nykiel, w 1901 roku, kiedy „w Polsce wymazanej z map świata" wybudowano „z woli narodu" Filharmonię Narodową (tak naprawdę była to Filharmonia Warszawska, aż do 1955 roku) – było zupełnie inaczej. Bo na inauguracji Ignacy Jan Paderewski zagrał własny koncert fortepianowy oraz utwory Chopina.

No ale nie było wtedy państwa polskiego, a więc i „polskiego ministerstwa kultury. A jednak kultura kwitła, wielkie dzieła powstawały, a Polacy nie ustawali w przekazywaniu polskości" – zauważa pani Nykiel, a my nie wiemy, czy skupiać się na podejrzanej składni tego zdania (czasowników na końcu nie stawia się w języku polskim), czy na logice relacji między ministerstwem kultury a kulturą, czy na tajemniczym „przekazywaniu polskości", które brzmi jak nieudolny przekład z obcego języka. Powstrzymajmy się od pytań, z jakiego. I wróćmy po prostu do słuchania uczestników i uczestniczek tegorocznego Konkursu. ●

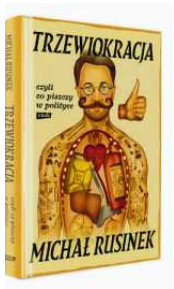

• Felietony Michała Rusinka z lat 2023-2025 w książce „Trzewiokracja" wydawnictwa Znak

„Bóg, donos, ojczyzna"

Donos, nawet ten ubrany w język patriotyzmu, rozsadza tkankę społeczną. Zastępuje dialog karą, a wspólnotę – nieprzejrzystością i strachem.

Marcin Matczak

Nie ma nic bardziej wzruszającego niż widok prawicowca, który jeszcze wczoraj krzyczał o polskim papieżu, polskim węglu i polskim niebie, a dziś siada do laptopa i pisze do Donalda Trumpa, żeby ten zrobił u nas porządek.

Jakub Wiech, polski dziennikarz i specjalista od energetyki, miał wziąć udział w ważnym amerykańskim programie edukacyjnym organizowanym przez Departament Stanu, ale ostatecznie cofnięto mu zaproszenie. Dlaczego? Bo ktoś doniósł Amerykanom, że Wiech nie lubi Trumpa i krytykował prawicowych polityków.

I nie ma znaczenia, czy wpis prawicowego dziennikarza, kierowany do amerykańskiego ambasadora, rzeczywiście zaszkodził Wiechowi. Znaczenie ma to, że taki wpis w ogóle powstał i co mówi o prawicowym donosicielstwie. A mówi, co następuje: jeśli jakieś działanie innych jest grzechem, to gdy dokładnie to samo robi prawica, ten grzech staje się cnotą.

„Nowak spod piątki..."

Pamiętacie, jak europoseł Tarczyński z dumą informował Polaków po wygranej Trumpa, że nowy prezydent ma na bieżąco dostarczane informacje o tym, co na jego temat piszą i mówią politycy KO? Jak rozumieć tę radość z donosicielstwa? Może jako hipokryzję piszących donosy w PRL? „Nowak spod piątki słucha Wolnej Europy" – i piszącemu wydawało się, że od razu jest jasne, kto wierny, a kto zdradza. Tylko że było odwrotnie.

A może jako sygnalizację cnoty? Donosy często zaczynają się tonem pobożnym: „Z bólem serca informuję...", „Nie mogę milczeć wobec faktu...". To język pokory podszytej rozkoszą: ja rozumiem moralny porządek świata, więc jestem zobowiązany go naprawić, skarżąc, komu trzeba.

Donosicielstwo prawicy jest wzniosłe. Donosicielstwo innych jest podłe. Na przykład skargi do Brukseli na rząd PiS, który niszczył praworządność czy pytania prejudycjalne polskich sędziów, słane do TSUE.

Doprawdy? Ten, kto uznaje skargę do sądu czy pytanie prejudycjalne za donos, jest jak człowiek, który ofiarę przemocy domowej karci, że nie pierze brudów we własnym domu. Ci, którzy korzystają z przyznanych im praw, nie donoszą. Nie biegną do „pani", nie szukają karzącej ręki, tylko stosują dojrzały mechanizm dialogu. To fundamentalna różnica między wnioskiem a donosem.

Emocjonalny samokolonializm

Wniosek zakłada wiarę, że istnieje wspólna przestrzeń, w której można się spierać. Donos zakłada dziecięcą bezradność – przekonanie, że ktoś silniejszy musi przyjść i zrobić porządek. Bo w jakiej procedurze będzie rozstrzygany „donos" do Trumpa? W którym momencie politycy KO albo Jakub Wiech będą mogli się przed autorytetem gniewu Trumpa wypowiedzieć? Rząd PiS przed TSUE miał taką możliwość – ba, sam nawet składał tam skargi.

Piszący do TSUE mówi: „Rozstrzygnijmy to zgodnie z prawem". Do Trumpa: „Ukarz ich, bo są źli". I żąda sądu kapturowego.

To właśnie dlatego zestawianie obu gestów jest tak absurdalne. Pierwszy buduje wspólnotę prawa, drugi ją rozsadza. Pierwszy działa w imię zasad, drugi w imię zemsty. Pierwszy jest aktem odpowiedzialności, drugi – agresją, przed którą nie można się bronić.

Co najważniejsze: przez skargi do Komisji Europejskiej i pytania do TSUE Polska nie traciła suwerenności – przeciwnie, korzystała z niej w sposób dojrzały, bo sami taką opcję w naszych ustawach przewidzieliśmy. Przecież sam PiS i jego ludzie, ostatnio prezes TK Bogdan Święczkowski, pisali do organizacji międzynarodowych, że sądownictwo jest w Polsce nękane. Abstrahując od faktu, że list Święczkowskiego jest to skarga na policjanta, że przekracza prędkość, kiedy ściga złodzieja, sam fakt korzystania z takich narzędzi, które nagle nie są prawicy obrzydliwe, pokazuje ich hipokryzję.

Donos do Trumpa nie jest przewidziany w naszym prawie, uchwalonym suwerennie przez dumny polski naród. Dlatego to, o czym pisał Tarczyński, i to, co zrobiono w sprawie Wiecha, jest emocjonalnym samokolonializmem: oddaniem suwerenności, byle ktoś pochwalił.

Prawicowy donosiciel nie informuje – on wyznaje wiarę. Prosi, by ktoś silniejszy przywrócił porządek. Bo polska prawica, która przez lata krzyczała o suwerenności, w istocie tęskni za Ojcem. Ogłasza niezależność, ale podświadomie pragnie zewnętrznego autorytetu, który powie, kto jest dobrym dzieckiem, a kto złym. Prawicowy donos w czystej postaci to modlitwa do taty o karę dla brata.

Polska prawica jak przedszkolak

Dlatego te prawicowe donosy mają w sobie coś dziecinnego. Nie politycznego, nie ideowego – po prostu przedszkolnego.

Nie ma tu żadnej racji, żadnej sprawy – tylko emocjonalna potrzeba uznania.

To jest istota donosicielstwa: nie szuka prawdy czy sprawiedliwości, nie szuka u wyższej instancji rozwiązania jakiegoś problemu. Szuka tylko błogosławieństwa autorytetu za bycie lizusem. Prawicowy donosiciel niczego nie broni, nie realizuje żadnej wartości, nie walczy o nic – chce tylko zaszkodzić innemu, a sobie zasłużyć na dobre słowo – „jesteś lojalnym poddanym".

Donos, nawet ten ubrany w język patriotyzmu, rozsadza tkankę społeczną. Zastępuje dialog karą, a wspólnotę – nieprzejrzystością i strachem. Donosiciel nie ufa już instytucjom ani procedurom; ufa tylko sile tego, do kogo pisze. Każdy taki list to mały akt rozpadu państwa prawa – i zarazem jego karykatura. Dlatego ludzie, którzy mówią najgłośniej o „zdradzie narodowej", w istocie zdradzają najwięcej: zdradzają ideę dorosłego, samodzielnego państwa.

W ten sposób polska prawica, która tyle krzyczy o suwerenności, pokazuje, że tak naprawdę ma ją w nosie. To nie tylko zdrada Polski, lecz zdrada dojrzałości. Infantylizm przebrany za patriotyzm. „Bóg, donos, ojczyzna" – tęsknota prawicy za pasem i za pogłaskaniem po główce, kiedy już ten pas spierze innego. ●

1 RP

eprasa.pl 404822a087

KRAJ

SZYBKI POCIĄG *na podsłuchu*

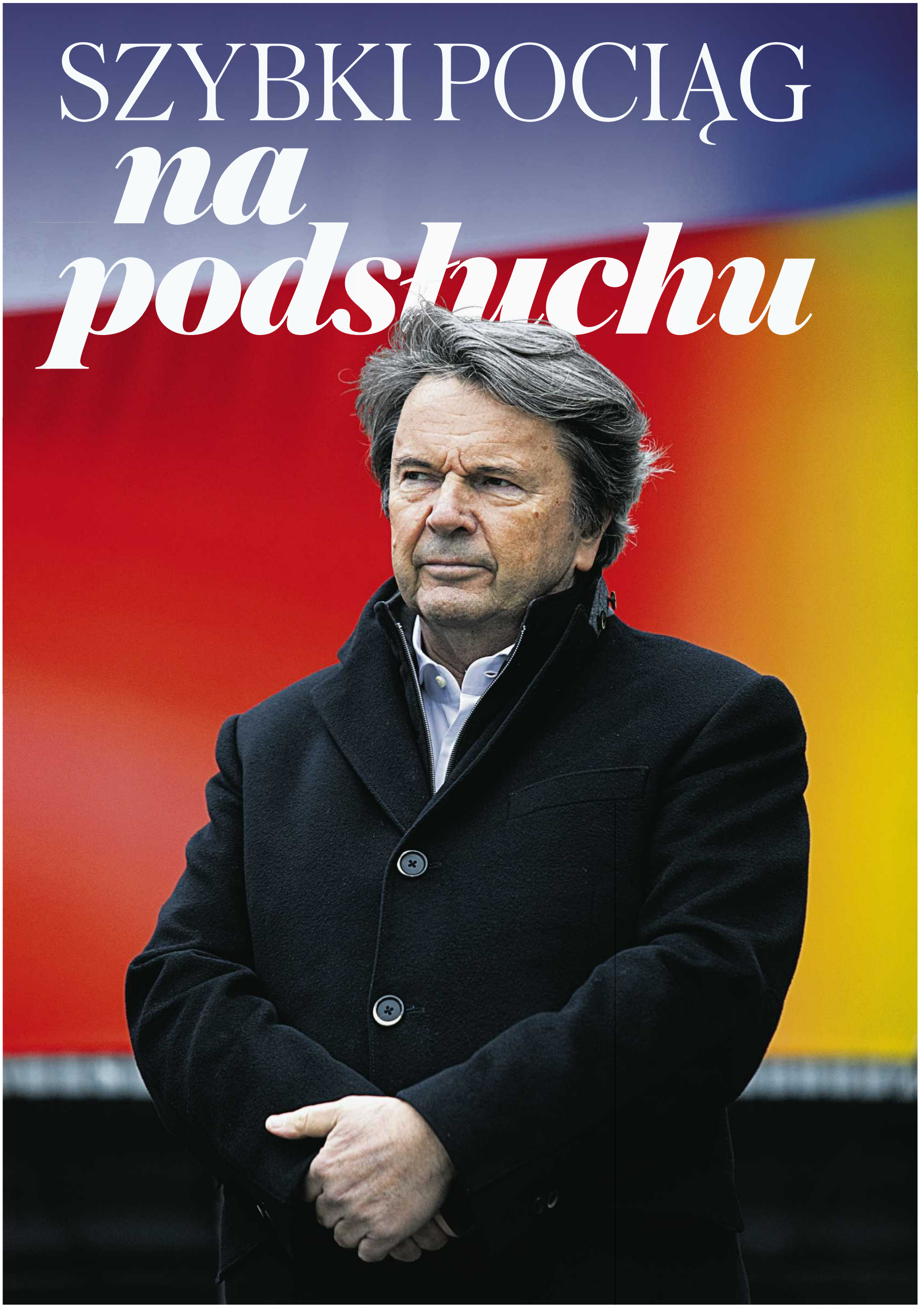

1 RP

eprasa.pl 404822a087

„Skarbówka zrobiła mu kontrolę na 10 lat wstecz. Osobistą, nie spółek". Kulisy sporu jednego z najbogatszych Polaków z Tuskiem.

Piotr Głuchowski

Przybyli Lech Wałęsa i Leszek Balcerowicz, a obecnie rządzący nie znaleźli dla mnie czasu, mimo że zatrudniam 10 tys. osób, a do tego płacę wszystkie podatki w Polsce, bo nie rejestruję firm w rajach jak niektórzy koledzy – pożalił się Zbigniew Jakubas vlogerowi finansowemu Marcinowi Iwuciowi.

Na bankiecie ćwierćwiecza Jakubasowej Grupy Multico faktycznie nie było nikogo z KO, choć zaproszenia dostali. Czy dlatego, że w kręgach PO został niesmak po posiłkach u Sowy i Przyjaciół, czyli słynnej aferze podsłuchowej, która przyczyniła się do przejęcia władzy przez PiS w 2015 r. i z którą Jakubas może mieć coś wspólnego?

– Jeżeli nawet Zbyszek nakłonił Falentę do ujawnienia kelnerskich nagrań, postąpił praworządnie – mówi znajomy miliardera.

•

Moi rozmówcy mówią: „konserwatysta niczym z amerykańskiego Południa", „multiinstrumentalista biznesu", „uczciwy, lecz ostro gra", „pamiętliwy".

Interesy zaczął robić jeszcze w latach 70. jako ajent sklepu odzieżowego na warszawskim Powiślu. Dziś jest oceniany na 2 miliardy złotych (30. miejsce na polskiej liście „Forbes"). Sam pilotuje śmigłowiec, jeździ na nartach, nie używa smartfona, tylko nokii bez dostępu do sieci. Mówi publicznie, że system gospodarczy, w którym 1 procent bogaczy kontroluje 90 proc. globalnego majątku, jest „aspołeczny i niehumanitarny", i że najbogatsi Polacy (w tym on) powinni płacić 40-procentowy podatek dochodowy od 600 tys. zł osobistego rocznego dochodu w górę. Pomaga potrzebującym, nie robiąc przy tym hałasu, zresztą podobno nigdy nie podnosi głosu.

1, 24, 25 i 28 września (i w październiku też) stał się cichym bohaterem wieczornych wiadomości TV Republika. Prezenterki Danuta Holecka i Edyta Lewandowska mówiły wielokrotnie to samo: – Donald Tusk chce, by pociągi w Polsce pędziły ponad 300 km na godzinę. Taka prędkość składów, które mają dowieźć Polaków do planowanego CPK, wyklucza polskich producentów.

W dalszej części programów winien zgodnie z logiką wystąpić narzekający na rządowe plany przedstawiciel bydgoskiej firmy Pesa – największego w kraju wytwórcy taboru kolejowego. Nic takiego się jednak nie stało. Gdzie są zatem ci „polscy producenci" poszkodowani koncepcją superszybkiej kolei do Baranowa?

– W tej grze nie chodzi o nas, bo na razie nie wchodzimy w CPK i koleje high speed. Chodzi o Grupę Newag Zbigniewa Jakubasa – mówi mi menadżer z Pesy. I dodaje, że Donald Tusk również wie, komu Zjednoczona Prawica chciała zaoferować zakup pociągów na „szprychy" do centralnego portu. Podczas wrześniowej rady gabinetowej premier mówił do dziennikarzy: „Wiem, kto byłby zainteresowany ze względów biznesowych, aby utrzymać prędkość kolei do Baranowa na progu 250 km na godzinę. Jak będzie trzeba, to panu prezydentowi na ucho szepnę później, kto chce ograniczyć polskie ambicje, jeśli chodzi o koleje dużych prędkości".

– Tym kimś jest moim zdaniem Jakubas – potwierdza zorientowany w polityce publicysta od gospodarki. – Tusk ma swoje powody, żeby go nie lubić, ponieważ po mieście krąży plotka, że inwestor miał coś wspólnego z aferą podsłuchową.

Jeszcze do tego wrócę, ale wpierw chciałem zapytać samego właściciela Newagu o rzekome PiS-owskie przyrzeczenie zakupu taboru. Lecz sekretariat poinformował, że „prezes Jakubas znajduje się w innej strefie czasowej i rozmowa będzie możliwa w przyszłym miesiącu".

Zwróciłem się więc do pełnomocnika rządu PiS od CPK, posła Marcina Horały: – Czy to Newag był waszym wstępnie wybranym dostawcą pociągów na „szprychy"?

– Która firma dostarczy tabor, miał rozstrzygnąć przetarg. Mogłyby go wygrać zarówno Newag, jak i Pesa czy poznański Cegielski. Sugestie Donalda Tuska, że beneficjent został za naszych rządów wybrany po cichu, to typowe Tuskowe insynuacje. Fakty są takie, że przy wyborze prędkości powyżej 300 km na godzinę kilkanaście miliardów złotych pójdzie za granicę i założę się, że te pieniądze trafią do niemieckiego Siemensa.

A jednak Jakubas ma jakiś interes w „spowolnieniu" pociągów. Po pierwsze, potwierdził mi to pośrednio wiceprezes zarządu Newagu Józef Michalik, któremu wysłałem pytania:

Czy Grupa Newag chciałaby dostarczać tabor dla planowanych połączeń z CPK? „Tak, jesteśmy zainteresowani dostawami (...). Planowana prędkość eksploatacyjna 350 km na godzinę uniemożliwia nam jednak samodzielny udział w postępowaniu o udzielenie zamówienia publicznego".

Czy byłoby dla Newagu lepiej, gdyby rząd przyjął projekt połączeń liniami o niższych prędkościach? Owszem. „Otwierałoby to możliwość samodzielnego udziału w postępowaniu".

Po drugie, 8 lipca miliarder udzielił prawie trzygodzinnego wywiadu Kanałowi Zero. I przekonywał, że koleje pędzące ponad 300 km na godzinę nie mają w Polsce sensu. – Ludowe przysłowie mówi: Naucz się najpierw dobrze chodzić, żebyś zaczął biegać. Rodzime firmy są w stanie dojść do prędkości 350 w ciągu kilku lat. Natomiast mam pytanie: czy jest taka potrzeba? Superszybki pociąg osiąga te 350 tylko na pewnym odcinku. Cały czas tak nie jedzie. Więc czy nie lepiej jechać z prędkością 200 na godzinę, ale z biletem o połowę tańszym? Bo przy 350 km koszty są takie, że bilet musi być droższy. Inna technologia. Poza tym nie wierzę, by infrastruktura kolejowa konieczna dla połączeń high speed powstała w ciągu 10 lat.

> „To z jednej strony bardzo ostry gracz, a z drugiej normalny, życzliwy gość. Utrzymuje bez rozgłosu rodzinę ukraińskich uchodźców, którym przekazał willę po rodzicach"

Dalej biznesmen zauważył, że Polacy wolą tańsze, choć powolne TLK niż drogie InterCity, bo obserwuje tzw. pociąg papieski, który „kosztuje jedną trzecią tego, co Pendolino i wciąż jest przeładowany".

– Jakubas nie jest człowiekiem, który traciłby czas na występy w internecie – zauważają zgodnie moi rozmówcy z Pesy i nie tylko. Po 40 latach szerokiej działalności biznesowej jego wywiady i występy w mediach można policzyć na palcach. – Jeżeli poświęcił wieczór na wizytę w Zero, to znaczy, że bardzo mu zależy, aby przekonać kogoś do wolniejszych połączeń.

– Kogo?

– Na początek opinię publiczną, a potem może rząd. Ten następny.

•

73-letni były prezes Polskiej Rady Biznesu poza tym, że zajmuje się kolejami, działał lub działa nadal w branżach: odzieżowej, komputerowej, spożywczej, chemicznej, wydawniczej, finansowej, elektromaszynowej, energetycznej, menniczej, sportowej i paru innych. – Choć to się wydaje nieprawdopodobne, on się na wszystkim tym zna – mówi mi były menedżer z jego spółki. – Nie jest inwestorem biernym. Jest multiinstrumentalistą biznesu.

Pochodzi z zamożnej jak na PRL rodziny – tata z mamą mieli w Lublinie sad („ojciec był bardzo apodyktyczny, zero-jedynkowy"). Skończył tamtejsze technikum przemysłowo-pedagogiczne („miałem zawsze bardzo dobre oceny z polskiego") i już jako nastolatek spróbował prywatnej inicjatywy.

W rozmowie z youtuberem Iwuciem: – Za komuny kupienie choinki w Lublinie było niewykonalne. Ludzie stali w nocnych kolejkach po tysiąc osób i nic. Namówiłem wtedy dyrektora szkoły, żeby dał mi „państwowe" zamówienie na drzewka. Pojechałem do nadleśnictwa w Zwierzyńcu koło Zamościa. W darowanym przez rodziców wartburgu de Luxe wymontowałem wszystkie siedzenia prócz fotela kierowcy i wepchnąłem do osobowego auta ponad 30 choinek wielkości człowieka. Jedną zaniosłem do szkoły, jedną zostawiłem sobie, kilka rozdałem znajomym, a resztę sprzedałem, zarabiając na tym 9 tysięcy [starych] złotych, czyli trzy dobre pensje. Bo w nadleśnictwie drzewko kosztowało 10 czy 20, a na bazarku – 300.

W 1978 r. Jakubas obronił dyplom inżyniera na wydziale elektrycznym politechniki w Częstochowie. Prowadząc bar w klubie studenckim utrzymywał się już wtedy sam. Do Warszawy rzucił go PRL-owski nakaz pracy. Pierwsza i ostatnia etatowa posada: nauczyciel matematyki i elektroniki w Zespole Szkół Zawodowych przy ul. Limanowskiego w Warszawie. Zarabiał wówczas równowartość 30 dolarów miesięcznie. Za wynajęcie pokoju z dostępem do wspólnej łazienki i kuchni przy tej samej ulicy musiał płacić 50 dolarów. Dorabiał m.in., wożąc wartburgiem „łebków".

– Odstawiając pijanych po imprezach, potrafiłem przez jedną noc zarobić pensję robotnika – powie 40 lat później w rozmowie z Iwuciem. – Na szczęście miałem obowiązek uczyć jedynie 18 godzin tygodniowo plus cztery dodatkowe. Otworzyłem więc sklep z odzieżą i zacząłem pracować na dwa etaty.

Sklep nie ruszyłby bez pomocy ojca i matki, którzy przekazali uciułane 7 tys. dolarów na zakup mieszkania w stolicy. Bo syn właśnie się żenił z warszawianką Ewą. 27-latek nie kupił jednak lokum, ponieważ mieszkający między Lublinem a stolicą „badylarz", do którego wstąpił po gerbery, doradził: „Masz dolary – otwieraj biznes, zarobisz na kilka mieszkań".

– ...i w tym momencie z nieotynkowanego domu kwiaciarza, który stał obok szklarni, wyszła piękna dziewczyna, która wsiadła do fiata Mirafiori – wspomina Jakubas w rozmowie z Łukaszem Kijkiem w kanale Biznes Klasa. – Kiedy dotarłem do Warszawy, poszedłem prosto do Stołecznego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego i wziąłem w ajencję sklep odzieżowy pod adresem Tamka 14.

Młody nauczyciel wstawał o 5 rano, by już o 7 w Brzezinach pod Łodzią ładować do enerdowskiego auta szyte tam bluzki i suknie. O 9.30 był w szkole, do popołudnia prowadził lekcje, potem do sklepu: wypakować towar. Od czasu do czasu – dzięki nawiązaniu kontaktów z państwowymi szwalniami typu Wólczanka – prócz wyrobów spod Łodzi oferował odrzuty z eksportu.

– To były ciuchy rarytasy, magnes na klientów! – wyznał w rozmowie z „Wyborczą" przed 30 laty. – Po pół roku miałem już równowartość mieszkania.

Duży fiat kosztował wtedy 1600 dolarów. Młody inżynier zarabiał to w półtora miesiąca. I otwierał kolejne sklepy, mimo że musiał płacić komunistyczny podatek wyrównawczy: 85 proc. od zysku.

•

Mniejsze podatki płaciły firmy polonijne, czyli z udziałem zagranicznego kapitału, ale pochodzącego od polonusów – dozwolone od połowy lat 70.

Jakubas założył taką – o nazwie Ipaco – ze znajomym z Austrii Krzysztofem Sochackim. Biznesplan był prosty: zamiast jeździć do Brzezin, samemu szyć tanio w Międzyrzecu Podlaskim odzież wyglądającą „jak zachodnia", by sprzedawać ją w warszawskich butikach, których Jakubas w roku 1980 miał już parę – wszystkie w centrum miasta.

Perłą w koronie był salonik Ewa tuż obok Nowego Światu, przy dzisiejszej Chmielnej – wtedy Rutkowskiego. Wiszące tam sukienki projektowali plastycy, ekspedientkami były dziewczyny po studiach. Przez pewien czas sklep prowadziła osobiście żona właściciela – Ewa Teresa Orłowska-Jakubas.

By uruchomić w PRL prywatną produkcję, trzeba było mieć jednak aprobatę komuny. Międzyrzec leżał w województwie bialskopodlaskim, gdzie szefem komitetu wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej był Józef Oleksy. Pierwszy sekretarz, który w wolnej Polsce zostanie liderem postkomunistycznej lewicy, ministrem spraw wewnętrznych, marszałkiem Sejmu i premierem, dał zgodę na szycie markowych ciuchów pod warunkiem, że Jakubas z Sochackim uruchomią jeszcze jakąś „produkcję prorozwojową", nie tylko fatałaszki.

Przedsiębiorcy wymyślili montaż komputerów. Zaczęli sprowadzać chipy z Tajwanu, który wówczas był tanią fabryką świata i składać w Międzyrzecu pierwsze ciężkie, blaszane pecety. Zakład najpierw funkcjonował w domach pracowników, w 1987 roku – pokonawszy rozliczne przeszkody – Jakubas postawił niewielką fabrykę.

– Ile ja się musiałem nachodzić w tej sprawie... – poskarży się „Wyborczej" 10 lat później. – Gdy miałem już wybraną działkę pod budowę, usłyszałem od urzędników,

• Zbigniew Jakubas (rocznik 1952), właściciel m.in. grupy kapitałowej Multico. Jego majątek jest wyceniany na 2 mld zł, co daje mu 30. miejsce na liście najbogatszych Polaków magazynu „Forbes"

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 404822a087

że prywatny biznes nie może stać blisko torów wiodących do Moskwy. Znalazłem inny teren, to mi powiedzieli, że w pobliżu przebiega międzynarodowa linia telekomunikacyjna i też nie mogę budować.

Inwestor znalazł trzecią lokalizację. Pięć lat później szwaczki z Międzyrzeca szyły nie tylko dla stołecznych butików, ale i na eksport – dla Mariella, Valentina, Bossa i Selene. Ipaco przetrwało na rynku niemal 40 lat, ostatni pracownicy zostali zwolnieni w roku 2023. Pozostała legenda mówiąca, że inżynier Jakubas przy okazji montażu pecetów opracował skróty klawiaturowe potrzebne do wklepywania polskich liter.

•

W maju 1989, tuż przed czerwcowymi wyborami, wskutek których partia komunistyczna musiała oddać władzę, biznesmen założył – z kolejnym polonusem, obywatelem RFN Jerzym Treszczyńskim – spółkę Multico. Dzisiaj to grupa kapitałowa o tej samej nazwie z siedzibą przy
ul. Ciasnej. Z okien gabinetu prezesa roztacza się piękny widok na warszawską Starówkę.

Początkowo zamierzał zainwestować zarobione na odzieży i komputerach pieniądze w ośrodek wypoczynkowy – przedwojenny pałac Lwigród w Krynicy-Zdroju. Stary budynek wymagał jednak gruntownej adaptacji, a tamtejszy konserwator zabytków się na nią nie zgadzał.

Jakubas w youtube'owym kanale Biznes Klasa:
– Spotkałem się z burmistrzem Krynicy Janem Golbą i mówię, że odpuszczam, a on pyta: „Czy pan by nie był zainteresowany budową rozlewni wody mineralnej, bo wokół są piękne źródła? Mamy taką działkę w pobliskim Tyliczu. Pomożemy uzyskać decyzje". Po dwóch miesiącach ruszyłem z budową zakładu. Dziś nie do pomyślenia, bo biurokracja i bzdurne unijne przepisy nie dałyby najmniejszej szansy na takie tempo. To był jednak okres, gdy Lech Wałęsa mówił: „Bierzcie sprawy w swoje ręce!". I urzędnicy pomagali.

Budowa, której biznesmen doglądał, przylatując z Warszawy pilotowanym własnoręcznie (ale nie własnym) helikopterem Bell, trwała niecałe pół roku. Hale i maszyny kosztowały około 20 mln niemieckich marek, czyli kilkanaście milionów dolarów. Spółka Multico nie miała takich pieniędzy, Jakubas wystarał się jednak za Odrą o kredyt. – Sprzedając do Niemiec odzież pod szyldem Ipaco, zdobyłem takie zaufanie, że pożyczyli mi miliony z przedłużonym okresem spłaty.

Z tą nie było kłopotów, ponieważ flagowy produkt tylickiej rozlewni – woda MultiVita – odniósł olbrzymi sukces m.in. dzięki promocji w niebywale popularnym „Kole fortuny", jednym z pierwszych w nowej Polsce teleturniejów, gdzie gracze odgadujący hasła popijali przed kamerami mineralną od Jakubasa, a główną nagrodą był nowy samochód – polonez Caro, co prawda nie zachodni, ale nowoczesny i popularny, z zapasem multivity w bagażniku.

Teraz skok czasowy: w roku 2000, gdy beskidzka fabryka wód miała już 200 mln przychodu i nadal rosła, Francuzi z koncernu Danone zaproponowali za nią 64 mln dolarów – ćwierć miliarda złotych. Już nowych, po denominacji.

Jakubas w Biznes Klasie: – Szef departamentu napojów w Danone, syn byłego prezydenta Francji, Henri Giscard d'Estaing, powiedział mi wtedy: „Zbyszek, sprzedaj, bo będziesz miał coraz trudniej. Wejdą do Polski duże sieci, wycisną was, jak cytrynę. Marże pospadają, będziecie mieli terminy płatności po 180 dni, nie poradzisz sobie". Za radą innej osoby, Amerykanina, nie sprzedałem zakładu i stało się to, co Francuz wyprorokował. Sieci nas wyniszczyły.

Wszystkie polskie fabryki napojów przeszły w ręce zachodnich koncernów. Żywiec należy do Danone, Nałęczowianka do Nestle, właścicielem fabryki MultiVity jest dziś Coca-Cola.

•

Wracamy do zeszłego stulecia. W roku 1991 powstała działająca do dzisiaj Oficyna Wydawnicza „Multico". W ciągu trzech pierwszych lat wypuściła na rynek prawie 50 tytułów, głównie poradnikowych: „Apteka ogrodowa", „Wędkarskie sekrety" i tak dalej. Lepszym biznesem była jednak wtedy prasa. Jakubas nabył za 2,5 mld starych złotych (dzisiejsze 250 tys.) kupowaną głównie dla wiadomości sportowych, kryminałków i ogłoszeń drobnych popołudniówkę „Kurier Lubelski". Jak wówczas wyznał, zrobił to „w prezencie dla matki, zagorzałej czytelniczki tej gazety".

W pracę redakcji się nie wtrącał. Zespół długo miał tego samego naczelnego co za komuny. – Pan Zbigniew powtarzał, że nie zna się na redakcji, i tylko nas obserwował – mówił „Wyborczej" jeden z redaktorów. – Powiedział, że gazeta ma być apolityczna i żeby pisała prawdę.

W ciągu trzech lat od przejęcia „Kurier" przegonił lokalnego lidera rynku – dawny organ PZPR „Sztandar Ludu".

Były dziennikarz obecnie: – Jakubas wyremontował nam redakcję, zarabialiśmy lepiej i od tych ze „Sztandaru", i od tych z Polskiego Radia, wprowadził premie po milionie [starych złotych] dla każdego, kto przeskoczy z maszyny do pisania na komputer. Oczywiście zrobiliśmy tak prawie wszyscy. Były też inne bonusy: pół miliona za wymyślenie najlepszego tytułu, 15 milionów na głowę z okazji Wigilii. Multivita darmo.

Dawne 15 milionów to dzisiaj 1500 złotych, ale w pierwszej połowie najntisów tyle wynosiły dwie średnie pensje.

Wydatek na „Kuriera" zwrócił się inwestorowi szybko. Nabył jeszcze „Życie Częstochowy", „Życie Radomia" i kolorowy „Sukces", wtedy jeden z najpoczytniejszych magazynów lifestyle'owych. Próbował też zaszczepić w Lublinie kolejną gazetę – „Express Fakty". Po roku musiał odpuścić – lokalny rynek okazał się zbyt płytki. W kłopoty wpadł też w stolicy, gdy w 1996 roku kupił (za drugim podejściem) równie zasłużone co zadłużone „Życie Warszawy".

W Kanale Zero: – Kupując „ŻW", widziałem, że to już cień dawnej świetności. Redaktor naczelny Tomasz Wołek zrobił czasopismo jednostronnie prawicowe i czytelnicy się odwrócili na tyle, że w ciągu trzech lat sprzedaż spadła o 70 proc. Próbowałem to ratować, robiąc z „Życia" gazetę regionalną wzorowaną na „Kurierze Lubelskim", co było bardzo trudne ze względu na opór w redakcji. Powiedziałem jednak panu Wołkowi i panu [Bronisławowi] Wildsteinowi: „Wy chcecie robić politykę, a ja gazetę lokalną, ponieważ wasza koncepcja doprowadziła redakcję na granicę bankructwa". To nas poróżniło i ostatecznie Wołek z Wildsteinem poszli swoją drogą, a ja sprzedałem „Życie Warszawy" Michałowi Sołowowowi.

„Poszli" to bardzo delikatny opis tego, co wtedy zaszło. W maju 1996 roku dziennikarze „ŻW" zastrajkowali przeciwko nowemu wydawcy. Gazeta nie ukazała się w kioskach. Potem część zespołu odeszła, zakładając konkurencyjne „»Życie« z kropką", jak potocznie mówiono na nowy tytuł dla odróżnienia od poprzedniego. Jakubas zablokował konkurentom reklamy telewizyjne, a nawet zagroził sądowym zatrzymaniem druku. Ostatecznie gazeta Wołka skonała (po kilku zawałach) w 2005 roku. „ŻW" przetrwało pięć lat dłużej.

Wiosną 2006 roku nieco mniej dramatyczna historia wydarzyła się w Jakubasowym „Sukcesie". Gdy popularna pisarka Manuela Gretkowska opublikowała tam felieton opisujący niekorzystnie (a przy okazji nieprawdziwe) dzieciństwo braci Kaczyńskich, właściciel pisma kazał wyciąć strony 17 i 18 z gotowego do sprzedaży magazynu. Dziennikarze i pracownicy wydawnictwa przez trzy dni kroili nożykami do tapet 90 tysięcy egzemplarzy.

Po tej akcji w proteście przeciw „bezprecedensowej autocenzurze" z „Sukcesu" odeszło kilkoro znanych autorów, m.in. Monika Olejnik i Justyna Pochanke. Trzy lata później Jakubas sprzedał magazyn właścicielowi „Przekroju", biznesmenowi i producentowi filmowemu Grzegorzowi Hajdarowiczowi.

•

Dekada 2000-2010 to okres inwestycji w coraz to nowe przedsięwzięcia.

Krótko po zakupie „Życia" biznesmen wybudował – i skutecznie sprzedał – Multico Residence, apartamentowiec przy ul. Bitwy pod Rokitną w Warszawie. Zaprojektowany przez włoskiego architekta Giorgio Dazzana pastelowy gmach z basenem, windą rozpoznającą mieszkańców i olbrzymimi tarasami na najwyższych piętrach sprawił, że cicha uliczka stała się najdroższym adresem na Żoliborzu.

A Jakubas kupował dalej: nabył część Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych, część Energopolu Warszawa, a do tego przemyskie Zakłady Automatyki „Polna", które produkują zawory, filtry, siłowniki i pompy. To firmy działające na przewidywalnych rynkach, więc inwestor nie musi się o nie kłopotać. Jak wyznał na YouTubie, podkarpacki zakład wizytuje raz na pół roku lub rzadziej, „bo nie ma potrzeby ludziom przeszkadzać, skoro pracują dobrze". – A stopę zwrotu zarówno z inwestycji w Polną, jak i w Newag czy Mennicę Polską mam taką, że żaden fundusz mi tyle nie da.

Jednak następny zakup o mało nie doprowadził go do bankructwa.

Z początkiem roku 2000, gdy bańka internetowa urosła do absurdalnych rozmiarów, przedsiębiorca nabył za ponad 260 mln złotych (wspomagając się pieniędzmi BRE Banku) firmę Romana Kluski – słynny Optimus.

Menedżer z Pesy: W tej grze nie chodzi o nas, bo na razie nie wchodzimy w CPK. Chodzi o Newag. Tusk również wie, komu Zjednoczona Prawica chciała zaoferować zakup pociągów na „szprychy" do lotniska w Baranowie

Kluska startował – podobnie jak Ipaco – od montażu pecetów po domach, by w szczycie powodzenia zająć ponad 40 proc. krajowego rynku komputerów, który stale rósł. Mimo to twórca Optimusa – wykształcony ekonomista i doświadczony biznesmen – wiedział, kiedy się sprzedać. Swoją rolę odegrały też kłopoty ze skarbówką, czytaj: ówczesną pazerną władzą postkomuny z Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Kluska sprzedał firmę 40 proc. poniżej jej ówczesnej ceny giełdowej i Jakubas miał prawo sądzić, że robi doskonały interes.

Bańka pękła wiosną tego samego roku. Cena akcji Optimusa zjechała ze 150 złotych do poniżej 10.

Jakubas w Zero: – Ze stresu nie mogłem spać. Wyłożyłem na ten zakup wszystkie oszczędności, mój dług w banku sięgnął 20 mln dolarów. Na szczęście udało się doprowadzić do transakcji z Onetem, dzięki czemu po przeszło roku gigantycznego stresu jakoś odbudowałem kapitał.

Bo Optimus Kluski poza montażem komputerów importował, spolszczał i dystrybuował gry wideo pod szyldem Optimus Nexus, a także prowadził witrynę internetową jako Optimus Net. Z domeną Onet.pl. W największym uproszczeniu: Jakubas wydzielił szybko rosnący portal Onet z całości Optimusa i sprzedał koncernowi ITI Holding, właścicielowi TVN. Dalej inwestował jeszcze ostrożniej.

•

Dywersyfikując portfel, wziął udział w ostatecznie nieudanej prywatyzacji przedsiębiorstwa Ruch (tego od kiosków z prasą), kupił ziemię w Krakowie (pod zakończone już i sprzedane ekskluzywne osiedle Nowa 5 Dzielnica), nabył udziały w holdingu handlowym Elektrim (potem przejętym przez Zygmunta Solorza), w Zakładach Azotowych „Puławy", we wspomnianej już Mennicy Polskiej i wielu innych spółkach. W roku 2002 kupił też Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego w Nowym Sączu – czyli dzisiejszy Newag. – To była ruina – mówił w Zero. – Ponad 2 tysiące zatrudnionych i 100 mln obrotu.

Podobnych zakładów naprawczych było 17, bo każde dawne miasto wojewódzkie miało kiedyś swoje – i wszyscy poupadali. Zostały Pesa i Newag pod moim zarządem, przy czym Pesa też niemal upadła, lecz uratowało ją wsparcie rządu PiS.

– Rząd PiS... rząd PO... w trakcie kupowania udziałów w przedsiębiorstwach państwowych Jakubas poznał polityków i pozapinał się umiejętnie z obiema stronami – mówi mi były menedżer z jego spółki.

Publicysta: – Zatrudnił w „Życiu Warszawy" Andrzeja Urbańskiego [był naczelnym gazety], bliskiego współpracownika Lecha Kaczyńskiego i przyszłego wiceprezydenta stolicy. Potem miasto kupiło od Newagu tabor.

Z drugiej strony w minionych wyborach inwestor poparł (także finansowo) Rafała Trzaskowskiego. Wcześniej Newag podpisał ze stołeczną Szybką Koleją Miejską kontrakt na dostarczenie ponad 20 składów elektrycznych typu Impuls 2.

Były menedżer: – Mój dawny pracodawca nauczył się lawirować między prawicą i centrum. Tym podsypie grosza, tamtym podsypie... ale zasadniczo ma o politykach jak najgorsze zdanie.

Wystarczy posłuchać, co mówi:
– Nasz Sejm zaczyna przypominać Włochy 20 lat temu, gdy posłanką została gwiazda porno Cicciolina. Awantury i obraźliwe sformułowania latają ze wszystkich stron. Jeżeli ktoś mnie spyta: „Czy ten establishment polityczny jest w stanie się zmienić?", odpowiem: „Nie wierzę" (Kanał Zero).

– Politycy jedynie ograniczają możliwości przedsiębiorców. Premier Tusk spotkał się z biznesem dopiero po półtora roku rządzenia, i to jeszcze z łaski. A PiS? Ogłosili, że będą budować nowe elity, i te elity okradły nasz kraj na setki milionów złotych (Biznes Klasa).

– Jestem eurosceptykiem, jeśli chodzi o regulacje wprowadzane przez polityków, bo tworzą coraz więcej idiotyzmów w gospodarce Europy (rozmowa z Iwuciem).

Unia prowadzi koncerny do zeroemisyjności. Świetnie, tylko że efektem jest windowanie cen. Co z tego, że będziemy liderem zieloności, jeśli jednocześnie staniemy się biedakami? (Biznes Klasa).

•

– W 2010 roku Zbyszek dał chłopakom z CD Projektu prawie 15 mln na dokończenie gry „Wiedźmin" – mówi mi jego znajomy spoza Warszawy. – W zamian objął udziały, które potem sprzedał za 180 mln.

– Czterech młodych, bardzo skromnych i fajnych panów przyszło do mnie w poniedziałek, a do środy mieli spłacić 12-milionowy dług w banku. Na skończenie „Wiedźmina" potrzebowali jeszcze 2,5 mln. Ja wtedy nie wiedziałem, czym ten „Wiedźmin" jest – wspomina Jakubas w Biznes Klasie. – Ale kazałem sobie pokazać ich przedsięwzięcie: zobaczyłem ponad 100 osób przy komputerach – nawet nie podnosili głów, kiedy przechodziłem, tak byli zafascynowani pracą. Uznałem, że zasługują na pomoc. Połączyliśmy w jedno Optimusa i CD Projekt, a ja w zamian za udzieloną pożyczkę objąłem 20 mln akcji po złotówce. Wyszedłem z nich po roku, kiedy doszły do 9 złotych, by kupić tereny na Żeraniu.

Nabyte grunty po torze treningowym Fabryki Samochodów Osobowych mają się zamienić w Dolinę Wisły – osiedle mieszkaniowe dla 15, a nawet 20 tysięcy warszawiaków, co z jednej strony daje Jakubasowi satysfakcję (odwiedza budowę raz w tygodniu, choć i tak widzi ją w kamerach ze swego biura na Ciasnej), a z drugiej dostarcza strapień ze wzglę-

eprasa.pl 404822a087

du na spowalniających inwestycję urzędników. Tymczasem jedna akcja CD Projektu kosztuje dzisiaj 260 zł (było więcej), co oznacza, że udziały inwestora – gdyby nie zmienił walorów CDP na hektary – byłyby warte ponad 5 mld.

Inna głośna strata Jakubasa dotyczy kupionej przezeń dużej poznańskiej spółki Feroco (wcześniej Państwowe Przedsiębiorstwo Robót Komunikacyjnych).

Firma zajmowała się budową i remontami torowisk, zatrudniała ponad 400 osób. Wśród nich znalazł się Szymon M., 30-letni wiceprezes spółki z wyższym wykształceniem ekonomicznym, który postanowił poprawić wyniki finansowe przedsiębiorstwa, grając jego pieniędzmi na giełdzie opcji walutowych. Gdy zaczął grubo przegrywać – schronił się w szpitalu. Firma straciła ponad 100 mln. Jakubas wytoczył później byłemu pracownikowi proces o te pieniądze.

Kolejny biznesowy błąd: w okolicach roku 2014 inwestor odmówił przedsiębiorcy Rafałowi Brzosce 20 mln złotych na paczkomatowy InPost: – Nie wszedłem w to, bo niespecjalnie zgłębiłem, nie zrozumiałem tego biznesu, nie wydał mi się jakoś sexy. Krótko mówiąc: nie dostrzegłem potencjału i zrobiłem błąd – przyzna się później w Biznes Klasie.

Najnowszą stratą inżyniera jest Jastrzębska Spółka Węglowa. W rozmowie z Kijkiem: – Kupiłem w 2024 roku jej akcje po 46 zł, a obecnie są warte dwa razy mniej. Bo nie przewidziałem, że może być taka durnota w zarządzaniu. Nikt nie pracuje nad tym, żeby tę spółkę wydobyć na powierzchnię, a związki zawodowe jeszcze wymyśliły podwyżki wynagrodzeń. Przejadają pomoc publiczną...

Wynik netto państwowej w większości JSW, który w 2022 roku wyniósł +7,5 mld, w zeszłym roku zamienił się w stratę -7.

Jednak inwestor opowiada o tym ze spokojem: – Mam pieniądze wystarczające dla mnie i jeszcze kilku pokoleń. Będę jednak pracował, dopóki zdrowie pozwoli. Bo praca mi sprawia przyjemność.

•

W trakcie lipcowej wizyty przedsiębiorcy w Kanale Zero prowadzący spotkanie, właściciel kanału Krzysztof Stanowski zapytał go, czy jest sens, by państwo biło groszowe monety, w przypadku których koszt wykonania przekracza nominalną wartość ich samych. Większościowy właściciel Mennicy Polskiej (od roku 2005) przyznał, że to ekonomicznie bez sensu, ale na razie przepisy wymagają, by monety groszowe istniały. Po czym zmienił temat i opowiedział, jak ciężko było postawić na nogi opanowane przez polityków SLD przedsiębiorstwo z 250-letnią historią, 42-procentowym udziałem skarbu państwa i ledwo 100 mln rocznego obrotu przy ponad 600 pracownikach, wśród których było m.in. „160 ochroniarzy, co tak pracowali, że zginęło 8 kilo platyny".

– Pod moim zarządem doszliśmy do obrotu rzędu 2 mld i obecności na 37 rynkach świata – pochwalił się Stanowskiemu.

A serwisowi Forbes.pl zdradził, że „tylko w ostatnim czasie Mennica wygrała kontrakty na bicie bilonu w: Zambii, Tanzanii, Kostaryce, Gwatemali i Dominikanie. W ciągu ostatnich trzech lat mieliśmy 300 proc. wzrostu produkcji. Jesteśmy światowym liderem w dziedzinie bicia pieniądza".

Wrócę jednak do wątku polskich monet groszowych, bo on nas doprowadzi do wspominanej już afery podsłuchowej.

W czerwcu 2014 roku tygodnik „Wprost" opublikował stenogram nielegalnie nagranej rok wcześniej rozmowy ministra spraw wewnętrznych Bartłomieja Sienkiewicza i prezesa NBP Marka Belki. Panowie dogadywali się w sprawie finansowania długu publicznego przez bank narodowy i odwołania ówczesnego ministra finansów. Przy okazji mówili o innych osobach, w tym o Jakubasie.

Marek Belka: – Musimy przejść przez ćwiczenie pod tytułem „negocjacje na temat nowych monet". Myśmy postanowili [groszowe] monety zamienić na inne, takie same dla ludzi, lecz w produkcji tańsze. Zapytanie ofertowe wysłaliśmy do trzech mennic, w tym polskiej. Jesteśmy wobec trudnych negocjacji z człowiekiem [chodzi o Jakubasa], który już uważa, żeśmy go okradli.

Bartłomiej Sienkiewicz: – To może trzeba mu powiedzieć, jak można go bardziej okraść. Może zrozumie.

Belka: – Myślę, że on to wszystko wie, ale zdaje mu się, że jak ma partnera państwowego, to ma cipę przed sobą. A on sam gra twardego.

Sienkiewicz: – Ostatnio zrobiłem konkurs w sprawie ścigania przestępczości zorganizowanej, gdzie mamy zapięte CBŚ [Centralne Biuro Śledcze], UKS [Urząd Kontroli Skarbowej], wywiad skarbowy i tak dalej. Mam wrażenie, że za jakiś czas to będzie bardzo przyzwoite narzędzie do gier z takimi tłustymi misiami, którzy uważali, że są kompletnie bezkarni. A byli bezkarni, dlatego że sam CBŚ wobec takiego Jakubasa to mógł mu nagwizdać. Sam UKS mógł mu nagwizdać i wywiad skarbowy też. Wszystko razem złożone do kupy to już inna bajka.

Teraz plotka. Głosi, że organizujący knajpiane studio nagrań biznesmen Marek Falenta (importer węgla skazany za podsłuchy na dwa i pół roku więzienia) po wysłuchaniu dostarczonej przez kelnerów rozmowy Sienkiewicza z Belką poszedł do Jakubasa, by go życzliwie ostrzec i na tym nie stracić. A właściciel Mennicy Polskiej doradził ujawnić nagranie, nie precyzując jednoznacznie komu: służbom czy opinii publicznej.

Sam były minister, a dziś europoseł Bartłomiej Sienkiewicz, z którym rozmawiałem, nie wyklucza, że tak właśnie było.

– Taka reakcja Zbyszka, gdy odsłuchał nagranie, byłaby w jego stylu – potwierdza znajomy miliardera. – Praworządnie, a zarazem ofensywnie. Jako obywatel wzburzony wiadomością, że wysocy urzędnicy państwowi się nań zasadzają, miał prawo życzyć sobie ujawnienia taśmy.

– A rzeczywiście chcieli mu zaszkodzić?

Publicysta: – Jakubas głośno krytykował decyzję rządu PO-PSL o przeniesieniu aktywów Otwartych Funduszy Emerytalnych do ZUS i jeszcze głośniej ganił zakup Pendolino, bo Newag został na lodzie.

W efekcie, kiedy Belka ogłosił przetarg na bicie groszy, NBP wprowadził w specyfikacji zapis, że powłoka ma być galwanizowana tylko jednokrotnie, a coś takiego potrafi zrobić wyłącznie mennica brytyjska. Jakubas to odebrał jako wyraźny sygnał, że stał się nielubiany. Że najlepiej, jakby Mennicę odsprzedał.

Znajomy spoza stolicy: – W dodatku w tamtym czasie skarbówka zrobiła Zbyszkowi kontrolę na 10 lat wstecz. Osobistą, a nie dotyczącą spółek. Na pewno w jego interesie leżało, by w takiej sytuacji ujawnić rozmowę.

Bartłomiej Sienkiewicz: – Pan Jakubas przysłał mi wtedy nawet jakieś pismo przedprocesowe dotyczące rozmowy z prezesem Belką, ale nie miało ono dalszych konsekwencji. Szczegółów już nie pamiętam.

Odnalazłem ślady tego pisma – powstało latem 2014 roku. Pełnomocnik prawny posiadacza Mennicy Polskiej złożył wówczas zawiadomienie o przestępstwie polegającym na szykanowaniu przez NBP jego firmy oraz (to już wątek niezwiązany z opisywaną historią) pominięciu inwestora w procesie sprzedaży akcji PKP Cargo. Zdaniem mego informatora Jakubas wycenił swoje straty na pół miliarda złotych. Jeszcze za rządów koalicji PO-PSL stołeczna prokuratura odmówiła mu podjęcia śledztwa.

Niechęć pozostała: gdy Platforma wróciła do władzy, a miliarder zorganizował bankiet z okazji 25-lecia Multico, przybyli Lech Wałęsa i Leszek Balcerowicz, ale – jak już wiemy – nie było nikogo z rządu koalicji 15 października.

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

▶ **W 2020 r. miliarder został większościowym udziałowcem klubu piłkarskiego Motor Lublin, który pod jego rządami trzy i pół roku później awansował z II ligi na 7 miejsce w PKO BP Ekstraklasie. Na zdj. Prezes z drużyną świętują awans (3.06.2024)**

Spytałem inwestora wprost, czy z Falentą było tak, jak głosi plotka (pytania na piśmie przekazałem kierowniczce sekretariatu Grupy Kapitałowej „Multico" Milenie Szostak). Czekając na odpowiedź, sprawdziłem relację Jakubas – Falenta.

•

– Znali się doskonale – mówi cytowany już publicysta. – Jakubas protegował Falentę w Polskiej Radzie Biznesu. Można nawet powiedzieć, że on go zbudował. Z kolei dla Falenty znajomość z Jakubasem, na którą często się powoływał, była ważną składową jego wizerunku.

Właściciel Grupy Kapitałowej „Multico" i przyszły organizator podsłuchów poznali się najpóźniej w roku 2006, gdy obaj uczestniczyli w transakcji przejęcia spółki Electus przez Dom Maklerski IDM. Sam miliarder przyznał się do tej znajomości (i jednocześnie nisko ocenił intelekt Falenty) w rozmowie z TVN 24 z czerwca 2014 r.: – Marek Falenta nie jest człowiekiem, który taką intrygę byłby w stanie sam zaplanować. Poza tym: co by miał zyskać?

Zdaniem europosła Sienkiewicza miał zyskać pieniądze: – Falenta grał ze wszystkimi, bo miał naturę gracza, który z każdej sytuacji usiłuje wycisnąć zysk.

A co by zyskał Jakubas?

Znajomy inwestora: – Satysfakcję. Chcieliście mi zaszkodzić, będziecie się mieli z pyszna! On niczego nikomu nie zapomina.

Pytany przez Iwucia: co jeszcze prócz dobrej pamięci „jest potrzebne do sukcesu w biznesie?", miliarder wymienia jako pierwsze – szczęście, jako drugie – wiedzę, dalej kapitał i wizję. – A poza tym biznes musi być dobrze osadzony w czasie. Kiedy w 2003 roku zbudowałem luksusowy apartamentowiec w Warszawie [chodzi o Multico Residence], wyprzedziłem rynek o dwa lata. Sprzedaliśmy mieszkania po 1600 dolarów za m kw., trzy lata później klienci odsprzedawali metr za 5 tysięcy. A w 2010 roku te lokale chodziły po 10. Czyli zarobiłbym kupę kasy, a tak: ledwo wyciągnąłem zainwestowane pieniądze, choć postawiliśmy jeden z najładniejszych budynków w stolicy.

•

We wrześniu 2020 roku miliarder został większościowym udziałowcem Motoru Lublin, który pod jego rządami w ciągu trzech i pół roku awansował z piłkarskiej drugiej ligi do ekstraklasy, gdzie zajął nawet siódmą lokatę, ustanawiając historyczny rekord w swej 75-letniej historii.

Biznesmen wspomina w wywiadzie dla Forbes.pl, że po zakupie drużyny był okres, kiedy sprawy futbolu zajmowały mu „80 procent czasu pracy": – W firmie śmiali się ze mnie, że nie mogą porozmawiać na żadne inne tematy niż piłka. Bo jak wszedłem w działalność sportową, nie miałem na kim polegać i wiele robiłem sam. Był moment, że musiałem przerwać spotkanie biznesowe, żeby poinstruować elektryka, jak ma zrobić na boisku instalację kamer.

Te umożliwiają prezesowi klubu podglądanie treningów piłkarzy w Lublinie bez konieczności wychodzenia zza biurka w Warszawie.

W Strefie Biznesu: – Motor daje mi dużo satysfakcji, ale też generuje 95 proc. mych stresów. Futbol to trudny interes, każdego dnia jakaś zmienna. W zwyczajnym przedsiębiorstwie raz ustalona struktura i filozofia działania z reguły funkcjonują tygodniami, miesiącami, a czasem i latami. Tutaj ktoś sobie nagle naciągnie nogę... Mieliśmy dwóch kontuzjowanych bramkarzy: u jednego więzadło krzyżowe i sześć miesięcy rehabilitacji, u drugiego złamanie palca – dwa miesiące. Musiał wyjść na murawę bramkarz zastępca, który grał ważny mecz może trzeci raz w życiu i w tym stresie wpuścił nam tyle bramek, że się łapałem za głowę...

Miliarder zainwestował w Motor już prawie 70 mln i nazywa klub swoją „wielką rodziną". Nie tylko nadzorował budowę boisk, ale i kupił superautokar dla piłkarzy: taki, gdzie zawodnicy jedzą (bo autobus ma kuchnię), piją ciepłe napoje (bo jest kącik kawowy), a przede wszystkim wracają z meczów na fotelach-leżankach niczym w biznesklasie (wcześniej przysypiali na podłodze).

– Piłka nożna to coś, czym człowiek żyje – mówi Jakubas „Forbesowi". – Kiedyś dużo inwestowałem na giełdzie, tak krótkoterminowo. Lubiłem wypatrzyć okazję i na nią postawić. Teraz już nie gram, bo podobne emocje dają mi drużyna i klub. Nie ukrywam, że przez to mniej się interesuję bieżącymi sprawami innych moich firm. Wycofałem się np. z funkcji zarządczych w Grupie Newag, bo po co mam się im wtrącać do roboty?

Być może właśnie ten niedostatek nadzoru doprowadził do wizerunkowej wpadki znanej jako afera Newagu.

•

Skomplikowany spór techniczny w branży naprawy taboru zamienił się w 2023 roku w ogólnopolską awanturę pod hasłami: „Newag celowo wywoływał awarie swoich pociągów" (Raportkolejowy.pl) oraz „pociągi z nowosądeckiej firmy zatrzymują się w szczerym polu" (Money.pl). Jedno i drugie nie jest prawdą.

W uproszczeniu: po doniesieniu szefa konkurencyjnej firmy kolejowej z Inowrocławia Piotra Mieczkowskiego, krakowska prokura-

eprasa.pl 404822a087

tura regionalna od półtora roku prowadzi wokół Newagu śledztwo z paragrafu 269 Kodeksu karnego: „Kto niszczy, uszkadza, usuwa lub zmienia dane informatyczne o szczególnym znaczeniu dla bezpieczeństwa w komunikacji (...), podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu".

Śledczy podejrzewają, że w lokomotywach Impuls firma Jakubasa zaszyła oprogramowanie, które uniemożliwiało ich serwisowanie w konkurencyjnych warsztatach. Ukryty algorytm miał unieruchamiać maszyny, gdy znajdowały się na stanowiskach serwisowych w inowrocławskim Serwisie Pojazdów Szynowych „Mieczkowski", bydgoskiej Pesie, zakładach naprawczych w Mińsku Mazowieckim.

Jakubas w Zero: – Newag nie był i nie jest właścicielem owego oprogramowania. Kupujemy gotowe programy w Szwajcarii. I nikt nam nie zarzuca, że to my zainstalowaliśmy wirusa, który gdzieś tam nie pozwolił zakładom uruchomić pociągów po serwisie.

Kto, gdzie i po co wgrał złośliwy algorytm, ma wyjaśnić prokuratura, która w ub. r. przeszukała siedzibę Newagu w Nowym Sączu. W retorsji prawnicy firmy złożyli w warszawskim sądzie okręgowym pozew przeciwko Piotrowi Mieczkowskiemu, któremu zarzucają, że grzebał w algorytmach.

Sam Jakubas w rozmowie z Forbes.pl zapewnił, że sprawa w żaden sposób nie dotyka go osobiście, a lokomotywy najlepiej serwisować u producenta, a nie w jakimś tam Inowrocławiu. – Wyobrażacie sobie, żeby Boeing czy Airbus pozwolił komukolwiek grzebać w oprogramowaniu, żeby zaoszczędzić kilka milionów? To jest możliwe tylko w Polsce! Pojazd wyprodukowany przez Newag jedzie do najtańszego zakładu naprawczego, gdzie mają młot i kowadło i gdzie niemiecki hamulec firmy Knorr wymieniają na chiński badziew.

Akcjonariusze Newagu też nie uznali medialnej afery za nic groźnego. Od początku roku akcje firmy urosły o 100 proc. PKP Intercity zamawia tyle lokomotywy, że zakład zwiększa produkcję o kilkadziesiąt procent rocznie. Wkrótce wejdzie na rynek niemiecki.

●

Miliarder powtarza w wywiadach, że spółki skarbowe są w Polsce źle zarządzane, a jednocześnie, jak mówi mi cytowany publicysta: „Prowadzi z ich władzami różne gry, działając rękoma zaufanego człowieka – Piotra Osieckiego".

Ten wszechstronnie wykształcony ekonomista, licencjonowany doradca inwestycyjny i makler w latach 1998-2000 pracował przy prywatyzacjach w Ministerstwie Skarbu Państwa, był też wiceprezesem PZU NFI oraz dyrektorem biura projektów PZU SA. Zasiadał w radach nadzorczych Orlenu, warszawskiej giełdy oraz PKO BP.

W roku 2008 roku założył fundusz inwestycyjny Altus TFI, który już pięć lat później zarządzał aktywami wartymi ponad 2 mld złotych. Jak czytam na stronie Forbes.pl: „Sprężyną sukcesu był oryginalny model działania, który gwarantował klientom zarobek bez względu na giełdową koniunkturę".

Latem 2014 roku Altus zadebiutował na giełdzie, a po kolejnych dwóch latach miał już w zarządzie aktywa wartości przeszło 10 mld złotych. Katastrofa nadeszła w roku 2018 wraz z aferą GetBack. Osiecki został aresztowany, a prokuratura postawiła mu zarzut wyrządzenia „szkody wielkich rozmiarów" przez nazbyt drogą sprzedaż GetBackowi innej firmy windykacyjnej, spółki EGB Investments.

Co to ma wspólnego z Jakubasem?

Miliarder był jednym z przedsiębiorców, którzy poręczyli za Osieckiego. Wyłożył 10 mln złotych i wyjaśnił, że to „wyraz solidarności z zatrzymanym" oraz „sprzeciw wobec nadużywania aresztów wydobywczych" przez prokuraturę Zbigniewa Ziobry.

Prezes Multico osobiście przyszedł na rozprawę aresztową w stołecznym sądzie, gdzie, składając poręczenie, zapewnił, że Osiecki „nie będzie mataczył, nie wyjedzie i nie będzie utrudniał śledztwa". Mało tego: chociaż po zatrzymaniu twórcy Altusa aktywa funduszu spadły z rekordowych 13 mld do niecałych 300 mln, a akcje z 16 do 2 złotych (w cztery miesiące), Jakubas doinwestował biznes Osieckiego, zostając akcjonariuszem mniejszościowym. Komentatorzy giełdowi pisali o „łapaniu spadającego noża", ale miliarder wyznał, że nie żałuje decyzji. Podjął ją w geście solidarności z Osieckim, w którego winę nie wierzy.

I rzeczywiście: z początkiem września tego roku prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie sprzedaży EGB Investments.

Akcje Altusa zyskały natychmiast 50 proc. (zmiana z 2 złotych na 3). Mimo tego Osiecki, który w jeszcze w 2017 roku figurował na liście 100 najbogatszych, już na nią nie wrócił, choć nie przestał być aktywny w biznesie. Przez Grupę Kapitałową „Altus" kontroluje obecnie Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych „Rockbridge", a prócz tego (zdaniem mego rozmówcy publicysty) „jest łącznikiem Jakubasa nie tylko ze spółkami skarbowymi,

Zbigniew Jakubas: Premier Tusk spotkał się z biznesem po półtora roku rządzenia i to jeszcze z łaski. A PiS? Ogłosili, że będą budować nowe elity i te elity okradły nasz kraj na setki milionów

ale i ze średnioszczeblowymi politykami rządzącej koalicji".

Osiecki był w pubie Sławomira Mentzena, gdy ten w trakcie kampanii prezydenckiej spotkał się tam z Rafałem Trzaskowskim i Radosławem Sikorskim, zna się dobrze m.in.z Robertem Kropiwnickim, wiceministrem aktywów państwowych, i z Ireneuszem Fąfarą, prezesem Orlenu, który w 2018 r.został członkiem rady nadzorczej Rockbridge. Obrończyni Osieckiego w siedmioletnim śledztwie wokół EGB Investments, mecenas Katarzyna Szwarc zasiadła z jednej strony w radzie nadzorczej warszawskiej giełdy, a z drugiej – Newagu SA.

●

Miliarder jest również filantropem. Wspomaga liczne podmioty – od fundacji Chleb Życia siostry Małgorzaty Chmielewskiej po fundację Wymarzona Odporność Izabeli Miller.

– Przyjechał na spotkanie z chorymi dziećmi, zostawił 100 tysięcy – słyszę od współpracownika tej drugiej fundacji, warszawiaka, który zna Jakubasa od dawna: – To z jednej strony bardzo ostry gracz, a z drugiej normalny, życzliwy gość. Utrzymuje bez rozgłosu rodzinę ukraińskich uchodźców, którym przekazał willę po rodzicach.

Prócz tego otworzył w Lublinie dom dziecka, gdzie zamieszkało kilkadziesiąt maluchów ze zbombardowanego ukraińskiego sierocińca. W kanale Iwucia mówi, że ma w planach „kolejne projekty społeczne" i zarazem przyznaje, iż polscy miliarderzy nie słyną z dobroczynności. – Syty głodnego nie zrozumie, a mnie wrażliwości nauczyli rodzice. Mama robiła mi drugą kanapkę dla kolegi z klasy, który był dzieckiem z bardzo biednego domu...

W 2017 roku inżynier kupił mieszkanie trójce osieroconych dzieci z miejscowości Myszków, które teraz nazywają go „wujkiem Zbyszkiem". Niedawno sprezentował lokum niewidomej mistrzyni świata w biegach długodystansowych Joannie Mazur – do wydatku namówiła go córka.

Bo Zbigniew i Ewa (ostatnio prokurentka w Multico) mają dwie dorosłe już córy: starszą Izabelę i młodszą Joannę.

Ta druga, bardziej znana, urodzona w 1984 roku aktorka, wokalistka (sopran liryczny) i autorka tekstów, zagrała drobne role w „Kamieniach na szaniec" oraz komedii „Randka w ciemno", śpiewała w paryskiej Operze Bastille, w roku 2022 wydała debiutancki album „My New Wings", gdzie wyśpiewuje uniwersalne hity w rodzaju „Besame mucho" czy „Don't cry for me Argentina".

Jej mniej znana w Polsce starsza siostra – urodzona w 1979 roku Izabela – przed laty wyznała ojcu, że z powodu jego „tyranii przez całe życie" nabrała awersji do przedsiębiorczości i nie zamierza przejmować interesów. Gra role w europejskich teatrach i w odróżnieniu od Joanny konsekwentnie unika dziennikarzy.

Z rozmowy, którą w 2019 roku przeprowadził z Jakubasem serwis Puls Biznesu, wynika, że sukcesorką rodzinnego imperium będzie raczej nie ona, ale młodsza z sióstr:

– Osoby zdolne muzycznie są też utalentowane matematycznie, a zarządzanie firmami to głównie matematyka – zauważył ojciec. – Młodsza córka skończyła międzynarodową szkołę biznesu w Hiszpanii, uczy się dalej i przejawia zainteresowanie, by zrozumieć, na czym polega zarządzanie. Na spacerach rozmawiamy o firmach i tym, jak to wszystko wygląda.

Pod koniec rozmowy w Kanale Zero miliarder zwrócił się do młodszych wiekiem: – Nie przegapcie okresu, w którym teraz jesteście. To czas na zorganizowanie gniazda rodzinnego. Ja największe pieniądze zacząłem zarabiać po pięćdziesiątce, a tak naprawdę później. Chodzi przecież o to, by na koniec nie zostać bogatym, ale samotnym, zgorzkniałym. A obserwuję takie sytuacje.

U Marcina Iwucia: – Danuta Rinn śpiewała, że „pieniądze szczęścia nie dają być może, lecz kufereczek stóweczek daj Boże". Nie mieć pieniędzy jest bardzo źle, ale obracając się wśród zamożnych ludzi, widzę, że częściej szczęśliwi są ci, którzy zarabiają skromnie – mają udane związki i czas na wychowywanie dzieci... natomiast mógłbym na palcach jednej ręki wymienić szczęśliwe rodziny wśród najbogatszych Polaków.

Odpowiedzi Zbigniewa Jakubasa na pytania o Marka Falentę i aferę podsłuchową ostatecznie nie otrzymałem. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34400479

W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ"

DODATEK SPECJALNY

Spadki i testamenty

• Jak napisać testament?
• Kiedy przeprowadzenie jest postępowanie spadkowe w sądzie?
• Jak wydziedziczyć niegodnych krewnych?
• Czy lepiej darować za życia czy zapisać w testamencie?

REKLAMA
PARTNER
unicef
dla każdego dziecka

1 RP

DEMOKRATOM ZALECAM TIKTOKA

Aleksander Kwaśniewski w drugą rocznicę wyborów 15 października: Dużej części świata Polska zaczyna kojarzyć się z Ameryką Trumpa.

Z **ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM,** BYŁYM PREZYDENTEM
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

• **Donald Tusk na przedwyborczym spotkaniu w Centrum Nauki i Techniki EC1 w Łodzi (10.10.2023).** FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Panie prezydencie, co za wspaniała wiadomość! Trump nie dostał pokojowego Nobla. Trafił do Marii Coriny Machado, wenezuelskiej opozycjonistki. Co to znaczy dla USA, dla Europy? Ego Trumpa szybko się nie pozbiera po tej klęsce.
– Nie przesadzałbym. Ma jeszcze kilka okazji, bo jest prezydentem USA. Ale z pewnością uznaje to za zniewagę, więc usłyszymy nie raz, że to nie jego spotkał despekt, ale całe Stany Zjednoczone.

Laureatka na X napisała: „Nagrodę tę dedykuję cierpiącemu narodowi Wenezueli i prezydentowi Trumpowi za jego zdecydowane wsparcie naszej sprawy". Bardzo zgrabnie dyplomatycznie.

On nadal będzie o tę nagrodę zabiegał, z dwóch powodów. Po pierwsze, to jego niepohamowana ambicja, a po drugie, polityka Trumpa od początku była budowana na niechęci do prezydenta Obamy, który dostał Nobla w pierwszym roku prezydentury, trochę na zachętę. Podczas pierwszej kadencji Trump zniszczył więc wszystkie osiągnięcia Obamy, jak ubezpieczenia zdrowotne Obamacare, umowa o kontroli badań atomowych z Iranem czy liberalizacja relacji z Kubą.

Trump nie zniechęci się do starań o pokój w Ukrainie i Gazie? Bo wyraźnie to właśnie taka wizja Nobla go nakręcała.
– Jestem krytyczny wobec jego rozumienia polityki, stylu władzy, ale jeśli doprowadzi gdzieś do pokoju, to wspaniale i nieważne, czy powoduje nim narcyzm czy szczere przekonanie. A miejsce konfliktu jest o jedno mniej, to trzeba docenić.

Tyle że rozejm w Gazie to dopiero pierwszy krok, bo mówimy o konflikcie, który ma przeszło stuletnią historię, a działania Trumpa są obliczone na szybki efekt. Lubi spektakularne ruchy i uważa, że ludzie nie powinni się zabijać. Zrobił wrażenie, ludzie przestali się zabijać, więc zajmie się czymś innym, a przyczyny konfliktu pozostały nietknięte.

Zasadniczo bym zalecał członkom Komitetu Noblowskiego ostrożność w stosunku do liderów, a szczególnie liderów wielkich mocarstw. Dlatego że ich dążenia do pokoju z reguły wynikają z celów, które z pokojem nie mają wiele wspólnego, a często są zwyczajną agresją.

W 1994 r. Nobla dostali premier Izraela Icchak Rabin, minister spraw zagranicznych Szimon Peres i przewodniczący Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jaser Arafat za podpisanie porozumienia pomiędzy Izraelem i OWP. Jeżeli uznamy, że samo utworzenie dialogu jest warte Nobla, to zasłużenie. Ale gdy spojrzeć na skutki porozumienia, to widać, że myśmy nie osiągnęli żadnego postępu. Dlatego Nobel powinien być dawany za długotrwały, sprawiedliwy pokój.

W ostatnich latach jesteśmy świadkami regresu demokratycznych standardów i w Europie, i w Stanach. Czy to koniec epoki demokracji liberalnej? Czeka nas mieszanka jakiejś demokracji z autorytaryzmem?
– Jedno jest pewne – epoka liberalnej demokracji się kończy. Przyczyny są związane nie tylko z samą polityką, jej uprawianiem, stylem, lecz także z bardziej zasadniczymi powodami, które zmieniły sytuację. I to się stało z początkiem XXI wieku.

11 września 2001 roku.
– Atak terrorystyczny na USA był niezwykle znaczący: oto najpotężniejszy, najbogatszy lider demokratycznego świata został zaatakowany w sposób niezwykle prosty i wykazał się bezradnością. Ci chłopcy nauczyli się tylko startować, wsiedli do samolotów, przejęli stery i zniszczyli nasz świat. Zaatakowali najważniejsze symboliczne budynki Ameryki – WTC,

eprasa.pl 404822a087

czyli centrum biznesowe świata, Pentagon, czyli centrum militarne imperium, a gdyby udało im się dolecieć na Kapitol, czyli do świątyni amerykańskiej demokracji... Tak szokujący atak sprowokował pytanie, które odnosimy do coraz to kolejnych dziedzin życia i które kieruje nas w stronę daleką od zasad demokratycznych – bezpieczeństwo czy wolność? Czy musimy ograniczyć naszą wolność, żeby mieć więcej bezpieczeństwa? Aż w ogóle nie mamy wolności, a bezpieczeństwo dostajemy niepewne – bo stuprocentowego nikt nigdy nie zapewni.

Ale przede wszystkim na początku XXI wieku doszło do niezwykłego przyspieszenia, jeśli chodzi o nowe technologie. Rozwój platform społecznościowych spowodował, że skończył się system oparty na sprawdzonej informacji, na dyskursie o faktach, na dialogu między rywalizującymi stronami. Partie i tradycyjni politycy stracili umiejętność komunikacji z elektoratem, bo elektorat znalazł atrakcyjniejszy, bezpośredni przekaz i kanały komunikacji.

Ale pewien typ polityków na tym zyskał – populiści.
– Mnie w tym alt-prawicowym populistycznym natarciu najbardziej zdumiewa, że facet, który najlepiej umie korzystać z nowych środków komunikacji, to 80-letni Trump.

A potem, też w pierwszych latach XXI wieku, był wielki kryzys finansowy i jego dwie konsekwencje, czyli utrata zaufania do tradycyjnej demokracji, zasad rynkowych, kapitalizmu oraz osłabienie klasy średniej, bazy tej demokracji. Co przełożyło się na kryzys przywództwa. Na czym to polega, świetnie pokazuje film „Nomadland": amerykańska niższa klasa średnia, która ma dom na kredyt, zbliża się do emerytury, czeka na nią, liczy na w miarę dostatnie lata wypoczynku, ale traci wszystko. Dom przejmuje bank, emerytury nie będzie, został tylko kamper, więc jeździ nim po Stanach, szukając dorywczej pracy. Na kogo ci ludzie mają głosować? Dlaczego mają nadal ufać tym, którzy obiecywali, że będą mieli emeryturę w swoim domu na kredyt? Tym, którzy wsparli spekulantów i wielkich finansistów, a ich zostawili samym sobie?

Albo spójrzmy na Hiszpanię. 30-40 procent młodych ludzi z wykształceniem jest bez pracy. Hiszpania ma najwyższy poziom bezrobocia w generacji, która formalnie jest najlepiej wykształcona w historii cywilizacji. Dlaczego ci młodzi ludzie mają wierzyć elitom? Dlaczego nie spróbować uwierzyć populistom, którzy mówią proste rzeczy i mają prostą receptę? I tak niczym nie ryzykują, bo niewiele mają.

Minęło kilka lat i rozkręcił się kolejny kryzys, migracyjny, który przeszedł w stały proces napędzany regionalnymi wojnami i zmianami klimatycznymi. Ludzie uciekają z miejsc, gdzie nie ma wody, nie ma jak uprawiać żywności. Co prawda bogate kraje, do których jadą, potrzebują migrantów, bo nie ma ludzi do pracy w fabrykach, w usługach, do opieki nad seniorami. Tylko że my chcielibyśmy, żeby przyjeżdżali ci piękni, pracowici i legalni, a przyjeżdżają różni. I mamy wybuchową mieszankę.

Dynamika tych procesów jest różna, więc konflikt jest nieuchronny, bo na przykład nacisk migracyjny będzie rósł szybciej, niż zdołamy rozwiązywać problemy, które go napędzają, na przykład przez inwestycje w Afryce.

A do tego wszystkiego rozsypuje się architektura geostrategiczna zorganizowana po II wojnie, najpierw wokół dwóch mocarstw nuklearnych, a po upadku ZSRR wokół szeroko rozumianego Zachodu. Ta architektura mimo różnych regionalnych wstrząsów dawała jakąś podstawową przewidywalność.

Teraz zaczyna się gra o pozycję w nowej architekturze. Gracze są znani. Chiny to potencjał gospodarczy i technologiczny. USA, potęga wciąż dominująca rynkowo, wojskowo i technologicznie, gotowa na wiele, by utrzymać status. Rosja, rozpaczliwie próbująca zachować status, której jedynymi argumentami są terytorium i arsenał nuklearny, więc tym bardziej zdeterminowana. Unia Europejska, która ma wszystko, żeby być wśród tych paru największych graczy, ale ma też zasady etyczne utrudniające tę walkę oraz wewnętrzne problemy. I jeszcze tak zwane Globalne Południe, coraz pewniejsze siebie, z Indiami na czele.

Brutalną walkę o nową architekturę geopolityczną toczą ambitni politycy, którzy podważają reguły – a to z jeszcze kolejnej strony podkopuje tradycyjne, deliberatywne demokracje.

Ten chaos nie skończy się w ciągu paru lat.

W dodatku UE jest zagrożona i ze strony Putina, który grozi wojną realną, i ze strony Trumpa, który wypowiada nam wojnę kulturową oraz gospodarczą.
– To prawda, ale Europa ma też swój autorski wkład. No ani Trump, ani Putin nie wymyślili nam Kaczyńskiego w Polsce, Orbana na Węgrzech, Le Pen we Francji.

Ale obaj wtrącają się w europejskie wybory.
– Każdy kraj musimy rozpatrywać inaczej. Fenomen PiS i Kaczyńskiego rzecz jasna wyrósł z polskiego konserwatyzmu, szczególnie katolickiego, z nacjonalizmu, z niechęci do obcych, z antysemityzmu. Ale to tylko część diagnozy. Demokraci popełnili błąd, nie zauważając, że sukces Polski ma nie tylko twarz wesołą, również twarz przegraną, smutną. A Kaczyński to zrozumiał, bo sam był przegranym. Gdyby Wałęsa go szybko, na samym początku wolnej Polski, kiedy ludzie peerelowskiej opozycji dopiero zaczynali publiczne kariery, nie wywalił z Kancelarii Prezydenta, to Kaczyński takiej polityki jak dziś raczej by nie prowadził.

Pamięta pan hasło wyborcze PiS z 2015 roku? „Polska w ruinie". Nie była, a jednak PiS był przekonujący.
– Bo każdy, kto się choć trochę źle czuł, znalazł winnego. Kłamstwo trafiło na realny, przygotowany grunt. Przegrani, którzy stracili pracę, którzy nie mogli się odnaleźć w nowej rzeczywistości po 1989 roku, przyjęli to hasło jako swoje. Mieliśmy wtedy i inne kłamstwa – jak te, że największym zagrożeniem dla Polski są migranci czy osoby LGBT, ale kłamstwo o zrujnowanej Polsce przemawiało do największej liczby różnych grup i środowisk.

W Niemczech przyczyny popadania w nacjonalizm i źródła popularności AfD również są historyczne, ale inne. Oni podejmują próbę rewizji przeszłości, że nie cały Wehrmacht był taki zły, że nie wszyscy w III Rzeszy byli mordercami. To się podoba, bo przez lata takie głosy były uciszane.

Aktualne problemy napędzające radykałów też różnią się od naszych. To migracja – bo przecież to najbogatsze na kontynencie Niemcy z ich polityką socjalną są marzeniem ludzi ruszających w drogę – oraz kryzys czegoś, co stanowiło o niemieckiej sile, dumie i odporności. Przez całe lata Niemcy suchą stopą przechodzili przez kryzysy dzięki bardzo silnej gospodarce. Kto dostarczał samochody, maszyny, precyzyjną technikę, chemię połowie świata? A tu nagle się okazało, że Chiny są konkurencją już nie tylko w masowej produkcji konsumpcyjnej i nowych technologiach, ale nawet w tradycyjnych „inżynierskich" branżach, jak motoryzacja. Równocześnie wskutek wojny w Ukrainie stracili źródło taniej energii, czyli gazu i ropy z Rosji, które wspierały ich konkurencyjność.

Natomiast Niemcy mają jedną przewagę nad Polską – u nich partie demokratyczne tworzą kordon dla sił nacjonalistycznych. Bo gdy przychodzi co do czego, są zdolne ze sobą rozmawiać. Dlatego w Niemczech kolejny raz mamy koalicję chadeków z CDU-CSU i socjaldemokratów z SPD.

Lecz niezależnie od podobieństw i różnic między prawicowymi populizmami największy kłopot mamy wspólny – za oceanem. Ale wcale nie chodzi o Trumpa. Jakkolwiek by się nazywał kolejny prezydent, USA i tak będą się od Europy, coraz bardziej dystansowały. Bo po prostu Amerykanów pochodzenia europejskiego jest coraz mniej. Z każdym rokiem Ameryka będzie dużo bardziej latynoska, dużo bardziej azjatycka.

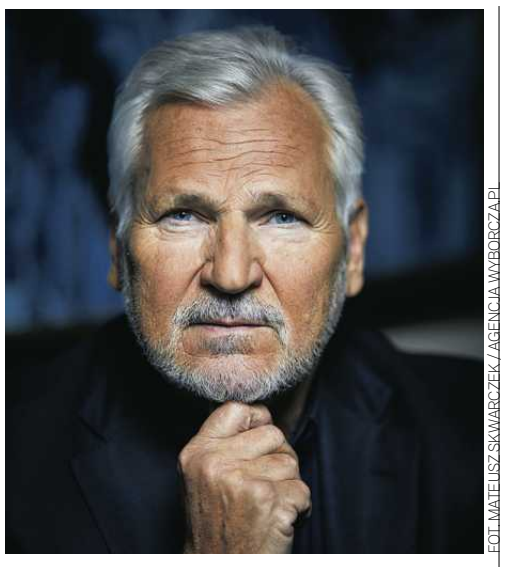
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jeżeli strona demokratyczna chce opinii publicznej w dwulecie zwycięstwa zaproponować jako wiodący temat dyskusję, czy Hołownia ustąpi, czy nie i czy pani Pełczyńska-Nałęcz będzie wicepremierem, czy nie – to jest po prostu żenujące

Kiedy prowadziliśmy rozmowy o rozszerzeniu NATO, sekretarzem stanu była Madeleine Albright, Czeszka. Jej nie trzeba było tłumaczyć, gdzie leży Polska, na czym polega Europa Środkowa, dlaczego powinniśmy być w Sojuszu. Dzisiaj sekretarzem stanu jest Marco Rubio, z pochodzenia Kubańczyk. Dla niego nasz region jest oczywiście ważny, rozumie uwarunkowania geopolityczne, ale niuanse już niekoniecznie. A emocji tu nie ma żadnych. Z nim od serca moglibyśmy rozmawiać o Ameryce Łacińskiej. To dotyczy nie tylko Europy Środkowej czy Wschodniej, ale też całej wielowiekowej relacji transatlantyckiej. Potomków Polaków, wschodnioeuropejskich Żydów, Włochów, Irlandczyków, Niemców będzie coraz mniej. Siłą rzeczy i w gospodarce, i w polityce będziemy mieli coraz więcej ludzi, którzy emocjonalnie są związani z innymi światami, a więc także z innymi wartościami.

Dlatego Europa musi się uniezależniać. Od przemysłu zbrojeniowego poczynając.

Do tej pory Unia liczyła na NATO, teraz...
– ...akurat w to nie wierzę, że Amerykanie z NATO wycofają się zupełnie. Będą różne kolejne deklaracje Trumpa, ale należy je traktować jako element nacisku negocjacyjnego. On ma transakcyjny sposób myślenia. Jego pomysł na NATO jest prosty: niech płacą po 5 procent PKB na obronność i niech za te pieniądze kupują broń u nas, to będzie OK.

Natomiast fizyczna obecność amerykańskich oddziałów w Europie rzeczywiście stoi pod znakiem zapytania. Zapewne w Kongresie, w Pentagonie, w Departamencie Stanu jest, nawet wśród trumpistów, wciąż wystarczająco duża grupa polityków świadomych, jak ważna dla interesów i bezpieczeństwa USA jest Europa. Ale jak długo? Dlatego czynnik europejski trzeba wzmacniać.

Kłopot w tym, że to wzmacnianie też generuje problemy. Trump zmusił Niemcy do zwiększenia wydatków na zbrojenia. Ale 5 procent niemieckiego PKB to coś zupełnie innego niż 5 procent estońskiego, portugalskiego czy nawet naszego. To jakieś 200 miliardów euro rocznie. A militaryzacja Niemiec od razu budzi niemiłe skojarzenia.

Jednocześnie silna, konkurencyjna Unia nie jest specjalnie miła sercu nie tylko Chińczykom i Rosjanom, ale i Amerykanom. Co oznacza, że w warunkach wojny – niewypowiedzianej, gospodarczo-kulturowej, tej o nową globalną architekturę – trzeba odłożyć na półkę koncepcje federalistyczne, koncepcje Stanów Zjednoczonych Europy. Nie dlatego, że to zły pomysł, ale – pomijając już, że tak polaryzujący temat natychmiast wykorzystałyby rosyjskie trolle – pochłaniałby zasoby i energię potrzebne tu i teraz do konsolidowania europejskich możliwości naukowych, technologicznych i wspólnych działań przeciwko pandemiom, migracjom, zmianom klimatycznym.

Mówimy o kryzysie głównie w kontekście bezpieczeństwa, ale przecież Trump walczy również z naszym światem idei – z liberalną demokracją, z sądami, z prokuraturą, z autonomią uniwersytetów, z kancelariami prawnymi. Ogranicza niezależność tych instytucji, podważa ich autorytet.
– Odpowiem nie wprost. Przecież Trump nie pojawił się znikąd. Dlaczego on się Ameryce przydarza? Bo Ameryka znalazła się w głębokim kryzysie. Nieźle zilustruje go anegdota o 11 września 2001.

W 2005 r., pod koniec drugiej kadencji, zaproszono mnie – jako pierwszego polityka z naszego regionu i drugiego z NATO – do słynnej Cheyenne Mountain, czyli centrum dowodzenia powietrznego w Kolorado. Baza wydrążona w skale, metrowej grubości wrota, śluzy, wyrównywanie ciśnień, wielka sala, mnóstwo świecących monitorów... To robi kolosalne wrażenie. Przyglądam się wielkiemu ekranowi z całą przestrzenią powietrzną nad USA, na nim tysiące przemieszczających się punkcików i jeden wyróżniony otoczką, Air Force One, więc zaczynam pytanie: a gdy 11 września otrzymaliście alarm o atakach... I zapada głęboka cisza. Okazuje się, że oni dowiedzieli się z CNN, czyli tak samo jak ja w Warszawie. Bo do 11 września 2001 te wszystkie ekrany pokazywały niebo tylko do wybrzeża. Przestrzeń wewnętrzna w ogóle nie była monitorowana!

Coś podobnego działo się przez ostatnich wiele lat w amerykańskich partiach. Rządziły nimi dwa klany, Bushów i Clintonów, panował głęboki kryzys i wizji, i realnego przywództwa. Tak się złożyło, że pierwsi uświadomili sobie głębokość tego kryzysu Republikanie. I pierwsi odważyli się na nowatorski krok: postawili na outsidera. Bo Trump to nie był nikt z ich grona, z tradycyjnego establishmentu politycznego. Owszem, był członkiem socjety i elity biznesowej, ale nie żadnym gubernatorem, senatorem czy partyjnym baronem. Ale miał talenty osobiste, szczególnie komunikacyjne, miał siłę przebicia, energię i bezdyskusyjną bezczelność. Lecz Demokratom jego pierwsza wygrana nie dała do myślenia. Uśpiła ich jego przegrana z Bidenem, symbolem establishmentu i tradycyjnej, przewidywalnej polityki. Uznali, że świat wraca na dawne, znajome tory. Tymczasem Trump wykorzystał czas po porażce, by się przygotować na drugą kadencję. I dlatego jest znacznie efektywniejszy i dużo bardziej niebezpieczny niż w pierwszej.

Uważam, że jego prezydentura może być w jakimś sensie ozdrowieńcza dla Ameryki. Oczywiście on nie rozwiązuje problemów, wysłanie wojska do miasta, by przepędzić bezdomnych czy przestępców, nie likwiduje problemu bezdomności czy przestępczości. Chodzi o to, że Ameryka potrzebuje szoku.

Ale to szok, że schlebiają mu te same elity, które zwalcza – prawnicy, wielcy biznesmeni, uczelnie wyższe. Ze strachu?
– I z oportunizmu. Co pokazuje, że wbrew naszym wyobrażeniom o sile ich instytucji i bezpieczników ustrojowych Ameryka nie jest impregnowana na niskie pobudki, pokusy, interesowność, niedokształcenie i ignorancję. Że Amerykanie nie mają szczepionki na autorytaryzm. Jeśli coś mnie zaskakuje, to że ten proces idzie tak szybko i tak daleko. Nie wierzę, że Trumpowi uda się trwale zniszczyć instytucje, ale na pewno je osłabi i zepsuje.

1 RP

eprasa.pl 404822a087

Oraz cofnie o dekady. Pete Hegseth, szef Pentagonu, przemawiając w bazie Korpusu Piechoty Morskiej w Quantico do kilkuset generałów, wykrzyczał: „Koniec z miesiącami tożsamości, różnorodnością w biurach, facetami w sukienkach, nie będzie dalej zaburzeń, złudzeń płciowych! Nie ma więcej śmieci. Skończyliśmy z tym gównem!”.
– To druga rzecz, która mnie zaskakuje. Nie sam atak na postępowe idee, ale to, że tak łatwo i szybko cofamy się w prawach obywatelskich.

A może mamy wrażenie wyjątkowego regresu za sprawą formy, która szokuje naszą wrażliwość? Bo przecież fale reakcji obyczajowej już się zdarzały, choćby za Reagana. Może zmieniła się nie sama konserwatywna agenda, tylko język, styl, w jakim jest wprowadzana? Każde stare pokolenie miało młodszemu za złe wiele rzeczy, ubolewało nad czymś, a z drugiej strony świat jednak szedł naprzód.

O Putinie, wzorcowym autokracie, Trump mówi „błyskotliwy”, „geniusz”.
– W tym widzę nie tyle przemyślany projekt autokratyczny, ile charakter – maczystowską mentalność Trumpa, który po prostu uważa, że jeśli ktoś jest silny i ma władzę, to ma być tak, jak on chce. A potem ma prawo zmienić zdanie.

Co na krótką metę może być korzystne dla wolnego świata. Bo Trump nie ma sztywnego światopoglądu. Weźmy Ukrainę. Na początku mówił, że tej wojny by nie było, gdyby pozostał prezydentem, potem – że w dobę załatwi pokój, następnie – że nie spodziewał się, że to wszystko takie trudne, a teraz dochodzi do wniosku, że Ukraina mogłaby odzyskać ziemie, które utraciła. Więc jeżeli podejmie decyzję o sprzedaży Ukraińcom tomahawków, które mają zasięg 2,5 tysiąca kilometrów, to znaczy, że za miesiąc czy rok podobną woltę może wykonać w sprawie Europy czy migrantów.

Jest pan rozczarowany Demokratami.
– Oni teraz są w kryzysie nawet głębszym, niż byli Republikanie po Bushu synu. Dzisiaj jedyną postacią Demokratów, której głos jest wyrazisty i odnoszący się do trosk zwykłych Amerykanów, jest Bernie Sanders. Rocznik 1941, a zdaniem przywódców partii niepoważny radykał. Co znaczy, że u nich wszystko nie działa.

Nasi demokraci też są w rozsypce.
– No są.

Demokraci – nasi, amerykańscy, wszyscy na Zachodzie – muszą odnaleźć język komunikacji, szczególnie z młodymi wyborcami. Można się oburzać na skrótowość przekazu TikToka, na efekciarstwo Instagrama, ale ewolucji środków przekazu nie zatrzymamy. Możemy gardzić uproszczonym językiem X czy opowiadaniem o poważnych, skomplikowanych sprawach przez kilkudziesięciosekundowe rolki, ale zmiany technologiczne i tak będą na nas wpływać.

Nie może być tak, że młodych wyborców lepiej mapuje i odczytuje prawica. Że w serwisach społecznościowych bogoojczyźniani konserwatyści są lepsi niż progresywni demokraci. Jarosław Kaczyński przecież nie używa TikToka, ale ma odwagę wziąć na pokład ludzi, którzy się na tym znają. Wybory prezydenckie najdobitniej pokazały, jak daleko komunikacyjnie jest KO od PiS. Kampania Trzaskowskiego była robiona chałupniczo. Kampania Nawrockiego profesjonalnie. Amen. Niechże wreszcie wyciągną z tego wnioski. Tłumaczenie Trzaskowskiego, że przegrał, bo jest zbyt elokwentny...

Przegrał ledwie o jakieś 300 tysięcy głosów.
– To tym bardziej oburzające, bo oznacza, że te wybory były do wygrania. Mając kompetentnego kandydata, mając zaplecze w postaci analityków, socjologów, specjalistów od komunikacji w internecie, od marketingu, mając wolontariuszy ze świata biznesu, nauki, PR-u...

...nie słuchali ich...
– ...czyli przegrali na własne życzenie.

Podobnie było w 2015 r. Komorowski przegrał z Dudą, bo w jego sztabie nikt nie chciał słuchać tych, którzy widzieli topniejące poparcie dla urzędującego prezydenta i dynamikę „kandydata no name”.
– Jeśli przy obecnym poziomie komunikacji coś może zaangażować nie tylko żelaznych wyborców, to temat, który obchodzi wszystkich. Oczywiście w Ukrainie czy w Moskwie może wydarzyć się nagle coś, co odmieni nastroje, niemniej dziś bezpieczeństwo wydaje się kluczowym kryterium, według którego wyborcy będą reagować w 2027 roku. Jesteśmy bezpieczni czy nie i komu to zawdzięczamy?

Jest jeszcze jeden temat angażujący wyborców, którym gra opozycja, a rządzący próbują za nią nadążyć. To niechęć do Ukraińców. I rząd nakręca te nastroje, niestety.
– Psychologicznie to zrozumiałe. Okazaliśmy wielką otwartość i szczodrość, przyjmując miliony uchodźców, głównie kobiet z dziećmi na początku wojny. Ale gość na trzy dni, na miesiąc czy na lata to różne sprawy. Dziś pojawia się zniecierpliwienie. Widzimy czasem trudne do zaakceptowania zachowania, które przecież nie są powszechne, ale są wyolbrzymiane i zatruwają relacje. To wszystko byłoby do zrozumienia i opanowania, ale wkroczyła polityka cynizmu. Konfederacja pierwsza, za nią PiS, a potem jeszcze inni uznali, że te nastroje da się zamienić w głosy, poparcie. Pewnie coś to im da, ale skutki będą opłakane, a koszty wysokie. Roztrwaniamy wielki kapitał solidarności, którą pokazaliśmy w 2022 r., za to wzmacniamy historyczne pretensje i resentymenty. A rząd i partie go tworzące obawiają się tej fali i reagują bojaźliwie.

Tymczasem rząd ma przecież narzędzia – od kanałów w serwisach społecznościowych, przez media publiczne, po kampanie informacyjne w mediach komercyjnych czy na ulicach – by to kontrolować. Na przykład, przekazując prawdziwe informacje o Ukraińcach – że 80 procent z nich pracuje, płaci podatki. Że jak ich tu nie będzie, padną usługi. No i kto będzie się opiekować staruszkami?

Może nikt w rządzie nie ma do tego głowy, bo wszyscy gaszą bieżące pożary. Na przykład ten wokół walki o fotel marszałka Sejmu.
– Jeżeli strona demokratyczna chce opinii publicznej – tym tak różnorodnym ludziom, którzy 15 października 2023 odsunęli od władzy PiS – w dwulecie zwycięstwa zaproponować jako wiodący temat dyskusję, czy Hołownia ustąpi czy nie i czy pani Pełczyńska-Nałęcz będzie wicepremierem czy nie, to jest żenujące.

A skoro rozmawiamy o naszym położeniu w świecie, a pani przywołała Hołownię, to uważam, że skupianie całego zainteresowania opinii publicznej polską polityką międzynarodową na tym, czy pojedzie do ONZ, nie ma sensu.

Nie kibicuje pan Hołowni?
– Nie o to chodzi, czy kibicuję czy nie. Szanse są niezwykle małe. Widziałem listę kandydatów i jego rywale to są ludzie i dużo bardziej doświadczeni dyplomatycznie, i mocniejsi politycznie w strukturach ONZ.

Trzeba też zdawać sobie sprawę, jaki wizerunek Polski, jeśli chodzi o prawa człowieka, towarzyszy naszemu kandydatowi. Dla Rosji i jej popleczników to, co reprezentuje sobą Polska, jej droga ostatnich dekad, jednoznaczne definiowanie się jako część wolnego świata Zachodu, jest nie do przyjęcia. Jednocześnie w sprawach uchodźczych nie jesteśmy łatwym partnerem dla Unii, bo nie chcemy imigrantów. A z punktu widzenia reszty świata – Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej – jesteśmy krajem, który nie lubi obcych, nie chce obcych, w którym uchodźców okłada się pięściami w tramwaju. I nieważne, że to są wypadki rzadkie. Chodzi o to, że przez takie incydenty i przez antyimigrancki przekaz – cóż, że tworzony na użytek krajowej polityki – zaczynamy się kojarzyć z Ameryką Trumpa. Jako państwo, które nie lubi ludzi innej kultury, innego koloru skóry i nie chce pomagać.

A Tuskowi pan kibicuje? Czy po tym wszystkim, o czym rozmawialiśmy, powinien przestać być premierem?
– Kibicuję stronie demokratycznej, bo uważam, że mimo wszystkich niedoskonałości jest lepszym rozwiązaniem dla Polski niż skręt w stronę nacjonalizmu, dystansowanie się od Unii Europejskiej i konflikt z sąsiadami, z którymi powinniśmy mieć dobre relacje.

Jednocześnie demokraci muszą uczciwie powiedzieć: to nie tak, że mamy wybór, czy będziemy proamerykańscy czy proeuropejscy. Z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa, dobrobytu i wolności trzeba być i proamerykańskim, uznawać Trumpa, blisko z nim współpracować, i proeuropejskim, bo Polska leży w Europie.

Musimy przed Trumpem rozwijać czerwony dywan tak jak Wielka Brytania, przyjmować go po królewsku?
– Mamy problem. U nas króla nie ma, a golf w Polsce dopiero się rozwija. W związku z tym wśród polityków nie ma ani jednego zdolnego golfisty, który mógłby na polu golfowym stanąć z Trumpem i się nie ośmieszyć. Czym więc możemy go ująć?

To kto może z Trumpem rozmawiać? Prezydent Nawrocki? Od polityków centrowych i liberalnych słyszymy, że zabiega służalczo o sympatię Trumpa, na co prawica odpowiada, że wzmacnia pozycję Polski za oceanem dzięki światopoglądowemu pokrewieństwu. Jakie są polskie relacje z Ameryką Trumpa?
– Dla prezydenta USA naturalnym partnerem jest prezydent Polski, ale nasi premierzy także mieli kontakt z Białym Domem. Pamiętam z mojego okresu, że Jerzy Buzek rozmawiał z Billem Clintonem, a Leszek Miller z Bushem juniorem. Nie miałem z tym problemu. Biden przyjął Andrzeja Dudę i Donalda Tuska razem i to też był sygnał – jak oni widzą polską kohabitację. Ale czy z Donaldem Trumpem coś takiego byłoby możliwe? Wątpię.

Nasze relacje są dobre i zmiany na szczytach po obu stronach tego zasadniczo nie zmieniają. Jednakże trzeba pamiętać, że dla nas Stany są partnerem strategicznym, a my dla nich ważnym, ale nie strategicznym. Rosyjska agresja na Ukrainę wzmocniła nasze znaczenie jako kraju frontowego i hubu, ale nie na tyle, żeby zaproszono nas na rozmowy do Waszyngtonu po szczycie Putin – Trump czy na konferencję do Egiptu po porozumieniu w sprawie Gazy. To są realia.

A w w Europie? Często słyszymy, że już nie występujemy w roli petenta, staliśmy się jednym z głównych rozgrywających. Są też głosy, że nie wykorzystaliśmy szansy, jaką był powrót do władzy liberalnych demokratów przyjęty w zachodnich stolicach entuzjastycznie, bo nie narzucamy naszej agendy, nie przedstawiamy własnej wizji Europy. Jaka jest pozycja Polski w Europie? Z kim się dogadujemy, z kim możemy zawiązywać korzystne dla nas koalicje?
– Jesteśmy ważnym krajem w UE i najważniejszym na wschodniej flance NATO. Gospodarka się rozwija i to buduje naszą pozycję, ale osłabia nas głęboka polaryzacja. W Unii liczą się rząd i premier, ale to, że mamy konflikt z prezydentem i paraliż decyzyjny w wielu kluczowych sprawach, jest naszym partnerom znane. Ci, co nam dobrze życzą, boleją nad tym, a ci, co życzą gorzej, będą to wykorzystywać.

Kto?
– Za chwilę na przykład wszyscy partnerzy w Grupie Wyszehradzkiej. Dlatego Francja i Niemcy powinni być naszymi bliskimi partnerami w najważniejszych sprawach – bezpieczeństwa, migracji, nowych technologii. Jednocześnie rośnie znaczenie współpracy bałtyckiej, zagrożenie ze strony Rosji zbliża nas z krajami bałtyckimi, Szwecją, Finlandią, Danią. Lecz potrzebujemy efektywniejszych relacji także z Wielką Brytanią, która ma potencjał i chęć działania w sprawach bezpieczeństwa, i konsekwentnie wspomaga Ukrainę. A dodatkowo tam mieszka milion Polek i Polaków.

Na pewno w tych zwariowanych czasach ważniejsze niż kiedykolwiek są dobre relacje personalne. Pozycja prezydenta Finlandii ogromnie wzrosła, bo gra w golfa z Trumpem. Premierka Meloni z Włoch cieszy się sympatią gospodarza Białego Domu i widać, jak wielkie to ma znaczenie. My też mamy takie atuty. Donald Tusk i Radek Sikorski to czołówka europejskiej polityki. Wiedza, doświadczenie, kontakty, dobra komunikacja z partnerami, rozmówcami i publicznością wzmacniają naszą pozycję w Europie.

A jakie błędy popełniliśmy w sprawie Ukrainy? Nawrocki, wiadomo, jest nastawiony inaczej niż Andrzej Duda, antyukraiński niemal jak Konfederacja.
– Błędem jest to, że niweczymy kapitał solidarności, którego jako społeczeństwo udzieliliśmy Ukraińcom na początku wojny. To powinien być akt założycielski relacji między naszymi narodami na kolejne wieki, a może się okazać jedynie epizodem w naszej długiej i skomplikowanej historii.

Lecz naprawdę poważne błędy były nie nasze, ale wspólne – Zachodu, NATO, demokratycznego świata. Za późno dostarczaliśmy broń, środki obrony powietrznej, rakiety pozwalające atakować centra rosyjskiej agresji. I niezdecydowanie – kilka razy pierwszą reakcją Zachodu na oczekiwania Ukrainy było „nie”, a parę miesięcy później już „tak”.

Wielkim błędem jest to twarde „nie” nie tylko Trumpa, ale i Nawrockiego, i innych wobec członkostwa Ukrainy w NATO. Przecież oni już dziś pod wieloma względami są w tych strukturach. Mają naszą broń, wyposażenie, są szkoleni w krajach NATO, korzystają z informacji wywiadowczych. Skoro tyle mówimy o bezpieczeństwie Europy w kontekście rosyjskiego zagrożenia, to Ukraina w NATO poszerza tę bezpieczną strefę i wzmacnia nasze siły o 800 tysięcy doświadczonych, zaprawionych, zdeterminowanych żołnierzy, oficerów i dowódców. Mamy po sąsiedzku armię, która w prawdziwym boju korzysta z najnowocześniejszej broni i technik i tak naprawdę jako jedyna w Europie wie, jak wygląda wojna XXI wieku.

A jeśli myślimy już o czasie pokoju i chcemy zapewnić Ukrainie gwarancje bezpieczeństwa, efektywne, a nie papierowe jak w 1994 roku w Budapeszcie, to też członkostwo w NATO jest najlepszym rozwiązaniem. ●

Igrzyska Wolności

• to spotkanie ludzi ciekawych świata i głodnych nowych idei od 11 lat gromadzące przedstawicielki i przedstawicieli świata kultury, biznesu i życia publicznego z kraju i zagranicy oraz szeroką publiczność wokół wspólnej idei: wizji świata opartego na wolności i dialogu.

Hasło przewodnie tegorocznej edycji to „Czas niepewności”. W tych dwóch słowach zawiera się wszystko, co nas trapi: wojna, kryzysy gospodarcze, zmiany klimatu, presja migracyjna, zagrożenia związane z AI.

Udział w dyskusji o tym, jak budować systemową odporność, która pozwoli nam mierzyć się z aktualnymi wyzwaniami, potwierdziły takie osobowości krajowej i światowej polityki, ekonomii, nauki, kultury i show-biznesu, jak: George Clooney, Jerzy Owsiak, Marek Kondrat, Megan Nolan, Szczepan Twardoch czy Joanna Kuciel-Frydryszak.

eprasa.pl 404822a087

ŚWIAT

KOŚCIÓŁ *już nie będzie pusty*

Garstka wiernych i ksiądz w maseczce – ostatnie nabożeństwo w kościele Ducha Świętego w Essen wyglądało dość ponuro. Cztery lata później podczas oficjalnej desakralizacji kościół był pełny.

Emilia Dłużewska

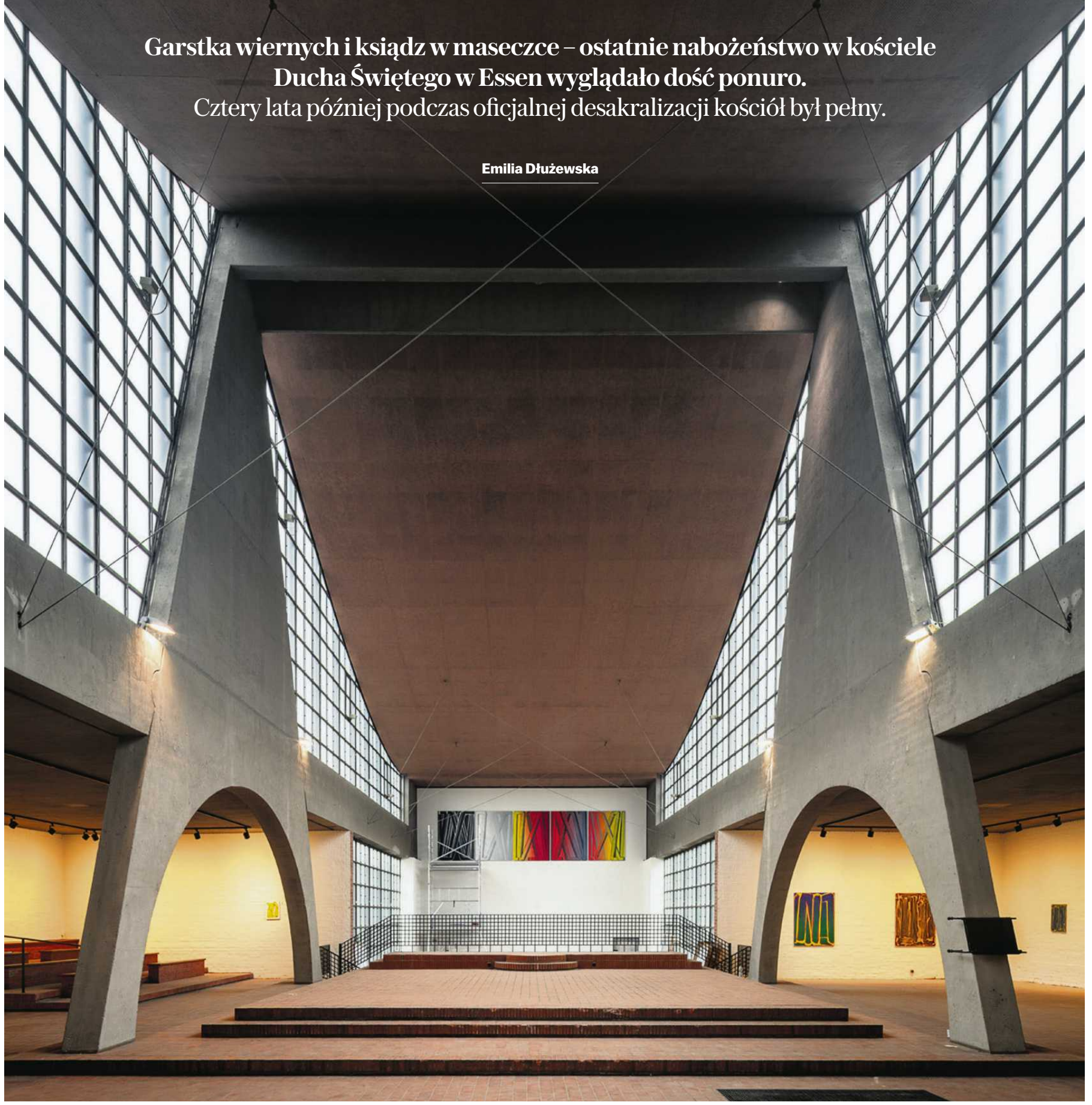

1 RP

eprasa.pl 404822a087

Wielkoformatowe obrazy Roberta Janitza nawet na zdjęciach robią wrażenie. Ich nasycone gradienty to zasługa autorskiej mieszanki farby olejnej, wosku i mąki. Płótna mają ponad dwa metry wysokości i półtora metra szerokości. Wiele galerii miałoby problem, żeby je odpowiednio wyeksponować.

Przestrzeń Kunstraum Heilig Geist (KHG) w Essen w wydaje się do tego stworzona: dobrze oświetlona, z oddechem, przestronna. Aż trudno uwierzyć, że nie zawsze była centrum kultury. Jeszcze niedawno odbywały się tu msze.

Ostatnie regularne nabożeństwo w kościele Ducha Świętego w Essen odprawiono 14 sierpnia 2020 roku. Wyglądało dość ponuro. Na zdjęciach garstka wiernych i ksiądz w maseczce. Notka na stronie parafii informuje, że w planach była jeszcze msza pożegnalna, ale z powodu pandemii nie można było wyznaczyć daty.

Ostatecznie desakralizacja kościoła odbyła się 1 września 2024 roku. Ołtarz został już zdemontowany, wierni modlili się między elementami wystawy. Tym razem kościół był pełny. A atmosfera wcale nie była ponura.

– To było nie tylko pożegnanie, ale też początek czegoś nowego – opowiada Natalia Taranta, dyrektorka KHG. Wystawa Roberta Janitza, pierwsza w tym miejscu, otworzyła się w kwietniu 2025 roku.

Polka zostaje dyrektorką kościoła

Taranta pochodzi z Białegostoku, od kilku lat mieszka w Niemczech. W Essen najpierw organizowała lokalną odsłonę festiwalu architektury Open House. To międzynarodowa inicjatywa, w ramach której mieszkańcy mogą zajrzeć do miejsc zazwyczaj niedostępnych, nietypowych, mniej znanych. Uczestnicy Open House w Essen odwiedzali m.in. lokalny meczet i kościół Ducha Świętego.

Budynek to architektoniczna perełka. Awangardową bryłę z przeszklonym dachem w kształcie namiotu zaprojektował Gottfried Böhm, pierwszy niemiecki architekt nagrodzony prestiżową Nagrodą Pritzkera.

Budowa zakończyła się w 1959 r. Kościół stanął w pobliżu kompleksu przemysłowego kopalni i koksowni Zollverein, dziś jest wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Przez lata był ważnym ośrodkiem dla lokalnej społeczności, ale jego znaczenie malało.

Podobny proces zachodzi w wielu krajach Europy. W kościołach z roku na rok ubywa wiernych, brakuje księży, jest coraz mniej mszy. Niektóre świątynie otwierają się raz w tygodniu, w niedzielę, niektóre już tylko od święta. Część zostaje oficjalnie zdesakralizowana i sprzedana. Inne, nieużywane, niszczeją.

Taranta: – Dla budynku 10 lat zamknięcia to wyrok: wdaje się grzyb, ostatecznie często nadaje się tylko do wyburzenia.

Proboszcz się ucieszył, że kościół nie będzie stał pusty. W parafii jest 13 kościołów, z czego 11 już zostało lub zostanie niedługo zamkniętych.

Badacze szacują, że w ciągu kolejnej dekady zamknie się połowa z 40 tysięcy niemieckich kościołów. W Zagłębiu Ruhry, gdzie leży Essen, ten proces jest wyjątkowo widoczny.

Bo kościołów jest tu po prostu dużo.

Kościoły 15-minutowe organizowały życie górników

To efekt polityki zapoczątkowanej w latach 50. XX wieku. Zagłębie Ruhry w czasie II wojny światowej było centrum nazistowskiego przemysłu wojennego i celem masowych bombardowań aliantów. Zniszczenia były ogromne. Kiedy po wojnie powstawały nowe osiedla, władze RFN przyjęły założenie, że kościoły będą symbolami odbudowy nie tylko materialnej, ale i duchowej. Miejscem kształtowania nowej wspólnoty. Obok nich powstawały więc przedszkola i otwarte domy parafialne, gdzie można było się spotykać poza nabożeństwami.

– Niemcy nazywali je *pantoffelkirchen*. Kościołów miało być tak dużo, żeby każdy mieszkaniec miał do nich blisko i mógł przyjść w kapciach. To ten sam sposób myślenia, który dzisiaj stoi za koncepcją miasta 15-minutowego – opowiada Hedwig Fijen, historyczka sztuki i dyrektorka biennale Manifesta, jednego z najważniejszych cyklicznych wydarzeń poświęconych sztuce współczesnej w Europie.

W przeciwieństwie do Biennale w Wenecji czy *documenta* w Kassel, każda Manifesta odbywa się w innej lokalizacji. Ostatnia w Barcelonie, poprzednia w Prisztinie.

16. Manifesta odbędzie się od 21 czerwca do 4 października 2026 roku w czterech miastach Zagłębia Ruhry: Duisburgu, Essen, Gelsenkirchen i Bochum. A konkretnie: w 12 zdesakralizowanych kościołach.

Czemu właśnie kościoły? Każdą edycję Manifesta poprzedza trwająca ponad rok wizja lokalna zespołu urbanistów. Organizatorzy szukają sposobów, by połączyć wystawę sztuki z działaniem społecznym. – Zauważyliśmy, że w aglomeracji życie społeczne koncentruje się nie tyle w poszczególnych miastach, ile w dzielnicach, które łączą się w gęstą sieć – mówi Fijen. – Budowane w ich centrum kościoły organizowały życie lokalnych społeczności. Dziś stoją puste. Chcemy się zastanowić, czym mogłyby stać się dzisiaj. Jak i dla kogo można je otworzyć?

Częścią wizji lokalnej są panele obywatelskie. Każdy, kto chce, może się spotkać z badaczami, by opowiedzieć o tym, co dla niego ważne. Wielu mieszkańców podkreślało, że brakuje im miejsca, gdzie mogliby się spotkać i nie musieli niczego kupować ani za nic płacić.

Techno w zielonej kopalni

To ważne, bo Zagłębie Ruhry to jedna z najbiedniejszych części Niemiec. Jego historia przypomina los innych przemysłowych regionów. W bogatym w węgiel Zagłębiu w czasach rewolucji przemysłowej w XIX w. wyrosły wielkie zakłady i kopalnie, a kilkutysięczne miasteczka błyskawicznie zmieniały się w stutysięczne miasta. Wielu robotników przeprowadzało się tu z Polski i ze Śląska, ale też m. in. z Włoch.

Region szybko się podniósł po wojennych zniszczeniach. W latach 50. i 60. gospodarka Niemiec rozwijała się dynamicznie. Z Zagłębia Ruhry płynęły stal, węgiel i koks, a do Zagłębia pieniądze. Powstawały nowe osiedla, autostrady, instytucje kultury. Samych muzeów sztuki w aglomeracji jest ponad 20, między innymi Muzeum Folkwang w Essen z imponującą kolekcją sztuki nowoczesnej i współczesnej.

Ale w latach 70. sytuacja zaczęła się zmieniać. Kryzys paliwowy i rosnące koszty produkcji sprawiły, że zamykały się kolejne kopalnie, bezrobocie gwałtownie rosło. Część mieszkańców wyjeżdżała za pracą do innych części kraju. Ci, którzy zostali, musieli się mierzyć ze społecznymi kosztami kryzysu i szkodami, jakie wiele lat wydobycia poczyniły w środowisku naturalnym.

Te ostatnie częściowo udało się naprawić.

Dziś Zagłębie Ruhry jest zielone, w powietrzu nie wiszą węglowy pył ani smog, na dawnych hałdach stanęły wieże widokowe.

Z Tetraeder w Bottrop, mierzącej 50 m stalowej piramidy, rozciąga się widok na okolicę: korony drzew, fabryka, a przed nią kryty tor narciarski.

Przekształciły się też dawne zakłady. Kompleks przemysłowy kopalni i koksowni Zollverein w Essen kiedyś był najnowocześniejszy i największy w Europie. Przestawał działać stopniowo, na przełomie lat 80. i 90. Dziś Zollverein jest wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. W miejscu kopalni powstały: muzeum, centrum performatywne PACT, sklepy, knajpy, hotel. W lecie pomiędzy piecami dawnej koksowni działa odkryty basen. Od 2021 roku odbywa się tu festiwal techno.

Spokojniej, choć równie malowniczo jest na terenie dawnej huty żelaza w Duisburgu. Zakład przestał działać w 1985 r., a już cztery lata później lokalne władze rozpisały konkurs na projekt parku, który powstanie w tym miejscu. W 1991 r. prace zaczął zespół Petera Latza. Dziś na niemal 180 ha Landschaftsparku Duisburg-Nord między ogromnymi konstrukcjami ze stali i betonu rosną drzewa, leniwie płynie woda. W dawnych halach jest ścianka wspinaczkowa i plac zabaw. Ludzie jeżdżą na rowerach, urządzają pikniki.

Landschaftspark Duisburg-Nord to też miejsce o niezwykłej bioróżnorodności. Z początku nieplanowanej: gdy huta jeszcze działała, wraz z rudą żelaza przyjeżdżały tu nasiona z różnych części Europy. Gdy przestała działać, przez kilka lat zieleń się rozrastała niekontrolowana. Rośliny przyciągały owady i ptaki – tych drugich jest w parku ponad 45 gatunków. Dziś o dziką przyrodę dbają pracujący na miejscu biolodzy.

AfD przy meczecie

Dawne zakłady przemysłowe przekształcone w parki i centra kultury wyglądają imponująco. Zagłębie Ruhry chętnie się nimi chwali. Szlak Kultury Przemysłowej (Route Industriekultur) odwiedzają co roku setki tysięcy turystów.

Ale transformacja nie wszędzie była tak udana, a piękno postindustrialnej architektury nie zastąpi systemowych rozwiązań. W niektórych częściach aglomeracji poziom ubóstwa jest wciąż niemal dwukrotnie wyższy od średniej krajowej.

Geselkirchen, gdzie stoi wybudowana w latach 50. przepiękna modernistyczna opera z muralami Yvesa Kleina i rzeźbami kinetycznymi Jean Tinguelya, to dziś najbiedniejsze miasto w Niemczech. W Marxloh, dzielnicy Duisburga, zachowały się jeszcze kamienice stawiane przez bogatych przemysłowców, ale dziś bezrobocie przekracza tu 40 procent.

Region, który tradycyjnie był bastionem socjalistów z SPD [centrolewicowa Socjaldemokratyczna Partia Niemiec], dziś coraz częściej głosuje na skrajnie prawicowych populistów z AfD [skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec]. W lokalnych wyborach, które odbyły się w połowie września, politycy AfD podwoili swój wynik w radach miast. Ich plakaty widzę nawet w sąsiedztwie wielkiego meczetu w Marxloh.

– To zawsze była dzielnica migrantów – mówi Claus Lindner.

• **Natalia Taranta, dyrektorka Kunstraum Heilig Geist, które mieści się w dawnym kościele Ducha Świętego w Essen. Budynek został zdesakralizowany 1 września 2024 r., zdemontowany ołtarz dziś jest marmurową rzeźbą. Przestronne wnętrze (zdj. główne) zamieniło się galerię i miejsce spotkań lokalnej społeczności** FOT. FELIX HEMMERS, KUNSTRAUM HEILIG GEIST (S. 16)

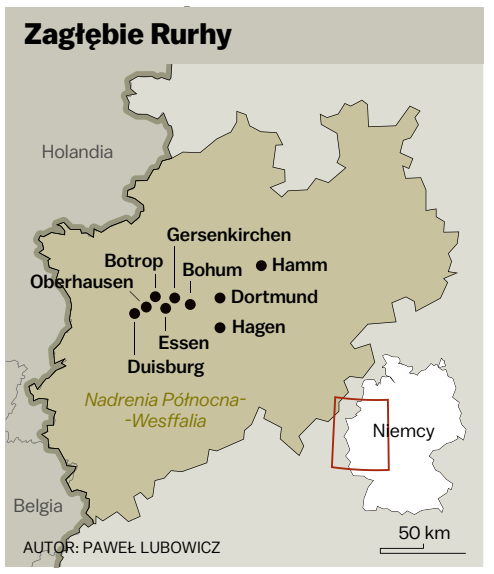

AUTOR: PAWEŁ LUBOWICZ

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 404822a087

– Problem w tym, że ludzie mają tendencje, by zapominać o swoich korzeniach. Kiedy tylko poczują się u siebie, zaczynają narzekać na tych, którzy przyjechali po nich.

Lindner jest lokalnym politykiem SPD, mieszkańcem i miłośnikiem Marxloh. Gdy dowiaduje się, że jestem z Polski, prawie łamie sobie język, próbując wymówić nazwę rodzinnej wsi swojej babci: Mierzeszyn. Oprowadzanie po dzielnicy zaczyna od meczetu, pokazuje dziennikarzom bogato zdobione wnętrze, sypie anegdotami. Potem prowadzi nas przez robotnicze kolonie, katolicki kościół serwujący codziennie ponad 100 darmowych posiłków i główną ulicę, gdzie błyszczą tureckie salony sukien ślubnych.

Gdy przed wyjazdem wpisuję w wyszukiwarkę nazwę „Marxloh Duisburg", w nagłówkach powtarzają się słowa „getto" i „no-go zone". Ale kiedy idziemy z Linderem, witają nas uśmiechy.

– O tej dzielnicy krąży mnóstwo opinii, często wśród ludzi, którzy nigdy się tu nie pofatygowali – mówi Lindner. – Owszem, mierzymy się z problemami, ale one nie definiują Marxloh.

Dla niego to dzielnica nie tylko przyjezdnych, ale i wspólnoty. – Kiedy wróciłem tu po studiach i musiałem się wprowadzić, powiedziałem o tym babci. Wyciągnęła telefon, odbyła kilka rozmów. Następnego dnia pod moim mieszkaniem czekała grupa obcych ludzi. Pomogli mi wnieść meble, nie chcieli pieniędzy. Pomyślałem: wspaniale. Tyle że teraz dzwonią do mnie – śmieje się.

Do Ruhry przyjeżdżali głównie Turcy

Potrzebę działania ze wspólnotą podkreśla też Natalia Taranta. Dawny kościół w Essen, którym zarządza, kupił właściciel kilku prywatnych galerii sztuki współczesnej. Ale Kunstraum Heilig Geist od początku miało być czymś innym, egalitarnym, nienastawionym na zysk. W programie KHG równie ważne co wystawy sztuki są dyskusje, warsztaty i spotkania. Przedszkole zbudowane przy kościele wciąż działa. Dom parafialny jest remontowany, będą w nim pracownie artystów.

– Wiedzieliśmy, że transformacja w tym miejscu nie może się udać bez sąsiadów, przedstawicieli parafii – mówi Taranta. – Przez lata kościoły w Zagłębiu Ruhry były miejscem, gdzie ludzie przychodzili, by być razem, nie tylko w czasie mszy.

W domu parafialnym odbywały się zbiórki harcerskie, ludzie się spotykali, żeby razem gotować.

Dziś to często starsze osoby. Kiedy kościół się zamyka, nie wiedzą, co dalej. Gdzie przynieść to ciasto, które właśnie upiekli.

Choćby dlatego nie chciała robić rewolucji. – W samej przestrzeni kościoła zmieniliśmy niewiele. W trakcie desakralizacji usuwane są krzyż, chrzcielnica i ołtarz. Z tego ostatniego powstała marmurowa rzeźba Krisa Martina. Stoi przed kościołem – opowiada. – Musieliśmy zdemontować witraże, bo kolorowe światło przeszkadzałoby w wystawach. Nie chcieliśmy ich wyrzucać, więc ogłosiliśmy, że można przyjść i zabrać fragment kościoła na pamiątkę.

Akcja trwała dwa dni. Taranta: – To były dwa dni niesamowitych spotkań, rozmów, historii. I budowania zaufania. Nasi sąsiedzi zobaczyli, że nie jesteśmy obcymi, którzy wchodzą tu z butami, wywalą wszystko do kontenera na śmieci, pomalują ściany na biało i będą sprzedawać sztukę z Berlina za tysiące euro. Że szanujemy ich kościół i ich historię.

Dziś do Kunstraum Heilig Geist przychodzą osoby, dla których kiedyś był kościołem parafialnym. Ale Taranta zaznacza, że nie tylko. – Środowisko artystyczne jest raczej laickie i lewicowe. Przychodzą też osoby wychowane w innych kulturach. Pomaga to, co robimy w ramach Open House. Jeśli pokazujemy kościół i meczet, ludzie mają okazję tam zajrzeć, oswoić się z przestrzenią, w której wcześniej nie byli.

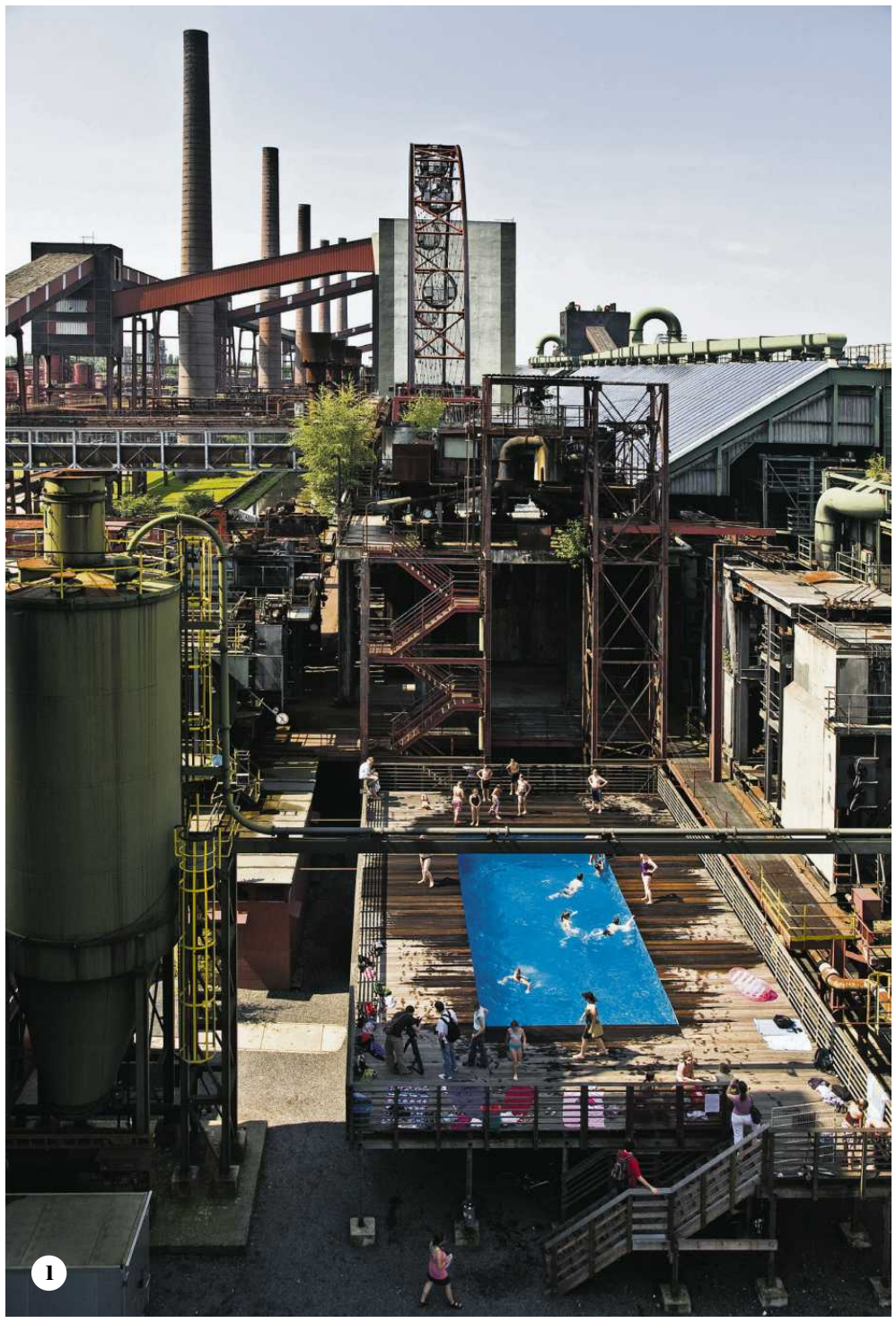

1 • Kompleks przemysłowy Zollverein w Essen. Darmowy basen zbudowano z dwóch zespawanych ze sobą kontenerów. To projekt artystów Dirka Paschkego i Daniela Milohnica. Basen ma: 2,4 m głębokości, 5 m szerokości i 12,5 m długości
FOT. STEFAN ZIESE

2 • Wieża widokowa Teatraeder w Bottrop. Ma 50 m wysokości i została postawiona na terenie dawnej hałdy. Wygląda, jak jakaś kosmiczna piramida. Zamontowano na niej neony, które w nocy układają się w lewitujący trójkąt
FOT. ACHIM MEURER

3 • Teren dawnej huty żelaza w Duisburgu. To dzisiaj zagłębie bioróżnorodności: 45 gatunków ptaków, ok. 100 gatunków żuków, kilkanaście gatunków nietoperzy. Po zamknięciu huty przez kilka lat zieleń się rozrastała niekontrolowana
FOT. THOMAS BERNS

4 • Landschaftspark Duisburg-Nord, czyli wielki park, zaprojektowany wśród stalowych pohutniczych konstrukcji, ma 180 hektarów. Jest tu m.in. ścianka wspinaczkowa, plac zabaw i ogrody, a w lecie działa kino pod chmurką
FOT. THOMAS BERNS

Dyrektorka KHG podkreśla wsparcie proboszcza. Na odsłonięcie rzeźby zrobionej z ołtarza przyszedł z kadzidłem i ministrantami. Zaprosił ludzi z parafii, żeby przywitali się z ołtarzem w nowej odsłonie.

A co, jeśli będą chcieli pokazać sztukę queerową albo krytyczną wobec Kościoła? – Mamy w planach takie wystawy. Nie sądzę, żeby miał z tym problem. Ostatnio był na innej wystawie, w kościele, który wciąż działa. Tuż obok krzyża wisiała praca z Markiem Zuckerbergiem ukrzyżowanym na logo Facebooka. Siedział pod tą pracą i brał udział w debacie.

I dodaje: – Nie będę ręczyć za wszystkich księży. Zdarza się, że ludzie związani z Kościołem robią, co mogą, by zablokować tworzenie w dawnych kościołach miejsc związanych ze sztuką. Znam takie przypadki z Berlina. Ale moje doświadczenie jest inne. Może Zagłębie Ruhry jest specyficzne. Jest tu tyle różnych kultur, że nie da się zamknąć w swojej i bronić jej za wszelką cenę.

Choć może to świadomość, która przyszła z czasem. Od lat 60. do Zagłębia Ruhry przyjeżdżali głównie pracownicy z Turcji. Tymczasem władze wciąż budowały kościoły.

Na upały i piłkarską gorączkę Schalke

A jeśli nie centrum kultury, to co? Josep Bohigas, kataloński architekt i urbanista współpracujący z Manifesta, wyciąga telefon i pokazuje mi zdjęcia: najpierw tablicę z napisem azjatyckim alfabetem. Potem tarczę strzelniczą.

– Znaleźliśmy kościół, który wynajmuje grupa Japończyków. Trenują tam strzelanie z łuku. Choćbym nie wiem jak długo się zastanawiał, jak wykorzystać były kościół, takiej sytuacji bym nie wymyślił. Dlatego właśnie wizja lokalna jest tak ważna – mówi. – Nie zakładamy odpowiedzi z góry, tylko zadajemy pytania.

Wśród pomysłów są świetlice, centra kultury, ale też między innymi miejsca, gdzie będzie można przyjść, by schronić się przed zimnem czy upałem. Łucznictwo w wykonaniu Japończyków to ekstrawagancja.

Bardziej znany sportowy kościół w Zagłębiu Ruhry można znaleźć w dzielnicy Schalke w 250-tysięcznym Gelsenkirchen. Były katolicki kościół św. Józefa to dziś miejsce poświęcone słynnej drużynie piłkarskiej. Ze stadionu Schalke można do niego dojechać tramwajem w 15 minut.

Z zewnątrz wygląda zwyczajnie, wręcz konserwatywnie – w przeciwieństwie do powojennych świątyń o oryginalnych, modernistycznych bryłach kościół św. Józefa został odbudowany w stylu neoromańskim, z czer-

eprasa.pl 404822a087

wonej cegły, z dwiema wieżami i tympanonem.

Wystarczy jednak wejść do środka, by konserwatywnie być przestało: w bocznej nawie stoją sylwetki piłkarzy naturalnej wielkości, w głównej rozstawione są stoliki przykryte piłkarską ceratą, przed ołtarzem rozłożony jest materiał w barwach klubu i piłka, na samym ołtarzu wisi hasło: „Ein leben lang", słowa z hymnu Schalke. Jest nawet skrzat ogrodowy w stylu tych, które Niemcy przyjeżdżali kupować przy naszej zachodniej granicy. Śpi w małym łóżeczku w niebiesko-białej szlafmycy, przykryty kocykiem z logo klubu.

To nowe elementy wystroju. Jest i starszy: witraż z wizerunkiem Alojzego Gonzagi, katolickiego świętego z Włoch. Zaprojektował go w 1959 roku mieszkający w Gelsenkirchen malarz Walter Klocke. Gonzaga, jezuita zmarły podczas epidemii dżumy w XIX wieku, jest patronem ministrantów i studentów. Przedstawiany jest z liliami i czaszką, symbolami niewinności i śmierci. Ten ma sportowe buty, a pod nogami biało-niebieską piłkę.

Po kościele oprowadza Olivier Kruschinski, lokalny przewodnik i fan drużyny Schalke. – Chciałbym, żeby to miejsce przyciągało mieszkańców, pomagało ludziom się integrować – opowiada. – Kiedy człowiek przeprowadza się do nowego miejsca, potrzebuje wspólnoty. A kibicowanie taką wspólnotę buduje.

Połączyć Wschód i Zachód

Jak w ten złożony, wielokulturowy, postindustrialny krajobraz wpisuje się sztuka współczesna? – To pytanie, które stawiamy na końcu, kiedy już więcej wiemy o miejscu, gdzie gości Manifesta – zastrzega Hedwig Fijen. – Wtedy zapraszamy artystów, którzy działają w konkretnym kontekście.

Kto pokaże prace w Zagłębiu Ruhry, jeszcze nie wiadomo. Za program wystaw odpowiadają duety kuratorskie współpracujące z Manifesta. Łącznie to osiem osób z różnych pokoleń i krajów, w tym z Polski. Za wystawy w czterech zdesakralizowanych kościołach w Bochum odpowiadają Krzysztof Kościuczuk, krytyk i kurator, który pracował m.in. przy 14. edycji *documenta* i jako dyrektor artystyczny Muzeum Susch, oraz Anda Rottenberg.

Dziś Zagłębie Ruhry jest zielone, w powietrzu nie wiszą węglowy pył ani smog, na dawnych hałdach stanęły wieże widokowe. Choć nie wszędzie transformacja jest tak udana

Rottenberg z Manifesta związana jest od początku. Zasiadała w sześcioosobowej radzie biennale obok kuratorów z: Wielkiej Brytanii, Szwecji, Niemiec, Słowenii i Holandii od jego pierwszej edycji, która odbyła się w Rotterdamie w 1996 roku. – Nie wyobrażaliśmy sobie wówczas, że wydarzenie, które zaczynało jako niewielka inicjatywa, przekształci się w biennale o tej skali – mówi.

Koncepcja biennale narodziła się kilka lat wcześniej. Hedwig Fijen założyła fundację Manifesta w 1993 roku. – To były czasy optymizmu, nadziei. Wydawało się, że świat zmienia się na lepsze: upadł mur berliński, Europa się otwierała. Chcieliśmy, by kuratorzy i artyści ze Wschodu i Zachodu mogli się poznać i nawiązać współpracę – opowiada.

Od pierwszego Manifesta w przyszłym roku minie 30 lat. Z tamtego optymizmu pozostało niewiele. 16. edycja biennale odbędzie się w cieniu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, rosnącego w siłę populizmu. Europy, która już się nie otwiera, raczej stawia płoty na granicach. Jak nie stracić nadziei, patrząc na te zmiany?

Hedwig Fijen zamyśla się na chwilę. – Nie mam jasnej odpowiedzi. Ale w ciągu 33 lat, od kiedy organizuję Manifesta, nauczyłam się, że trzeba zacząć od podstaw, budowania małych społeczności – mówi.

– Jestem z Holandii, ale moje nazwisko jest francuskie. Moi przodkowie w XIX wieku wyemigrowali z Francji do Niemiec. Przed pierwszą wojną światową przenieśli się do Holandii, przed drugą wojną część wyjechała do Brazylii, inni do USA.

Ciągłe krążenie, mieszanie się, budowanie nowych wspólnot jest podstawą demokracji.

Kiedy populizm rośnie w siłę, jedyne, co możemy robić, to przeciwstawiać się temu, opowiadać się za wolnością słowa, przeciwko faszyzmowi. Zrobiliśmy to dwa razy, możemy i trzeci. ●

Manifesta 16. otworzy się w Zagłębiu Ruhry 21 czerwca i potrwa do 4 października 2026 roku.

OGŁOSZENIE
Kraj/34401851

Wesprzyj niezależne dziennikarstwo

Ambasador

Zostań
Ambasadorem
Gazety Wyborczej

Poznaj szczegóły programu na wyborcza.pl/ambasador

Jako Ambasador Wyborczej zyskujesz:

- Dożywotni dostęp do Wyborcza.pl dla Ciebie i 2 bliskich osób
- Zaproszenia na wyjątkowe wydarzenia z udziałem ludzi kultury, literatury i sztuki
- Możliwość zobaczenia redakcji „Gazety Wyborczej" od kulis
- Unikatowy upominek, symbol Twojego wsparcia dla niezależnego dziennikarstwa

1 RP

eprasa.pl 404822a087

DRUGA ELEKTRYFIKACJA CHIN

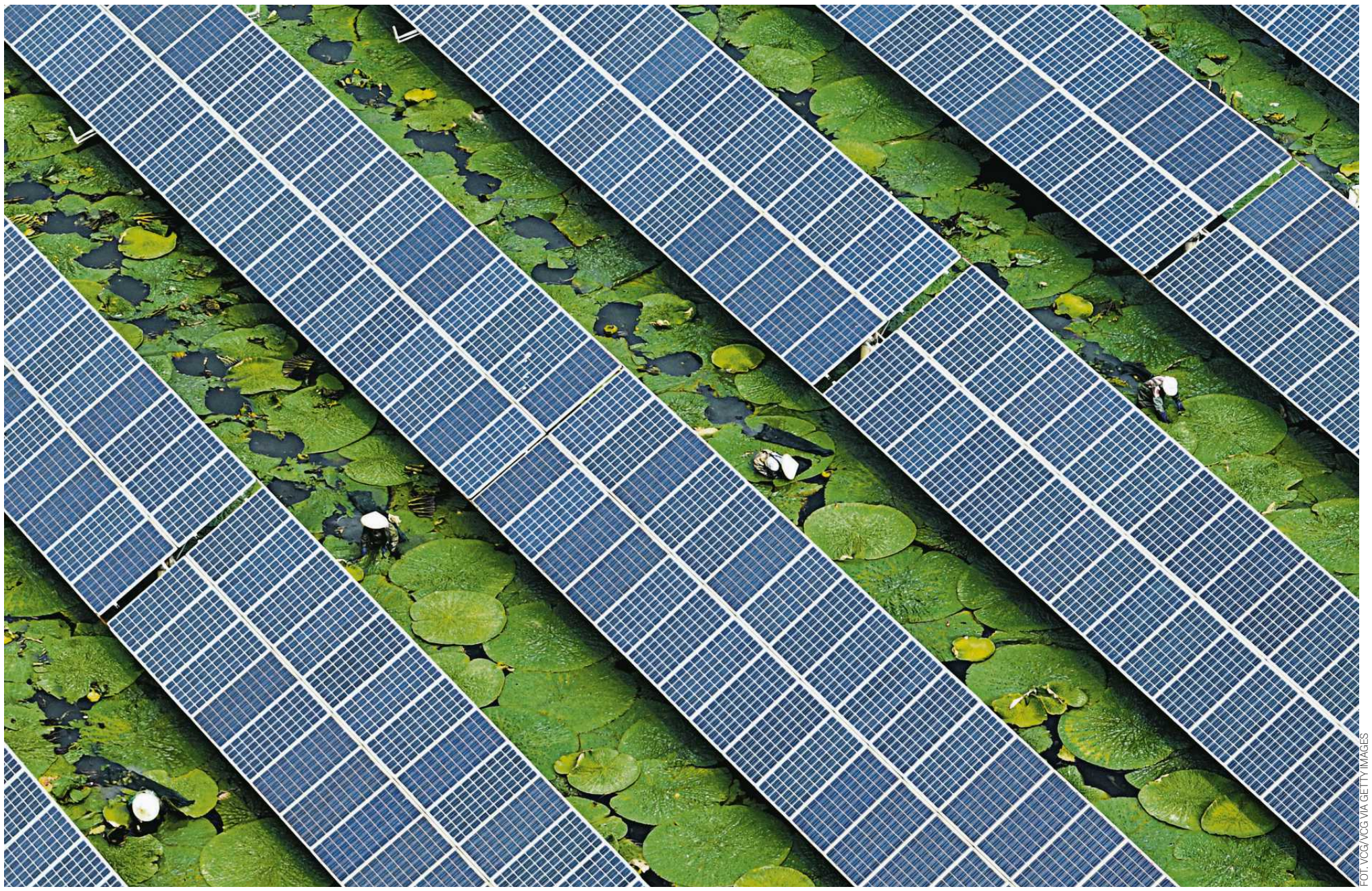

FOT. VCG/VCG VIA GETTY IMAGES

• **Prowincja Jiangsu przoduje w instalacji paneli fotowoltaicznych, nie przeszkadzają nawet w uprawie rozłożni, z której uzyskuje się cenione nasiona makhana**

Podczas gdy Donald Trump usiłuje zawrócić Amerykę do ery węgla i ropy, Chiny Xi Jinpinga poszły w przeciwnym kierunku: **zarabiają na byciu globalnym liderem czystych technologii.**

Robert Stefanicki

Ekologiczna transformacja Chin jest pełna paradoksów. Kraj ten rozwinął największy na świecie przemysł paneli słonecznych i pojazdów elektrycznych – a jednocześnie jest pierwszym emitentem gazów cieplarnianych i odpowiada za ponad połowę światowego zużycia węgla.

Poziom wydobycia tego surowca w Chinach co roku bije nowy rekord. Mimo obietnicy Xi Jinpinga, że w kończącej się pięciolatce z sieci energetycznych zostanie wycofane 30 GW węgla, do tej pory udało się zaledwie 1 GW. W pierwszej połowie tego roku chińskie elektrownie spaliły go więcej niż w jakimkolwiek innym okresie od 2016 r. Na tym nie koniec: trwa budowa i modernizacja elektrowni węglowych o łącznej mocy 46 GW, a w planach są projekty na kolejne 75 GW (tyle mocy ma cała Polska).

Z drugiej strony: w pierwszej połowie tego roku energia odnawialna wyprzedziła węgiel jako największe źródło energii na świecie – a jednym z powodów jest to, że Chiny zwiększyły moc swoich elektrowni słonecznych i wiatrowych bardziej niż reszta świata razem wzięta.

Odkąd Xi doszedł do władzy w 2012 r. kraj ten zainwestował prawie 50 mld dol. w fabryki paneli słonecznych, czyli dziesięciokrotnie więcej niż Europa. Preferencyjne warunki dla chińskich producentów wywołują oskarżenia o nieuczciwą konkurencję, ale polityka ta obniżyła koszty paneli o 80 proc. i napędziła światowy boom na energię słoneczną.

Nie byłoby go jednak bez węgla. Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej (IEA), z tego źródła pochodzi ponad 60 proc. energii elektrycznej wykorzystywanej w globalnej produkcji fotowoltaiki. Dzieje się tak, ponieważ cztery na pięć fabryk znajduje się w chińskich prowincjach, takich jak Xinjiang i Jiangsu, gdzie węgiel dominuje w sieciach energetycznych.

Z hut opalanych węglem wychodzą: części do pojazdów elektrycznych, turbin wiatrowych, paneli i konstrukcji przesyłowych, a chemikalia węglowe dostarczają prekursory baterii i krzem do ogniw słonecznych.

Mimo to analitycy z amerykańskiego think tanku energetycznego RMI i innych niezależnych grup badawczych głoszą tezę o nowej globalnej rewolucji przemysłowej, pod przewodnictwem Chin. Słowem kluczem jest elektryfikacja.

Xi ulepsza Lenina

W Związku Radzieckim chętnie cytowano powiedzenie Lenina, że komunizm to władza rad plus elektryfikacja kraju (przemilczając ciąg dalszy tej frazy, w której wódz rewolucji zachwycał się niemieckimi kolejami i amerykańskim systemem oświaty). Mao Zedong po przejęciu władzy w 1949 r. usiłował naśladować ZSRR, lecz postęp był powolny. Chinom brakowało kapitału i technologii, a nadrzędnymi celami były wzmocnienie armii, industrializacja oraz osiągnięcie samowystarczalności.

Kiedy maoizm się kończył w 1978 r. ponad połowa wsi nadal nie miała prądu. Zmianę przyniosły reformy zainicjowane przez Deng Xiaopinga, umożliwiające samorządom lokalnym przejęcie większej odpowiedzialności za zarządzanie systemami elektroenergetycznymi. Do 1997 r. już w prawie wszystkich gospodarstwach domowych w ChRL świeciły się żarówki.

Teraz Xi mógłby sparafrazować Lenina, mówiąc, że przyszłość Chin to władza partii plus elektryfikacja. Tyle że nie chodzi już o samo doprowadzenie prądu w każdy zakątek kraju, a o zmianę systemową.

Mimo że węgiel wciąż dominuje w chińskim miksie energetycznym, to wiele domów, zwłaszcza na obszarach wiejskich wokół miast, przeszło ze spalania węgla bezpośrednio na elektryczne pompy ciepła. Skoro społeczeństwo już korzysta z prądu, przejście ze źródła kopalnego na niekopalne wymaga jedynie zmiany na poziomie wytwarzania.

Jest to bardziej wydajne i pozwala zredukować emisję zanieczyszczeń. Nawet je-

1 RP

eprasa.pl 404822a087

śli prąd zużywany przez pojazdy elektryczne jest produkowany z węgla, to i tak emisja CO2 jest o 40 proc. niższa niż w samochodach z silnikami spalinowymi. W Pekinie, według Światowego Forum Ekonomicznego, poziom PM2,5 – drobnych cząstek, które poprzez płuca przedostają się nawet do krwiobiegu – spadł o 64 proc. w ciągu dekady do 2023 r. W tym samym roku odnotowano ponad 300 „dni z dobrym powietrzem", w porównaniu z zaledwie 13 w 2013 r.

„Nie widzimy innej drogi do gospodarki zeroemisyjnej niż masowa elektryfikacja" – powiedział „Financial Timesowi" Adair Turner, szef Komisji ds. Transformacji Energetycznych, sojuszu globalnych firm koncentrujących się na zerowej emisji netto.

Zużycie węgla ma zacząć spadać. Wkrótce

Obecnie wiatr, słońce, woda i atom dają Chinom jedną trzecią zużywanego prądu. W 2028 r. źródła niskoemisyjne mają stanowić połowę, a dekadę później łączna moc słoneczna i wiatrowa po raz pierwszy przekroczy produkcję energii z węgla. Również emisja CO2 w Chinach może osiągnąć szczyt w ciągu najbliższego roku lub dwóch, a następnie ustabilizować się – co jednak nie wystarczy, by osiągnąć założony cel neutralności węglowej do 2060 r.

Pekin mocno inwestuje w energię jądrową i planuje budowę 150 nowych reaktorów w ciągu najbliższych 15 lat – więcej niż cały świat zbudował od początku lat 90. Chińscy inżynierowie opracowują coraz to większe turbiny wiatrowe – aktualnie światowy rekord należy do firmy Dongfang Electric Corporation, która wyprodukowała prototyp o mocy 26 MW, z ponad 300-metrową średnicą wirnika. Przy średniej prędkości wiatru wynoszącej 10 m/s ta jednostka mogłaby zasilić 55 tys. domów, doprowadzić do redukcji zużycia węgla o 30 tys. ton i emisji CO2 o 80 tys. ton.

W tym roku po raz pierwszy sprzedaż pojazdów elektrycznych w Chinach przewyższy sprzedaż tych z silnikami spalinowymi. Praktycznie wszystkie nowe autobusy miejskie są tam zasilane bateriami lub ogniwami paliwowymi na wodór. Po chińskich drogach porusza się ponad 400 milionów elektrycznych jednośladów oraz duża liczba trójkołowców, powszechnego środka transportu na obszarach wiejskich. Sprzedaż elektrycznych ciężarówek w pierwszej połowie roku urosła tam o 175 proc., podczas gdy w Europie i w USA pozostała na niezmienionym poziomie.

Filarem chińskiej elektryfikacji jest trwający od dziesięcioleci plan modernizacji i rozbudowy sieci elektroenergetycznej, zwłaszcza linii ultrawysokiego napięcia. Wydatki na ten cel będą nadal rosły w tempie 5 proc. rocznie do 2030 r., znacznie szybciej niż prognozowany wzrost PKB.

Strajków górników nie będzie

Skąd więc nieustający boom na elektrownie węglowe? Lokalnie są one postrzegane jako element bezpieczeństwa energetycznego. Wiele nowo wybudowanych pracuje z połową mocy, a niektóre mogą nigdy nie zostać uruchomione.

Z taką samą perspektywą powstają kolejne kopalnie węgla. Tysiące innych małych kopalni zamknięto w wyniku rządowej kampanii na rzecz ograniczenia wypadków w górnictwie. Większość pozostałych została zautomatyzowana. W zeszłym roku jedna z kopalni odkrywkowych w Xinjiangu chwaliła się, że 300 „inteligentnych" maszyn, których używa do zdejmowania wierzchniej warstwy gleby, było obsługiwanych przez zaledwie sześciu ludzi.

Kiedy w 2016 r. Pekin ogłosił plan zwolnienia 1,8 mln pracowników sektorów węgla i stali, setki górników w prowincji Jiangxi wzięło udział w rzadkim marszu protestacyjnym. Symbolicznie można to uznać za początek końca ery węgla w Chinach. Sto lat wcześniej w tym samym miejscu Mao i inni liderzy nowej partii komunistycznej nawiązali pierwszy kontakt z robotnikami, pomagając im w założeniu związków zawodowych i mobilizacji do Wielkiego Strajku z 1922 r.

Nowego wielkiego strajku nie będzie, nie tylko ze względu na opresyjność obecnej władzy. Zwalniani górnicy znajdują pracę w sektorze energii odnawialnej, który – wedle ostatnich dostępnych danych za 2023 r. – zatrudniał 7,4 mln osób, o jedną trzecią więcej niż rok wcześniej. W górnictwie pracuje już tylko 2,7 mln Chińczyków, co stanowi 0,4 proc. całkowitej siły roboczej kraju. W Polsce jest to 0,5 proc.

Według brytyjskiej organizacji Carbon Brief, w 2024 r. chińskie inwestycje w czystą energię wyniosły 940 mld dol., czyli 10 proc. PKB. Tylko w zeszłym roku Chiny zainstalowały ponad dwa razy więcej mocy energii słonecznej (277 GW), niż USA i UE razem wzięte. W tym roku kraj ten zainstaluje tyle nowych źródeł energii odnawialnej, ile wynoszą łączne potrzeby energetyczne Niemiec i Wielkiej Brytanii.

> Pekin planuje budowę 150 nowych reaktorów w ciągu najbliższych 15 lat – więcej niż cały świat zbudował od początku lat 90.

Eksport rewolucji

Chiny eksportują swoją rewolucję – energetyczną, nie ideologiczną – na Azję i Afrykę. Chińscy producenci samochodów zalewają sąsiednie rynki, powodując szybką elektryfikację transportu. Chiński kapitał inwestuje szerzej, czego dobrym przykładem jest Bangladesz, który najpierw zamówił w Chinach budowę 13 elektrowni węglowych, ale w 2021 r. anulował dziesięć z nich, by przejść na projekty na energii słonecznej, wiatrowej i LNG. 90 proc. z nich jest finansowanych przez Pekin.

W Pakistanie sytuacja jest odwrotna. Chiny zbudowały tam duże elektrownie węglowe, ale, jak zauważa jeden z analityków, „chińskie panele słoneczne wygrywają konkurencję z chińskimi elektrowniami". Według wyliczeń firmy consultingowej Renewables First, od 2020 r. kraj ten zaimportował 39 GW w modułach fotowoltaicznych, co przekracza trzy czwarte mocy pakistańskiej sieci energetycznej.

W portalu „Asia Times" Naina Sharma z indonezyjskiego Centrum Badań Politycznych i Zarządzania (CPRG) zauważa, że silne uzależnienie azjatyckich sieci energetycznych i produkcji od chińskiej technologii i polityki stwarza również zagrożenia. W kwietniu USA nałożyły cła na energię słoneczną produkowaną przez chińskie fabryki w krajach ASEAN (to m.in. Indonezja, Tajlandia, Malezja i Filipiny), co zmusiło regionalne rządy do renegocjacji umów dwustronnych i zachwiało łańcuchami dostaw i produkcji. Ostatnia groźba Donalda Trumpa wprowadzenia dodatkowego, 100-procentowego cła na chińskie towary jeszcze bardziej komplikuje warunki przepływu towarów między Chinami a Azją Południowo-Wschodnią.

Drill, baby, drill

Podczas gdy Pekin stawia na czyste technologie, aby zwiększyć swój eksport, Waszyngton przyjął inne podejście: szantażuje inne kraje cłami, by wymusić zwiększenie importu amerykańskiego gazu i ropy.

Trump wycofał państwowe wsparcie dla aut elektrycznych, wskutek czego producenci rezygnują z wprowadzania nowych modeli. W czerwcu w ramach politycznej rozgrywki z rządzoną przez Demokratów Kalifornią prezydent podpisał rezolucje uchylające prawo, które pozwalają temu stanowi na ustalanie własnych, rygorystycznych norm emisji spalin, i przewidujące wycofanie sprzedaży nowych samochodów benzynowych do 2035 r.

W pierwszym dniu swojej drugiej kadencji Trump wprowadził bezterminowy zakaz zatwierdzania nowych projektów farm wiatrowych. W sierpniu nakazał wstrzymać budowę dużej farmy u wybrzeży Rhode Island, ukończonej już w 80 proc.

Za to węgiel nazywa „czystym i pięknym". W kwietniu podpisał rozporządzenie o uznaniu go za minerał krytyczny, o zwolnieniu na dwa lata elektrowni węglowych z wymogów redukcji emisji gazów cieplarnianych i o ułatwieniu pozyskiwania gruntów federalnych pod nowe kopalnie. Trump wielokrotnie apelował o zwiększenie wydobycia ropy, powtarzając slogan „Drill, baby, drill". Miliony hektarów dzikiej Alaski zostaną udostępnione do odwiertów.

A Europa? Wojna w Ukrainie z jednej strony wymusiła rewolucję energetyczną polegającą na odcięciu rosyjskiego dostawcy, z drugiej – dała wielu rządom pretekst do odwlekania realizacji celów klimatycznych. Ale w Brukseli wciąż jest silna wola do inwestycji w OZE. ●

REKLAMA
Kraj/34401646

1 RP

ROSJA TO PODŚWIADOMOŚĆ ZACHODU

FOT. REUTERS/RAMIL SITDIKOV/POOL

Potrzebne jest, by liderzy wolnego świata zebrali się i wprost powiedzieli: putinowska Rosja to zło, które musi zostać zniszczone, a wojna w Ukrainie jest też naszą wojną

Z **SIERGIEJEM MIEDWIEDIEWEM,** ROSYJSKIM PISARZEM I DZIENNIKARZEM ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Spotykamy się w Warszawie podczas wydarzenia poświęconego „innej Rosji". Wielu Polaków ma jednak dzisiaj wątpliwości, czy ta „inna Rosja" w ogóle istnieje.
– Rosja, którą widzimy dzisiaj w codziennych wiadomościach, czyli ta dokonująca zbrodni wojennych w Buczy, mordująca ludzi, równająca z ziemią Mariupol, to nie jest oczywiście przypadek. To działania, które wynikają z długowiecznego trendu, jakim jest rosyjski imperializm połączony z militaryzmem i wyobrażeniem o wielkim, złym państwie. Zawsze jednak istniała też inna Rosja. Była przecież i Rosja Kurbskiego przeciwko Iwanowi Groźnemu, i Rosja Nawalnego przeciwko Putinowi. Mieliśmy Rosję Sołżenicyna, Rosję Szałamowa, Rosję Dowłatowa. Przecież to zupełnie różne rzeczy.

O Rosji, którą znamy dzisiaj, myślę jak o kraju przejętym przez grupę bandytów, którzy uzurpowali sobie władzę, biorąc pod kontrolę wszystkie jej instrumenty, i w jej imieniu zaprowadzili chaos i czynią zło, wykorzystując przemoc i narzędzia wojenne.

Pan się dzisiaj czuje Rosjaninem?
– Jestem przedstawicielem dużej części rosyjskiej tradycji i cywilizacji, które były i są imperialne i których fundamentem było gnębienie zarówno własnego narodu, jak i sąsiednich. Wracając do poprzedniego pytania, zastanawiam się, czy to aby wyczerpuje całą definicję Rosji? Myślę, że nie, choć jednocześnie nie zgadzam się z wieloma kolegami, przeciwnikami putinizmu i wojny, m.in z cenionym przeze mnie Borysem Akuninem, którzy twierdzą, że to oni reprezentują prawdziwą Rosję, a ta putinowska nie jest prawdziwa. To nieprawda. Powiedziałbym, że przeciwnie, że to właśnie ona jest prawdziwa.

Bo przeważa.
– Tylko że ona przeważa, bo ma siłę. To za nią stoi rosyjska historia, większość rosyjskiej ludności, ale też spora część świata, broń jądrowa, gospodarka. Nie wolno patrzeć na tę kwestię binarnie: prawdziwa Rosja i nieprawdziwa. Tragedia Rosji polega na tym, że obie te natury zawsze w niej współistniały. Nierzadko nawet w jednej i tej samej osobie. Mamy Puszkina – imperialistę, i Puszkina – piewcę wolności.

A Sołżenicyn, który z jednej strony rozprawiał się z tradycją GUŁAG-u, a z drugiej, wiele jego idei dało podstawy dzisiejszemu rosyjskiemu imperializmowi. Brodski, który z jednej strony występował za wolność i niepodległość Polski, a z drugiej, przeciwny był niezależności Ukrainy? Ta dwoistość, imperialne skłonności, w Rosjanach występują. Ja u siebie też je momentami widzę, tylko staram się z tym walczyć, bo widzę siebie jako osobę, która patrzy i na świat, i na mój kraj szerzej, globalnie.

O tym, że każdy Rosjanin powinien „zabić w sobie imperium", śpiewają dzisiaj nawet opozycyjni rosyjscy raperzy. Problem w tym, że większość Rosjan tej walki nie podejmuje.
– Oczywiście, że nie. Większość z dużą ulgą skłania się ku oficjalnej narracji. Tak wygodniej i łatwiej jest żyć, a już zwłaszcza w Rosji. Żyć w tym kraju i myśleć przy tym krytycznie to prawdziwy koszmar, a już szczególnie kiedy za taki sposób myślenia spotkać może kara w postaci procesu i wyroku. Tylko, wie pani, myślę, że ten konformizm to nie jest typowo rosyjska cecha. To dotyczy wszystkich, spójrzmy dzisiaj na Amerykanów: co najmniej połowa z nich popiera dzisiaj trumpowskie „Make America Great Again". Wracając jednak do Rosji, to tu też wszystko jest o wiele bardziej złożone. Rosja to coś więcej niż ta większość, która prowadzi wojnę. Dla wielu to trudne do zrozumienia.

Przez wiele lat widzieliśmy jednak pewną, mniej lub bardziej szczerą, romantyzację Rosji przez Zachód, który za wszelką cenę chciał widzieć we Władimirze Putinie partnera. Europa Rosję dzisiaj rozumie?
– Powiedziałbym, że Polska, która ma wielowiekowe, traumatyczne doświadczenia związane z Rosją, dość dobrze tę putinowską część rozumie. Podobnie rzecz ma się w państwach bałtyckich i w Finlandii. Ogólnie jednak mam wrażenie, że Rosję porównać można dzisiaj do Niemiec w XX w. Ona też pozostawiła po sobie ślad w historii światowej i kulturze. Czytałem pracę Borysa Grojsa, w której określił Rosję, jako „podświadomość Zachodu". To bardzo dobre określenie.

Rosja rzeczywiście czymś takim jest, żyje w tym miejscu, gdzie chronią się pewne nostalgiczne wspomnienia, ale i lęki: fascynacja uwodzicielską rosyjską kobietą i strach przed rosyjskimi żołnierzami, którzy mogą w twój kraj wtargnąć, zabić, zgwałcić. Te uczucia względem Rosji to część miękkiej siły, którą Putin wykorzystuje. On doskonale wie, że jakkolwiek słaba Rosja by była, za-

eprasa.pl 404822a087

równo militarnie, jak i gospodarczo, to i tak zawsze będzie budzić strach. Ale to nie jedyny problem.

A jaki jeszcze ma pan na myśli?
– Ludzie na Zachodzie mają tendencję do zbyt przychylnego oceniania Rosji. Spotykam się z tym często w Europie, w krajach, takich jak Hiszpania, Włochy, Francja. Tam dla wielu Rosja to Tołstoj, Czechow i ogólnie wielka kultura. Ci ludzie najpierw byli gotowi zamykać oczy na koszmar prawdziwego rosyjskiego życia, a dzisiaj – na koszmar, który dzieje się w Ukrainie, tylko po to, by móc przypomnieć, czego się uczyli w szkole.

I proszę mnie źle nie zrozumieć, ja nie jestem zwolennikiem bojkotu rosyjskiej kultury. Opowiadam się jedynie za jej trzeźwą oceną. W latach 30. XX w. nie należało bojkotować kultury niemieckiej, trzeba było jednak mieć świadomość, że faszyzm zrodził się z niemieckiego romantyzmu. My z kolei potrzebujemy dzisiaj szerokiej refleksji na temat kultury rosyjskiej i zrozumienia, że ona zawsze była głęboko imperialna. I z jednej strony, ta kultura dała nam wielką literaturę, ale z drugiej, popchnęła do wojny w Ukrainie.

Wiem, bo czytam pana teksty, że pan jest sceptyczny nie tylko, jeśli chodzi o zdolności poznawcze Europy w kwestii Rosji, ale i pod względem oceny jej możliwości. Pamiętam, że kiedy komentatorzy zwracali uwagę na jedność i solidarność Europy w momencie, gdy europejscy liderzy towarzyszyli Wołodymyrowi Zełenskiemu na spotkaniu z Donaldem Trumpem, pan po tej rozmowie raczej zwracał uwagę na jej bezsilność. Podobnie było po naruszeniu przez rosyjskie drony polskiej przestrzeni powietrznej.
– Polityka jest sztuką możliwego, a ja piszę o sztuce życzeniowej, o tym, co chciałbym widzieć. Życzyłbym sobie, by dla całej Europy jasne stało się, że Rosja praktycznie wypowiedziała jej wojnę, a już z pewnością państwom wschodniej flanki NATO.

W ostatnich tygodniach słychać było ostrzejsze oświadczenia, m.in ministra spraw zagranicznych Polski Radosława Sikorskiego, ale gdy dzieliłem się rozczarowaniem, samo NATO zareagowało bardzo zdawkowo, nie nazywając tego, co się wydarzyło, aktem agresji ani powodem do wdrożenia 4 lub 5. artykułu. Pierwsza reakcja sojuszu była nad wyraz delikatna.

Jaka powinna pana zdaniem być?
– Uważam, że powinna obejmować zamknięcie nieba nad Ukrainą. Sojusz powinien też ogłosić strefę bezpieczeństwa, wprowadzić ciągłe dyżury samolotów NATO, wydać rozporządzenie o zestrzeliwaniu wszystkich rosyjskich dronów i samolotów, które naruszają przestrzeń powietrzną państw członkowskich. Mówiąc krótko, konieczne jest wprowadzenie ostrzejszego reżimu bezpieczeństwa, bo

Władimir Putin rozumie tylko język siły. Jeśli on chce coś zrobić, to nie potrzeba mu prowokacji. On to zrobi tak czy owak, powód nie będzie mu potrzebny. Jeśli Putin zechce zrzucić ładunek jądrowy na Polskę, to to zrobi i żadne prowokacje ze strony Polski nie będą mu potrzebne dla usprawiedliwienia tego działania. Zrobi to, bo może. Jest takie straszne rosyjskie powiedzenie, które mówi o tym, że wszystko jest dozwolone: „bo można". Putin się tym kieruje.

Te obawy, o których pan wspomniał, są bardzo silne. Ani Zachód, ani Polska nie chcą Putina prowokować do większej agresji.
– Polski nic gorszego niż Putin ze strony Rosji nie spotka. Może więc robić to, co uważa za słuszne, łącznie z przeprowadzaniem ataków rakietowych na terytorium Rosji, np. na bazy wojskowe.

Tu pan chyba przesadza.
– Dlaczego? Wystarczy włączyć rosyjską telewizję, by dowiedzieć się, że Rosja jest z Polską w stanie wojny. Rosyjscy komentatorzy i propagandyści rozwodzą się nad możliwościami bombardowania Polski. Kreml oczywiście nie wypowiedział na razie wojny, ale on przecież nigdy tego nie robi. Wojna hybrydowa już się toczy, Putinowi ze strony Polski żadne dodatkowe powody czy przyczyny agresji nie są potrzebne. Moim zdaniem Polska musi zdawać sobie sprawę, że w każdej chwili może dojść do napaści: rakietowej, jądrowej itd.

Pan te ostatnie naruszenia przestrzeni powietrznej niektórych państw członkowskich NATO czy ataki dronów traktuje jako preludium do większego konfliktu z Zachodem? Takiej możliwości nie wykluczają autorzy raportu „Russia's Crime Terror Nexus: Criminality as a Tool of Hybrid Warfare".
– Putin stara się w ten sposób zastraszyć Europę, pokazać, że Rosja jest wszechobecna, że pełno na Zachodzie rosyjskich szpiegów i dywersantów. Europejczycy mają mieć świadomość, że nad ich głowami latać mogą rosyjskie drony i że Rosja może uderzyć w dowolnym momencie. Co gorsza, także w dowolnym miejscu, bo jej ostatnie działania mają wskazywać na to, że ma szerokie możliwości i nie da się nic przewidzieć. W ten sposób Putin chce zmusić Zachód, by zrezygnował ze wspierania Ukrainy, ale też, by – w obawie o swoje bezpieczeństwo – część ze środków obrony powietrznej jej z powrotem zabrał, przerzucił np. do Polski. Putin robi wszystko, by wytworzyć atmosferę ciągłego napięcia i zagrożenia.

I co Zachód powinien w tej sytuacji zrobić?
– Kiedy zbliża się pięść, nie należy się na jej widok kulić, tylko odpowiedzieć tym samym. I jestem tu bardzo dosłowny: Zachód powinien zacząć stwarzać takie samo groźby pod adresem Rosji. Podkreślać, że rosyjskie działania odbierane są jako akty wojny i przygotowywać adekwatne odpowiedzi.

Taki scenariusz można byłoby sobie wyobrazić, gdyby w Białym Domu był nadal Joe Biden, a nie Donald Trump.
– To nie jest kwestia środków czy zasobów, ale woli politycznej. Na razie jej nie widzę. Ludzie nie chcą sami przed sobą przyznać, że toczy się wojna. Putin z wami walczy, a wy z nim nie. Właśnie dlatego ma przewagę.

Mam na myśli też fakt, że Trump, w przeciwieństwie do Bidena, nie sprawia wrażenia oponenta Putina.
– Rzekłbym wręcz, że jest dzisiaj jego sojusznikiem. Trump rozwiązał Putinowi ręce. Widzimy, że po ich spotkaniu na Alasce ataki na Ukrainę się zintensyfikowały. Trudno nie odnieść wrażenia, że Putin zrozumiał wtedy, iż wszystko ujdzie mu na sucho. Trump umył ręce od tego wszystkiego.

I nie ma co słuchać oświadczeń Trumpa, który mówi niekiedy coś, co daje nadzieję Ukrainie czy europejskim elitom. Przecież to człowiek, który wieczorem mówi jedno, a na drugi dzień rano coś zupełnie innego. USA nie są dzisiaj gwarantem bezpieczeństwa Europy czy Ukrainy. Ostatnie pół roku wyraźnie to pokazują.

Co miał pan na myśli mówiąc, że Trump jest sojusznikiem Putina?
– Nie mam tu wcale na myśli jakiejś fascynacji Putinem ze strony Trumpa. Oni obaj chcą zniszczyć zachodni liberalny porządek. Obaj są agentami chaosu. Każdy z nich ma podobny cel: zniszczyć zachodnie instytucje. Dla Putina to cel życia, a Trump z kolei wyznaje ideologię, która głosi, że należy zniszczyć wszystkie „liberalne wymysły" w rodzaju ONZ, ruchy ekologiczne, zielony ład, UE.

Nie ma ani jednej międzynarodowej organizacji, którą Trump uważałby za potrzebną. Jemu potrzebna jest kontrola nad Ameryką i nieograniczone możliwości zarabiania pieniędzy. I to ich obu łączy z Xi Jinpingiem, mimo że Chiny są przecież dla Trumpa zagrożeniem.

Europa musi zrozumieć, że Trump też jest dla niej zagrożeniem.

USA pod jego wodzą są prędzej sojusznikiem Rosji niż Europy czy Ukrainy.

No dobrze, ale wracając do ewentualnego zagrożenia ze strony Rosji, to znamy przecież możliwości rosyjskiej armii, której nie udało się zwyciężyć w Ukrainie. Wiemy też co nieco o rosyjskiej gospodarce, która coraz bardziej się przegrzewa. Uspokajają też eksperci wojskowi, podkreślający, że Rosja nie jest wystarczająco silna, by napaść na NATO.
– A co rozumiemy przez „napaść"? To nie tak, że w Warszawie pojawi się kolumna rosyjskich czołgów, ale liczba prowokacji, przeróżnych incydentów i aktów dywersji będzie stale wzrastać. Putin może zacząć paraliżować działalność kolei i lotnisk, wykorzystać w swojej wojnie migrantów, tak jak to zrobił Aleksander Łukaszenka.

Nie chcę straszyć, ale Rosja nie wykorzystywała jeszcze broni chemicznej i bakteriologicznej, którą przecież ma. Możliwości Putina są gigantyczne, by uczynić życie ludziom na Zachodzie nieznośnym. Polska i Zachód myślą, że z Rosją można grać zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami. Wydaje im się, że istnieją jakieś stopnie eskalacji, że trzeba uważać, by nie przekroczyć granicy. A Putin myśli zupełnie inaczej.

On ma swoje własne menu eskalacji i będzie z niego wybierać niezależnie od tego, co Zachód będzie robić. Im więcej słabości pokaże Zachód, tym dalej Putin się posunie. Na siłę można odpowiadać tylko siłą. Na atak, tylko atakiem.

Biorąc pod uwagę nastroje w Rosji, zarówno te wśród zmęczonych już wojną ludzi, jak i w jego otoczeniu, Putin zdecyduje się na eskalację?

Wystarczy włączyć rosyjską TV, by dowiedzieć się, że Rosja jest z Polską w stanie wojny. Komentatorzy rozwodzą się nad możliwościami bombardowania Polski

– Bez wątpienia. Putinowi wojna jest potrzebna, by dalej konsolidować elitę. Wojna jest dla niego kontynuacją polityki wewnętrznej. Potrzebne są mu nowe cele i sukcesy, zwłaszcza jeśli na jednym froncie idzie źle. Widzimy, że w Ukrainie rosyjskiej armii idzie teraz gorzej, nie wiadomo, jak będzie dalej. Kreml potrzebuje więc nowych celów do ataku.

Tak było przecież w 2014 i 2015 r. Kiedy Putinowi nie udało się zająć Donbasu i wschodniej Ukrainy, niespodziewanie uderzył w Syrii. Wojna jest dla Putina niekończącym się procesem, który nie ma jako takiego ostatecznego celu. Moim zdaniem, dopóki Zachód nie powstrzyma Putina, ta wojna będzie się tylko rozszerzać.

To pewnie naiwne pytanie, ale zwykli Rosjanie to zaakceptują?
– 15 proc. się przerazi, pozostali – przyjmą, może i z zadowoleniem. W Rosji nie ma żadnego potencjału do protestów, wszystko zostało zniszczone. A ludzie są obrobieni przez propagandę, całkowicie labilni. I to można zrozumieć. Ciężko jest żyć w roli osoby protestującej przeciwko władzy. Zwłaszcza jeśli w kraju nie ma żadnych struktur.

Rosja nie ma swojej „Solidarności" ani Kościoła, które w tej walce pomagały Polakom. Nie ma gnijącej, słabnącej władzy. Jestem przeciwny mówienia o Rosjanach jako o narodzie niewolników, ale faktem jest, że oni są dzisiaj całkowicie zduszeni. Przeciętny Rosjanin zaakceptuje dzisiaj ze strony Kremla wszystko. Putin powie, że jutro zaczyna wojnę jądrową? Zwykły człowiek w Rosji powie, że widocznie tak trzeba. Putin każe oddać Rosjaninowi na rzecz państwa mieszkanie lub samochód? Ten człowiek to zrobi bez protestu.

Pan często w tekstach przeprowadza analogię między sytuacją w dzisiejszej Europie, a latami 30. XX w.
– Tak, bo moim zdaniem dzisiejsze czasy możemy porównać do 1937 czy 1938 r. Wtedy też nikt nie mówił, że trzeba się jednoczyć, by zniszczyć reżim Hitlera, decydenci raczej mieli nadzieję, że jeśli jeszcze trochę mu się odda, jeśli na jeszcze jakieś ustępstwo względem niego pójdzie, to on się uspokoi. Świat wtedy tłumaczył, że przecież Niemcy są takie duże, reżim też, ludzie sami go wybrali, jakim prawem się w to wtrącać i niszczyć? A historia pokazała nam, czym to się skończyło.

Pan uważa, że Zachód powinien postawić sobie za zadanie nie tyle doprowadzić do zakończenia wojny w Ukrainie, ile zniszczyć putinowski reżim?
– Nie będzie pokoju, dopóki reżim Putina nie upadnie albo nie zostanie zniszczony. Widzę, że europejscy liderzy nie są w stanie tego zaakceptować. Może poza nielicznymi, jak np. Andrius Kubilius, komisarz UE ds. obrony, który mówi o tym wprost. Pozostali boją się eskalacji, konfliktu dyplomatycznego, zagrożenia jądrowego, bo – jak już mówiłem wcześniej – Rosja może przyjść i uderzyć bez żadnego wyraźnego powodu, nie trzeba jej do tego prowokować. Ona to zrobi, wcześniej czy później.

Mówi pan o nowym, większym celu, jakim miałoby być doprowadzenie do upadku putinowskiego reżimu. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: to nie są złote czasy Europy, która ma dzisiaj wiele własnych problemów i słabości.
– To prawda i jest to ogromny problem. Meloni we Włoszech, Nawrocki w Polsce, AfD w Niemczech, Le Pen we Francji, Fico na Słowacji. Nie wiem za bardzo, kto się ostał spośród tradycyjnych europejskich sił: liberalnych, międzynarodowych, globalistycznych, które byłyby w stanie przekonać wyborców, że trzeba walczyć o międzynarodowe instytucje, inwestować w obronę, przestrzegać praw człowieka, dbać o klimat, wspierać Ukrainę, przeciwstawiać się Rosji. To bardzo trudne zadanie, wyborców coraz trudniej jest do tego przekonać. Dlatego obawiam się, że stąpamy po śladach naszych przodków z lat 30. XX w.

Brzmi pan bardzo apokaliptycznie.
– Nie chcę tak brzmieć! Mówię tylko o zagrożeniach, które widzę. Mam nadzieję, że wybory w kluczowych krajach europejskich doprowadzą do mobilizacji, a nie rozkładu. Osobiście uważam, że światu potrzebny jest dzisiaj Teheran 1943 r. Potrzebne jest, by liderzy wolnego świata zebrali się i wprost powiedzieli: putinowska Rosja to zło, które musi zostać zniszczone, a wojna w Ukrainie jest też naszą wojną. ●

Siergiej Miedwiediew

• rosyjski dziennikarz, profesor nauk politycznych, publicysta i pisarz. Urodzony w Moskwie wykładał na uniwersytetach w Rosji, Finlandii i Niemczech, obecnie jest profesorem na Uniwersytecie Karola w Pradze i pracuje na Uniwersytecie w Helsinkach.

eprasa.pl 404822a087

KULTURA I OBYCZAJE

Chopin FRAZĘ MA GIĘTKĄ

• William Young (24 l.) z USA, podczas występu w II etapie Konkursu Chopinowskigo (12 października br.), który dał mu awans do III etapu (14-16 października br.)

Sukces uczestnika konkursu lepiej mierzyć liczbą wzruszonych słuchaczy niż liczbą lajków. Muzyka jest m. in. po to, żebyśmy choć na chwilę znaleźli się w świecie idealnym.

Z PIANISTKĄ **EWĄ POBŁOCKĄ,** JURORKĄ 19. KONKURSU CHOPINOWSKIEGO ROZMAWIA **ANNA S. DĘBOWSKA**

Jak wygląda jurorki dzień jak co dzień?
– Najpóźniej o 6.45 dzwoni budzik. Zaczynam dzień od gimnastyki, potem śniadanie i dwie godziny przy elektronicznym instrumencie w pokoju hotelowym. Po konkursie mam koncerty, więc muszę być w formie. O 10.00 pierwsza tura przesłuchań. W przerwach wywiady, kawa. Po południu obiad i jeśli uda się szybko zjeść, mam szansę na drzemkę.

Kończymy przesłuchania o 21.00. Czasem sesja się przedłuża. Dobrze, że w czasie konkursu mieszkam w hotelu w pobliżu Filharmonii Narodowej, tak jak wszyscy jurorzy. Po przesłuchaniach wracam spacerem do hotelu. Jestem tak zmęczona, że marzę tylko o tym, żeby nikt do mnie nie mówił. A potem staram się spać. Przynajmniej te siedem godzin.

Pewnie słyszy pani w głowie urywki wszystkich utworów, które grano przez cały dzień.
– Tak, dlatego potrzebna mi cisza, bo w ciągu dnia było za dużo dźwięków. I bywa za dużo decybeli. Czasem wieczorem znajduję jeszcze czas na notatki. Coraz więcej ostatnio piszę. Zwłaszcza jeśli pojawiają się wybitne interpretacje, na co wszyscy zawsze liczmy. Zapisuję również uwagi co do wykonań, które mi się nie podobają.

I tak przez ponad dwa tygodnie, aż do finałowych przesłuchań.
– Te odbywają się tylko wieczorami, więc już jest lżej. Najtrudniej jest na początku – w pierwszym etapie w tym roku jest 84 pianistów.

Jak pani kieruje swoją uwagą? Uczestnik, który gra pierwszy danego dnia, ma przecież prawo do tej samej porcji uwagi jurora, jak ten, który gra ostatni.
– Każdego staram się słuchać z tą samą uwagą. Gdy ktoś świetnie grał w eliminacjach, ale nie nauczył się reszty programu – przychodzi rozczarowanie. I wtedy koncentracja trochę słabnie.

To, czy dany występ jest ciekawy i wartościowy, zależy również od tego, jak został skonstruowany program. Zwracam uwagę na dobór tonacji i rozplanowanie napięć. Konstrukcja programu wiele mówi o samym pianiście.

Wspaniale, kiedy czasem zdarza się olśnienie. Jak w 2021 roku, kiedy Bruce Liu zagrał „Wariacje »Là ci darem la mano«". Jurorzy potrafią się więc zachwycić i zainspirować. Jednak o tych wrażeniach podczas konkursu nie powinniśmy rozmawiać.

Nie wymieniacie się opiniami w czasie konkursu?
– Najgorzej, kiedy któryś z jurorów powie: „Ale było, co?". Nam nie wolno rozmawiać o wykonaniach w trakcie przesłuchań, aby nie wpływać na siebie nawzajem. Oceniamy i punktujemy uczestników na kartach ocen, które następnie oddajemy sekretarzowi jury do zsumowania i wyciągnięcia średniej arytmetycznej punktów z występu każdego uczestnika w danym etapie. Znamy wyniki w punktach, ale bez nazwisk uczestników, nie wiemy więc, jak każdego z nich punktują koledzy.

Skoro nie dyskutujecie o tym, co właśnie usłyszeliście, to co robicie w wolnym czasie?
– Odpoczywamy. Coś czytamy. Ktoś patrzy w komórkę, ktoś inny pije kawę. Są ciastka.

Do dyskusji dochodzi dopiero wtedy, gdy na ostatnim z przewidzianych miejsc znajdzie się więcej niż jedna osoba z tą samą liczbą punktów. Wówczas ponownie głosujemy. Wprawdzie jurorzy nie oceniają swoich studentów, ale bywa, że dyskusję prowadzą w takim kierunku, żeby im sprzyjać.

Wygrywają wtedy ci, który mają większą siłę przekonywania. Ja natomiast wolę, gdy decyzja o podziale nagród zależy od liczb, a nie od wyniku dyskusji. To dla mnie czysta sytuacja.

Bywała pani zaskoczona tym, że w kolejnym etapie nie usłyszała uczestnika, którego wysoko pani punktowała?
– Zaskoczona, zawiedziona – tak. I to nieraz. Często jest tak, że mamy świetny konkurs, wielu wspaniałych młodych pianistów, wybór jest bardzo trudny ze względu na obfitość talentów. Potem dostajemy informacje o pierwszej, drugiej, trzeciej nagrodzie i nikt nie jest zadowolony. Każdy miał bowiem swoje jasno sprecyzowane oczekiwania co do ostatecznych wyników.

Od lat mówi się o tym, że konkursy muzyczne bywają niesprawiedliwe, a sztuki nie da się wymierzyć w punktach. Jednocześnie rośnie liczba konkursów.
– Rośnie. I ma to, niestety, wielki wpływ na młodzież, która od dziecka jest wysyłana na konkursy, do których podchodzi się bardzo sportowo. Przyjeżdża na jakiś mały, lokalny konkurs i wygrywa. A ktoś inny staje do poważnego konkursu i wchodzi do finału, ale bez

eprasa.pl 404822a087

pierwszej nagrody. I czyje osiągnięcie bardziej się liczy? Oczywiście – pierwsza nagroda, bez względu na rangę konkursu. A istotą na tak wczesnym etapie jest wszechstronny rozwój artystyczny, a nie sama rywalizacja.

Absurd.
– Podczas pracy ze studentami pytam, jakich nagrań muzyki Chopina słuchają. Jest tyle wspaniałych archiwalnych zapisów. A oni wymieniają prawie wyłącznie laureatów z ostatnich lat. Pytam wtedy na przykład: „A Cortot?" [Alfred Cortot (1877-1962), wybitny francuski interpretator muzyki Chopina]. Nie słyszeli o tym pianiście. Wzorują się na laureatach wielkich konkursów, zamiast szukać u źródeł. Moim zdaniem starsze nagrania są bardziej wartościowe.

Ale konkursowe propozycje też są warte uwagi.
– Oczywiście. Ja sama zapamiętałam kilka utworów z różnych konkursów osób, które wcale nie wygrały. Na przykład Aimi Kobayashi, która dla mnie wstrząsająco wykonała Preludia op. 28, czy Kate Liu w Polonezie-Fantazji. Ich gra była dla mnie bardzo inspirująca.

Co nie znaczy, że ja chciałabym tak samo. Chodzi o poszerzanie własnych horyzontów wykonawczych.

To pokazuje, że muzyka Chopina jest otwarta na bardzo wiele interpretacji, wręcz nieskończoną ich liczbę.
– Dlatego nie ma jednego idealnego wykonania, nie ma jedynego wzoru do naśladowania. Trzeba być otwartym. Uważam też, że nie ma jedynie słusznego wydania utworów Chopina. Można studiować wiele edycji, a nawet łączyć je ze sobą.

Teraz rządzą portale społecznościowe.
– No właśnie, niestety. Czy na konkursie ważne jest to, że uczestnik dostanie milion lajków, czy jednak to, ile osób dzięki niemu się wzruszy? Sukces uczestnika lepiej mierzyć liczbą poruszonych słuchaczy niż liczbą lajków. Muzyka jest między innymi po to, żebyśmy choć na chwilę znaleźli się w świecie idealnym.

To jest po prostu wielki biznes, tak?
– Coraz bardziej biznes. Oczywiście, możliwości, jakie daje Konkurs Chopinowski, są bardzo ważne dla artystów, którzy rozpoczynają karierę. Mam tylko nadzieję, że uczestnicy nie zapominają o tym, co jest sednem naszego zawodu.

Na Konkursie Chopinowskim najważniejsza jest idea propagowania muzyki Chopina, a nie medialna rywalizacja odsłaniająca wszystkie emocje uczestników. Nie wszystko jest na sprzedaż.

Przeczytałam w pani książce „Forte-piano", że w dzieciństwie pani się bardzo cieszyła, mogąc grać przed publicznością.
– Byłam szczęśliwa. I do dziś czuję coś takiego, zwłaszcza kiedy to jest dobry koncert, że tworzy się jakaś wzajemna relacja między wykonawcą a publicznością. Jest to wspaniałe doznanie.

Pani przygoda z muzyką zaczęła się od Chopina?
– W dzieciństwie słuchałam go w radiu, potem na Boże Narodzenie dostałam od rodziców komplet dzieł wszystkich na płytach. W 1980 roku zdobyłam piątą nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym w Warszawie. Tak sobie postanowiłam już w pierwszej klasie szkoły podstawowej i spełniłam marzenie o wzięciu udziału w konkursie imienia mojego ukochanego kompozytora.

I po tym konkursie, któremu zresztą wiele zawdzięczam, na parę lat się z tym kompozytorem pożegnałam. Po konkursie wróciłam na studia, które skończyłam zresztą, nie grając w programie dyplomu ani jednego utworu Chopina. Nie grałam go całymi latami, ale zawsze wracałam.

Nie wyobrażam sobie swojego życia zawodowego bez Chopina. Im bliżej Konkursu Chopinowskiego, niezależnie od tego, czy jestem w jury, czy nie, zbliża się czas na Chopina. Przeglądam nuty. Za każdym razem uczę się czegoś nowego, czego nie grałam, nawet jeżeli nie będę tego wykonywała.

Od jakiego utworu zaczęła się ta fascynacja?
– Jako pierwszy utwór Chopina dostałam zapomniany Walc a-moll. Na dwie stroniczki łatwy utwór. Grałam go na wszystkich akademiach ku czci. Koledzy recytowali poezję, a ja ciągle z tym walcem. I potrafiłam nim wzruszyć publiczność, grając jeszcze bardzo intuicyjnie, bo byłam wtedy dzieckiem.

Nie wyobrażam sobie swojego życia zawodowego bez Chopina. Im bliżej Konkursu, czy jestem w jury, czy nie, zbliża się czas na Chopina. Za kazdym razem uczę się czegoś nowego, czego nie grałam

***Ewa Pobłocka**

• po raz czwarty zasiada w jury Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Poprzednio była w jury w 2005, 2015 i 2021 roku Jest laureatką 10. Konkursu Chopinowskiego z 1980 roku, uhonorowana nagrodą Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków. Prowadzi klasę fortepianu w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. Koncertowała niemal we wszystkich krajach Europy, a także w obu Amerykach, Azji Afryce i Australii. Chętnie sięga po pióro. Publikowała swoje eseje m.in. w „Zeszytach Literackich". W 2021 roku ukazała się jej pierwsza książka „Forte-piano".

FOT. WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI, BARTEK BARCZYK

Stopniowo poznawałam nokturny, etiudy, walce, impromptus.

Na szczęście moi nauczyciele byli tak wspaniali, że nie zadawali mi od razu tych najtrudniejszych utworów, tylko wybierali program taki, który pasował do mojej osobowości i dojrzałości.

Otrzymała pani nagrodę Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków. To było wielkie wyróżnienie. Jaka jest tajemnica mazurków?
– Tam nie ma nuty, która nie mówi.

I właśnie bardzo ważne jest, żeby zagrać to jako miniaturę, ale żeby pod jednym łukiem znalazła się cała masa różnych niuansów. Tak właśnie gra mazurki Martha Argerich. Fenomenalnie. Jedna myśl przechodzi płynnie w drugą i jest to ulubione moje słowo w Chopinie – giętkie. Giętka fraza.

Do konkursu przygotowywali mnie profesor Jerzy Sulikowski i profesor Zbigniew Śliwiński. Uczestniczyłam w różnych kursach. Podczas kursów w Dusznikach spotkałam profesora Ryszarda Baksta. Byłam pod wrażeniem jego charyzmatycznej osobowości i poprosiłam, żeby zechciał posłuchać moich mazurków. Ponieważ nie byłam uczestniczką jego kursu, nasze spotkania nie mogły odbywać się oficjalnie.

Powiedział mi bardzo ważną rzecz, która mi się przydała na całe życie.

Chodzi o to, że aby w mazurkach podkreślić trzecią wartość w takcie, a właściwie opóźnić ją, należy jak najdłużej zagrać i usłyszeć drugą wartość w takcie. Wtedy ukazujemy właściwy charakter rytmiczny tych utworów.

Zwracał uwagę na proporcje brzmieniowe, żeby forte w mazurku nie brzmiało jak forte w finale sonaty.

Dziś rzeczywiście trudno o dobre mazurki, tak samo jak o walce. Obie te formy taneczne występują w metrum trzy czwarte. Różnica polega na tym, że w walcu wszystko musi być nieprawdopodobnie eleganckie i szlachetne. I w przeciwieństwie do mazurka trzecia wartość w takcie powinna być lekka. Dlatego że tancerze – bo przecież walca się tańczyło na balach – w tym momencie stawali na palcach.

Natomiast w mazurze na trzecią wartość jest przytup. Ale walc to nie tylko kroki, rytm, wirtuozeria, to również rozmowa bez słów między dwojgiem.

Mam wrażenie, że niestety, młodzi nie potrafią tańczyć, i to ich blokuje w grze. Ja przed swoim konkursem chodziłam do szkoły baletowej na lekcje poloneza, mazura, kujawiaka, aby poczuć ich żywioł i pulsację.

Muzyka Chopina potrąciła w pani jakąś wrażliwą strunę.
– Na pewno, natomiast uważam, że nie można za wcześnie się tak zaszufladkować, a jest coś takiego, że z łatwością szufladkuje się pianistów. Pobłocka? Ta od Chopina. Ostatnio ta od Bacha. No przepraszam, ale ja jeszcze gram Mozarta, Schuberta, Ravela i innych.

W Polsce jest trochę tak, że młodzi pianiści są w pewnym sensie zobligowani do udziału w tym konkursie. W przypadku zdolnego ucznia od razu pojawia się pomysł przygotowania go do Konkursu Chopinowskiego.

W rezultacie często jest tak, że młodzi ludzie przez kilka lat nie grają nic innego, tylko Chopina, co też jest fatalne, bo jednak w pewnym sensie bardzo ogranicza. A więc harmonijnie należy dobierać repertuar.

Bach jako podstawa, dopiero potem Chopin.

Nie mogę jednak nie zapytać na koniec, jak grać, żeby wygrać w Konkursie Chopinowskim?
– Maestro Kazimierz Kord powiedział mi kiedyś przed koncertem, a dużo razem jeździliśmy po świecie: „Pani Ewo, proszę wyjść i zagrać najlepiej jak pani dziś potrafi. Jutro zagra pani inaczej". Życzyłabym wszystkim uczestnikom, żeby grali najpiękniej, jak potrafią i żeby czerpali radość z możliwości grania dla publiczności, która też kocha Chopina. ●

• Rozmowa przeprowadzona 19 września 2025 r. na dwa tygodnie przed rozpoczęciem 19. Konkursu Chopinowskiego.

19.Międzynarodowy Konkurs Chopinowski (2-23.10.2025)

• Odbywa się w Filharmonii Narodowej w Warszawie co 5 lat. Trwa 3 tygodnie i ma IV etapy. W tym roku w I etapie wzięło udział 84 pianistów/tek z 20 krajów, najwięcej z Chin, Japonii i z Polski.
• **Przed nami finał (18-20 października) z udziałem 10 najlepszych uczestników/czek III etapu.**
• **Wyniki poznamy w nocy z 20 na 21 października.**
• Pierwsza szóstka finalistów otrzyma nagrody główne i tytuł laureata XIX Konkursu Chopinowskiego.
• I nagroda to 60 tys. euro i złoty medal,
• II nagroda – 40 tys. euro i srebrny medal,
• III nagroda – 35 tys. euro i brązowy medal.
• Laureaci IV, V i VI nagrody otrzymają kolejno 30, 25 i 20 tys. euro.
• Pozostali finaliści otrzymają po 8 tys. euro.
• Jury konkursu to wybitni chopiniści: laureaci poprzednich konkursów, pedagodzy m.in. Yulianna Avdeeva, Nelson Goerner, Piotr Paleczny i Ewa Pobłocka. Przewodniczy Garrick Ohlsson, zwycięzca Konkursu w roku 1970.
• Transmisje z komentarzem w TVP Kultura i radiowej „Dwójce". Koncert finałowy - także w TVP1 i TVP Polonia.
• W internecie jest streaming live i VOD oraz specjalany kanał konkursowy na YouTubie.

eprasa.pl 404822a087

ŚCISZ GÓRĘ, ROZJAŚNIJ BAS

Steinway, Yamaha, Faziola... Który fortepian wybrałby dziś Chopin?

Z **ANDRZEJEM WŁODARCZYKIEM,*** KONSTRUKTOREM FORTEPIANÓW ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

Gdyby Chopin nagle pojawił się dziś w Warszawie i usiadł przy współczesnym steinwayu czy faziolim – co zobaczylibyśmy w jego oczach? Zachwyt, niedowierzanie, a może rozczarowanie?
– Myślę, że najpierw zdziwienie. Trudno wejść w buty samego Chopina, ale jedno jest pewne – jego fortepiany były zupełnie inne niż nasze i brzmiały inaczej. Mamy kopie ówczesnych instrumentów i wiemy, że na pewno nie brzmiały tak jak współczesne steinwaye, yamahy, faziole etc.

Zasada była ta sama: młotek uderzał w strunę, wydobywając dźwięk. Jednak mechanizm był prostszy, a gra – delikatniejsza, cichsza, kameralna. Dzisiejsze fortepiany mają znacznie większy naciąg, ogromny wolumen dźwięku i dużo bardziej precyzyjny mechanizm. Chopin mógłby być zaskoczony.

Ciekawe zresztą, co by się zmieniło w jego twórczości, jakiego rodzaju muzykę by komponował, gdyby używał współczesnych fortepianów.

A jak pan myśli?
– To pytanie raczej do muzykologów, ale warto popatrzeć na to, jak ewoluowała jego muzyka. Chopin komponował inaczej w Warszawie, inaczej w Wiedniu, jeszcze inaczej w Paryżu, co z pewnością było także związane z fortepianami, które miał pod ręką. Na jego życie przypadała przecież znacząca część ewolucji fortepianu. Instrument się zmieniał, a wraz z nim styl i forma jego muzyki.

Jakie to były instrumenty?
– W Warszawie ćwiczył na instrumentach Fryderyka Buchholtza, który w Warszawie miał dość duży warsztat. Chopin korzystał z jego fortepianów, prawdopodobnie także z tego, który według Cypriana Norwida został wyrzucony przez żołnierzy carskich przez okno.

W Wiedniu grał na instrumentach Grafa i Steina, co wiemy z jego listów. A w Paryżu został twarzą czy – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – ambasadorem marki Pleyel, choć jej konkurent – firma Erard – także robiła znakomite instrumenty z bardziej nowoczesnym mechanizmem.

Erard wynalazł mechanizm podwójnej repetycji – dzięki niemu można powtarzać dźwięk w jednym klawiszu nawet 10-12 razy na sekundę. To ogromna różnica. Pleyel stosował prostszy mechanizm, bliższy instrumentom wiedeńskim, które Chopin znał wcześniej.

Dlatego wybierał pleyele?
– Nie tylko. Powiedział kiedyś, że sięga po pleyela, gdy jest w świetnej formie. A gdy czuje się gorzej – po erarda, bo ten daje gotowy dźwięk. Chodzi o to, że pleyel jest bardzo ciekawy w brzmieniu, ale wymagający. Trudno wydobyć z niego dźwięk, ale temu, kto sobie z nim radzi, odwdzięcza się niezwykłą barwą. A Chopin potrafił wykorzystywać mocne i słabe strony instrumentów. Trochę jak dobry dyrygent, który zna głosy swojego chóru – wie, co mogą, a czego nie, i umie wyciągnąć optimum z ich możliwości.

Czy zachował się fortepian, na którym grał Chopin?
– W warszawskim Muzeum Fryderyka Chopina stoi jego pleyel. To jest instrument z 1849 roku, kilka lat temu przeszedł renowację i jest z powrotem w użyciu – niedawno nagrywano na nim płyty. Ma bardzo ciekawe brzmienie i pewien sekret. To jeden z niewielu fortepianów firmy Pleyel, który ma inny kierunek desek na płycie rezonansowej. Mam na ten temat swoją teorię.

Proszę ją zdradzić.
– Podejrzewam, że Chopin, który koncertował w Londynie, podpatrzył tam takie rozwiązanie u Broadwooda, czyli u konkurenta Pleyela. Chopin był wtedy gwiazdą, Broadwood dostarczał mu swoje instrumenty do apartamentu. Producenci chcieli mu dogodzić, tak jak dziś firmom zależy na współpracy z influencerami.

Fortepian był wtedy centrum domowej rozrywki, wszyscy się przy nim gromadzili jak dziś przy telewizji czy grach wideo. W domach nawet czasem zamykano go na klucz, żeby dzieci nie grały za dużo i mogły się zająć czymś innym.

A więc to, co słyszymy dziś w Konkursie Chopinowskim, to nie jest dokładnie to, co byśmy usłyszeli w czasach Chopina?
– Dawniej niektórzy sugerowali, że Chopin – jak to geniusz – wszystko przewidział, tj. przeczuwał, że fortepiany będą ewoluować, przyjdą steinwaye itd., i jego muzyka to uwzględnia. To oczywiście nadinterpretacja.

Prawda dźwiękowa jest inna. Chopin grany na współczesnym fortepianie brzmi inaczej – można nawet powiedzieć, że jest trochę zniekształcony. Dlatego rośnie grupa pianistów, którzy wybierają instrumenty historyczne, bo uważają, że one lepiej oddają ducha jego muzyki.

Na czym polegają te różnice?
– Jak już mówiłem, współczesne fortepiany są dużo głośniejsze, hałaśliwsze, ale to nie wszystko. W instrumentach, których używał Chopin, wszystkie struny biegną prosto. Od mniej więcej 1860 roku zaczyna wchodzi tak zwany układ krzyżowy. Struny basowe są wyniesione ponad mostkiem wiolinowym, podstawek basowy jest w innym miejscu na desce rezonansowej. Ten sposób krzyżowania strun sprawił, że bas stał się dłuższy oraz bardzo, bardzo energetyczny. Można powiedzieć, że troszeczkę zasłania inne rejestry w fortepianie.

I to da się usłyszeć?
– Kiedy do naszej pracowni trafiają muzycy grający na co dzień na współczesnych instrumentach, reakcje są skrajne. Jedni mówią: „To nie dla mnie" i odkładają. Inni się wciągają – im dłużej grają, tym bardziej odkrywają spójność między nutami Chopina a brzmieniem dawnych fortepianów.

Od czego właściwie zależy brzmienie fortepianu? Rodzaju drewna, układu strun, mechanizmu?
– Jest mnóstwo czynników. Podstawą jest solidna obudowa, dzisiaj najczęściej z klonu albo buczyny. Na nią kładzie się deskę rezonansową wykonaną ze świerku wysokogórskiego, czyli ze stoków północnych, powyżej 1300 m. Chodzi o to, żeby przyrost słoi był bardzo mały. Wtedy właściwości akustyczne są najlepsze.

Musi być świerk?
– Koniecznie, bo druga w parametrach akustycznych po świerku jest jodła, która jest dwa razy gorsza. Świerk to jazda obowiązkowa.

Na desce rezonansowej przyłożony jest mostek, wykonany bądź z buczyny, bądź z klonu, bądź z konglomeratu różnych warstw.

Na przykład Fazioli robi tak, że w dyskancie ma grab, na wiolinie klon i buczynę. To detale, ale wpływają na jakość.

Następna rzecz to wypukłość deski rezonansowej. Ona jest ożebrowana od spodu i nie jest płaska – ma wypukłość membranową, czyli w środkowej części jest wybrzuszona na kilka, kilkanaście milimetrów. Także ma różną grubość w różnych partiach, co oczywiście wpływa na brzmienie. Szczegóły są tajemnicą strzeżoną przez firmy.

Ostatnio producenci odchodzą od tego, żeby mocno lakierować deski, raczej je woskują, żeby były odporne na wilgoć, ale nie obciążone lakierem.

Następnie są struny, które można wziąć od kilku producentów. Liczy się też menzura, czyli długość drgająca struny, a także alikwoty, czyli instrumenty górnej partii, która zazwyczaj dawniej była troszeczkę cichsza, co też kompozytorzy bardzo skrzętnie wykorzystywali. Teraz ten dźwięk w górze jest wzmocniony, trochę podrasowany i nienaturalny.

No i na koniec mechanizm z klawiszy, uderzające w struny młoteczki – z różnych rodzajów filcu, różnej grubości, klejone rozmaitymi metodami. Coraz częściej wraca się do starych, zwierzęcych klejów z rybich pęcherzy, które są odwracalne – można z ich pomocą sklejać i rozklejać – i dają inną sprężystość.

Budowa fortepianu trwa około roku, a przygotowanie drewna jeszcze dłużej. Dlatego instrument koncertowy kosztuje ponad milion złotych. Dobrej klasy pianista, koncertujący, dobrze zarabiający, rzadko kiedy ma w domu taki instrument.

Dziś w Konkursie Chopinowskim do dyspozycji jest pięć marek: Steinway, Yamaha, Kawai, Fazioli i Bechstein. Bardzo różnią się od siebie?
– Nie tak jak kiedyś. Pleyel, Erard czy Streicher były jak zupełnie inne światy. Dzisiejsze instrumenty są bardziej zunifikowane – trochę jak telefony komórkowe. Kiedyś każdy był inny, dziś są do siebie coraz bardziej podobne. Fortepiany także ewoluują w stronę pewnego ideału. Są robione w tej samej technologii, mają bardzo podobne mechanizmy i są dosyć podobne w brzmieniu.

1 RP

eprasa.pl 404822a087

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Deska rezonansowa musi być ze świerku wysokogórskiego, czyli ze stoków północnych, powyżej 1300 m

***Andrzej Włodarczyk**

• konstruktor fortepianów i ekspert w dziedzinie strojenia i budowy instrumentów historycznych. W jego podwarszawskiej pracowni stoi m.in. odtworzony model fortepianu, na którym mógł grać Chopin, oraz inne fortepiany kilku ulubionych marek Chopina: Pleyel, Erard, Broadwood i Streicher

To znaczy, że instrument, który wybiera pianista, nie ma już takiego znaczenia?
– Nie, przeciwnie, wybór wciąż jest kluczowy. Pianiści szukają instrumentu, który najbardziej pasuje do ich temperamentu i sposobu gry. Oprócz samej konstrukcji instrumentu wiele zależy od techników, którzy je obsługują.

Mówi pan o stroicielach?
– Tak się mówi w języku obiegowym, choć to uproszczenie, bo oni oprócz samego strojenia regulują fortepian, zmieniają parametry mechanizmu, jak również instrument intonują, czyli powodują, że młoteczki albo się nakłuwa, albo w różny sposób preparuje, żeby dźwięk wzmocnić.

Co konkretnie technik może zmienić w fortepianie?
– Ogrom rzeczy! Jeśli podzielimy drogę klawisza na dziesięć części, to między ósmą a dziewiątą jest nachdruk – przeskok, w którym klawisz nie przesuwa się płynnie. To ten moment, kiedy młotek wyzwala się przed struną. Po tym wyzwoleniu klawisz przesuwa się jeszcze o milimetr, półtora, czasem dwa milimetry. Jedni pianiści wolą tak, inni inaczej. Do tego dochodzi odległość młotka od struny, wyzwolenie, regulacje śruby łapnikowej, sprężyn, pedałów…

To setki drobiazgów, które decydują o komforcie pianisty. To przekłada się oczywiście na grę i brzmienie.

W siedzibie Steinwaya w Nowym Jorku można wypożyczyć 10 czy 15 fortepianów, z których każdy ma troszeczkę inne parametry, inne zagłębienie klawiszy, inną barwę dźwięku, jeden jest bardziej ostry, inny bardziej surowy. Różnią się do tego stopnia, że są pianiści, którzy nie zagrają na steinwayu zrobionym dla innego pianisty.

To trochę jak w kolarstwie – gdzie dopasowuje się ustawienie roweru do zawodnika, a pomyłkowa zamiana roweru może nawet prowadzić do kontuzji.

Instrument powinien być zestrojony zarówno z pianistą, jak i z salą. Jego pełen wolumen i precyzja objawiają się dopiero dzięki pracy techników.

No i ważna jest też psychologia.

To znaczy?
– Pianista przychodzi z własnym wyobrażeniem idealnego brzmienia, a technik musi go wysłuchać, zrozumieć i próbować zrealizować jego wizję, jeśli jest, dajmy na to, proszony, by ściszył górę czy rozjaśnił bas. Rozmowy i dyskusje między technikami a pianistami bywają trudne, a w warunkach konkursu dochodzą stres i emocje.

Każdy uczestnik konkursu może dostosować fortepian do siebie?
– Nie od razu. Na poziomie pierwszego etapu Konkursu Chopinowskiego nie było czasu i możliwości, żeby instrumenty modyfikować pod każdego z uczestników, siłą rzeczy musiały mieć uśrednione parametry, ale w finale będziemy to obserwowali.

Te fortepiany będą troszeczkę się zmieniać, bo technicy, którzy je obsługują, będą się starali wyciągnąć z nich jak najwięcej. Choć mają piekielnie trudno, ekipy muszą pracować nocą, dzielić się czasem, a doba się przecież nie rozciągnie.

W Warszawie mamy duże szczęście, bo dwie wiodące firmy obsługują bracia Bednarscy, Jarosław i Michał. Jeden jest w Steinwayu, drugi u Yamahy. Dawniej przyjeżdżali specjaliści od producentów, dziś polska kadra stroicieli dorównuje najlepszym w świecie. To powód do dumy.

Który z tych pięciu fortepianów obecnych w konkursie jest najbliższy ideału?
– Nie ma idealnego fortepianu, na którym można zagrać wszystko. Tak jak nie ma uniwersalnych samochodów. W idealnym świecie należałoby dobierać instrument pod kompozytora, a nawet do każdego okresu jego życia.

W tym roku organizatorzy dali uczestnikom możliwość grania na aż pięciu najlepszych markach fortepianów. Kiedyś nie było takiego wyboru. Ale wprowadzono też zasadę, że nie można zmienić fortepianu w trakcie konkursu. To nowość. Kiedyś było inaczej – firmy wręcz wysyłały swoich emisariuszy, którzy namawiali pianistów do zmiany: „Widzimy, że źle ci się gra, spróbuj u nas”. To miał też wymiar biznesowy – zwycięzca konkursu stawał się twarzą marki, co przekładało się na kontrakty koncertowe.

To chyba jedna z niewielu dziedzin życia, w której sztuczna inteligencja na razie nie ma szans zastąpić człowieka.
– I będzie tak jeszcze długo. Tu zbyt wiele zależy od ludzkiego ucha i rąk, zarówno pianisty, jak i technika. Każdy koncert to spotkanie człowieka z instrumentem – nieprzewidywalne, jedyne w swoim rodzaju. ●

Przyjaciel Chopin wrócił do domu

Chyba to właśnie Chopin, jego muzyka, jest w stanie uzmysłowić najpełniej, czym jest tradycja. Przekazywanie zakochania z pokolenia na pokolenie, pionowo, a także rówieśniczo, w poziomie, kiedy przyjaciel mówi przyjacielowi, co go przejęło, zachwyciło, poruszyło.

Jarosław Mikołajewski

Pisał Ferdynand Hiller, frankfurcki pianista i kompozytor, o swoim genialnym przyjacielu: „Kochał mnie Chopin, ale winienem dodać, że ja byłem w nim zakochany. Nie wiem przynajmniej, jak inaczej nazwać uczucie, którym mnie natchnął. Jego obecność uszczęśliwiała mnie, nigdy nie mogłem nasłuchać się go do syta; jeślim go dłużej nie widział, tęskniłem…” (cytuję za monografią Barbary Smoleńskiej-Zielińskiej).

Pięć lat tęsknoty

Jest w tym wspomnieniu kilka elementów, w których się rozpoznaję.

Po pierwsze – w samej naturze uczucia, które Hiller nazywa z niemałą odwagą. W uszczęśliwieniu obecnością ukochanego, w nienasyceniu, w tęsknocie. We wzajemności.Po drugie (choć przecież po pierwsze) – w samym Chopinie, który znowu, po pięciu latach, przychodzi do nas jako wielkie święto, radość, spełnienie zakochanej tęsknoty. Mówiąc śmielej – miłości. Doświadczanej od dzieciństwa, kiedy rodzice prowadzili mnie na koncerty w Łazienkach czy w Filharmonii „u cioci Jadzi”, puszczali rozfalowane płyty na enerdowskim gramofonie.

Chyba to właśnie Chopin, jego muzyka, jest w stanie uzmysłowić najpełniej, czym jest tradycja. Przekazywanie zakochania z pokolenia na pokolenie, pionowo, a także rówieśniczo, w poziomie, kiedy – jak często się zdarza w tych dniach – przyjaciel mówi przyjacielowi, co go przejęło, zachwyciło, poruszyło.

I myślę z wdzięcznością o koleżankach i kolegach z Liceum Batorego, którzy zarażali mnie szlachetnym i zdrowym snobizmem w 1975 roku, mówiąc o wielkości Krystiana Zimermana. A także o przyjaciółkach ze studiów, które w 1980 roku nie mogły się pogodzić z krzywdą, jakiej w naszym przekonaniu doznał odrzucony przed finałem, antykonformistyczny także w wyglądzie Ivo Pogorelić.

Słuchało się Kaczmarskiego i Chopina na przemian i równolegle, w dwóch różnych sprawach, we wspólnym przejęciu tej samej duszy, której pojemność odkrywaliśmy na własnej delikatnej skórze.

Bez chwili znużenia

I znów mamy rok, kiedy gra się Chopina. Rok, w którym mogłem zmniejszyć dług zaciągnięty u dziewięćdziesięciojednoletniej dziś mamy, towarzysząc jej w Filharmonii na Jasnej, żeby bez chwili znużenia, we wspólnotowym przejęciu z całym audytorium wysłuchać i widzieć w jednej sesji pięcioro wykonawców. Wyłapywać, wciąż niewprawnymi uszami, nieuchwytne tajemnice fantazji, barkarol, nokturnów, walców, niby tych samych, a przecież odnawianych, wciąż na powrót i zawsze inaczej. Oklaskiwać pracowitość, talent, urodę i młodość pianistów bez względu na pochodzenie, flagę czy (jak w przypadku pianistów rosyjskich) jej brak.

Za każdym razem, kiedy (bardzo często) słyszę, że największym Polakiem w historii był Jan Paweł II, budzi się we mnie jakiś święty diabeł i pyta: a Maria Skłodowska-Curie?! Adam Mickiewicz?! Mikołaj Kopernik?! A Fryderyk Chopin?! I pyta jeszcze: w imię czego pozwalamy zawstydzać własne zakochania, naszą intymność? Narzucać naszym najgłębszym rozpoznaniom jednolitą wizję historii?

I oświadcza ponadto ten mój święty szatan: tym, na co czekam, jest coś, co wydobędzie ze mnie to, co najlepsze, jakieś opętanie, piękno, aspirację, mądrość, wytworność, uprzejmość, niesforną doskonałość. Coś większego ode mnie, w co nie waham się wtulić, w czym odnajduję siłę, żeby przeczekać.

Fortepian sięgnął Sejmu

I oto znów mamy ten czas. I chwalę Szymona Hołownię, który w moich oczach sam nie jest pięknością (Zygmunt Krasiński), za to, że przepuścił przez siebie „strumień piękności”, wprowadził do Sejmu fortepian i muzykę Chopina, dając znak, że istnieją niewyrażalne wartości, do których można dążyć, a przynajmniej mieć je na uwadze. Pamiętać, że są. I są to wartości nie polityki i religii, lecz wiary, poezji, muzyki, przeżyć.

Sprzeczamy się o wszystko, ostatnio nawet o ocenę masowych zbrodni. W przypadku Konkursu Chopinowskiego, bez względu na nasze preferencje, jest coś, co sprawia, że podczas prezentacji członków jury patrzymy na balkon jak na świętą rozmowę, podczas której zapadnie wyrok. Może niesprawiedliwy, lecz nikt z nas nie może powiedzieć, że uczestnikom tej *sacra conversazione* brakuje kompetencji, a nawet majestatu. Czy każdy z posłów, każda z posłanek może to powiedzieć o sobie? Czy każda/każdy mówi z taką życzliwością o konkurentach?

Pytanie puszczone w chaos, przepraszam. ●

• Finał Konkursu w dniach 18-20 października, w dniach 21-23 zaplanowane są trzy koncerty laureatów.

eprasa.pl 404822a087

PATRZYLIŚMY NA NIEGO JAK NA BOGA

• **Warszawa, 10.09.2015 r., prof. Marian Zembala, wówczas minister zdrowia, podczas protestu pielęgniarek pod Sejmem**
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na odprawie po nieudanym zabiegu Marian Zembala potrafił powiedzieć lekarzowi: „Zabiłeś chorego”.

Dariusz Kortko, Judyta Watoła

Fragment biografii „Zembala. Szpital to ja. Historia słynnego kardiochirurga”, która ukazała się 15 października w wydawnictwie Agora

Lekarze pamiętają, że gdy Albert Kocher ze Szpitala Akademickiego w Wiedniu odbywa w Zabrzu staż, o Zembali mówi, że to master of first impression, czyli mistrz pierwszego wrażenia. Człowiek, który każdego potrafi zaczarować. Inne przymiotniki: teatralny, głośny, wybuchowy, roztrzepany, genialny, niesprawiedliwy, bezwzględny...

Profesor Lech Poloński, kardiolog: – To raptus, miał nagłe pomysły i nagłe furie.

Zembala w wywiadach: „Tak, jestem porywczy. Pracuję w ciągłym napięciu”.

Poloński: – Potrafił jednak przyznać, gdy nie miał racji.

Szpital mówi o awanturach, jakie urządza głównie na kardiochirurgii. Kogoś opieprzył przy pacjentach, kogoś złapał w porywie gniewu za kołnierz.

Profesor Ewa Kucewicz-Czech, anestezjolożka: – Kończyliśmy dyżur, siedzieliśmy w dyżurce czekając na odprawę. Kolega mówi: „No to jeszcze tylko opierdol od Mariana i do domu”.

Profesor Poloński: – Koleżanka prosiła mnie o pomoc, chciała się zobaczyć z profesorem Zembalą. Była pod jego wielkim wrażeniem. „Co to za człowiek!”, powtarzała po rozmowie z nim. „Wspaniale mnie przyjął. Jezu, jaki on jest demoniczny!”. Demoniczny. Pomyślałem, że to trafne określenie.

Odprawa zawsze za kwadrans ósma, w pokoju obok stołówki. Wcześniej obchód na kardiochirurgii, po którym nabuzowany profesor Zembala wpada na zebranie. Czekają chirurdzy, anestezjolodzy, radiolog, fizjoterapeuci. Każdy ma swoje stałe miejsce. Słuchają. Niekończące się monologi profesora o wszystkim: polityce, Kościele, o rozmowie profesora z biskupem. Dygresja goni dygresję, czasami prowadzi aż na Hawaje.

– Zobaczyłem tam kiedyś grajka ulicznego, który grał na ukulele – opowiada Zembala, gdy wszyscy zerkają już na zegarki.

– A jak to się ma do naszej odprawy? – pyta jeden ze zniecierpliwionych lekarzy.

– Cicho siedź! – gasi go Zembala.

Inna odprawa. Rozmowa o trudnym chorym. Odzywa się jeden lekarzy. Zembala przerywa: – Nie odzywaj się, bo ty żonę zdradzasz.

Doktor Wojciech Saucha, anestezjolog: – Zebrania trwały nawet półtorej godziny. Oddział zamierał, sale operacyjne stały puste, wszyscy czekali, bo profesor przemawiał. Mówiliśmy o tych spektaklach „Oratorium Marianum”.

Raz na miesiąc mortuarium, czyli analiza przypadków śmiertelnych. Zastanawianie się, gdzie mógł być popełniony błąd, czy ktoś czegoś nie dopilnował? Jak się to odkryje, to można coś poprawić. Dlatego mortuaria odbywają się niemal w każdym szpitalu w Polsce i na świecie. W Zabrzu myśl o mortuarium przyprawia lekarzy o mdłości.

Pacjenci kardiochirurgii zazwyczaj umierają na intensywnej terapii. Jej ordynator, profesor Piotr Knapik przygotowuje statystyki. Liczy dokładnie, ile było udarów mózgu, ile nie gojących się mostków. – Starał się, żeby dyskusja była merytoryczna, ale kończyło się zawsze na szukaniu winnych – mówi Saucha.

Winni mogą się sami zgłosić. Jeśli tego nie zrobią, zostaną wskazani. Usłyszą, że są beznadziejni, niewykwalifikowani, niedojrzali, niedouczeni, nieostrożni, mało czujni, nie dość empatyczni, byle jacy. Bóg ich pokarał i rozum im odebrał.

Na odprawie po nieudanym zabiegu Marian Zembala potrafi powiedzieć lekarzowi: „Zabiłeś chorego”.

– Proste, straszne zdanie, które potrafi obezwładnić, odebrać lekarzowi wiarę we własne umiejętności, nawet zakończyć karierę – mówi doktor Jan Borzymowski.

Dla Mariana Zembali w tym momencie nie ma to jednak znaczenia. Liczy się tylko, że chory umarł. Śmierć chorego to porażka, a on nie toleruje porażek. Trzeba znaleźć winnego.

– Rozumiałem, że chciał maksymalnie podnieść poziom operacji. Byliśmy rozliczani nawet z takich epizodów, gdy po zabiegu pacjent miał migotanie przedsionków. Na mortuarium chirurg musiał udowadniać, że śmierć pacjenta to nie była jego wina – mówi Borzymowski.

Pamięta jednego z chorych. Zabieg bez powikłań, na sali bez żadnych kłopotów. Sobota, Borzymowski odpoczywa w domu, gdy dzwonią ze szpitala: – Jasiu, twój pacjent się zatrzymał.

W żołądku kamień, na plecach zimny pot. Borzymowski pędzi do Zabrza. Musi zobaczyć chorego. – Takie było zarządzenie Zembali – mówi. Gdy dociera na miejsce, pacjent jest już po reanimacji. – Leży na moim sumieniu – dodaje Borzymowski.

Dlatego telefon musi być zawsze włączony, wieczny alert. Awantura, gdy ktoś o czwartej nad ranem nie podniesie słuchawki. Dla Zembali taka postawa jest niemoralna. Czy ktoś taki może się nazywać lekarzem?

Doktor Jacek Sroczyński słyszy od szefa: – Przez ciebie zginął pacjent!

– Ależ panie profesorze, mnie wtedy w szpitalu nie było – broni się lekarz.

– No właśnie! – wyrzuca mu Zembala.

Nie warto się bronić, bo będzie gorzej. Szef i tak zgasi człowieka podniesionym głosem: – To w czym problem!?

Jeden ze starszych asystentów w emocjach odpowie: – Taki mamy problem, że nie mamy problemu.

1 RP

eprasa.pl 404822a087

Koniec odprawy?

O, nie. Zembala dopiero się rozkręca: – Zbyt długo operowałeś! Dlaczego!?

Borzymowski spokojnie: – A bo ja długo operuję.

Ktoś chrząka. Profesor wkurzony: – A ciebie wczoraj nie było w szpitalu, tymczasem czekał bardzo ważny pacjent.

– Wczoraj pochowałem swoją matkę – odpowiada asystent.

Zembala czerwony na twarzy: – Każdy ma jakąś matkę! I będzie mi się za matkę tłumaczył!

Asystent: – Ale ja już matki nie mam.

Zmiana tematu. Zembala wskazuje lekarza: – Dzisiaj po południu będziesz mi asystował.

Chirurg prosi: – Panie profesorze, akurat dziś po południu nie mogę operować. Jestem po rozwodzie, są mikołajki, obiecałem synkowi, że dzisiaj z nim będę.

Zembala: – W tym roku mikołajek nie będzie. Mikołaj odwołany!

Dopiero teraz koniec odprawy.

Lekarze próbują rozładować ciężką atmosferę. Sroczyński opowiada kolegom dowcip: – Słyszeliście, że profesor Miodek umarł?

– Nie.

– Umarł na zawał, bo dostał list od Wałęsy.

Koledzy się śmieją, bo Wałęsa jest tak nieporadny językowo, że byłoby to możliwe. Zembala słyszy śmiech. Wraca na salę z rozwianym włosem i krzyczy: – Co wy tu jeszcze robicie! Pacjenci czekają, sami się nie zoperują.

Sroczyński chce poprawić humor także szefowi: – A słyszał pan, że profesor Miodek umarł na zawał?

Zembala nie łapie, że to dowcip. – Niemożliwe! – woła. – O mój Boże! Taki słynny tarnogórzanin! Dlaczego nie przywieźli go do nas!?

I jak oparzony wypadł z sali.

– Marian wymagał także od siebie. Można było do niego zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. Zawsze odebrał – wspomina doktor Borzymowski. – Trzeba mu było meldować, że z jakimś chorym jest problem. Byłoby bardzo źle, gdyby się rano dowiedział, że pacjent w nocy umarł. Na kardiochirurgii nigdy nie spaliśmy podczas nocnych dyżurów.

Profesor Skalski: – Marian miał dużo racji. Zauważał błędy, potrafił wyjaśnić następstwa zaniedbań, ale forma była nie do zniesienia. Każdy czekał, czy tym razem zwróci na niego uwagę i urządzi publiczne przesłuchanie. A potem wpadnie w słowotok, którego nie sposób mu będzie przerwać.

– Hemoroidów można się było nabawić, ale nie od twardego krzesła. Ze stresu – mówią lekarze.

Krótki lont, wielki wybuch

Nieznośny bywa także na sali operacyjnej.

– Źle widział, musiał się bardzo skupiać, pracował w napięciu. Często narzekał na bóle głowy – mówi Hrapkowicz.

Saucha: – Raz okular miał cały zbryzgany krwią. Każdy inny chirurg poprosiłby o przeczyszczenie szkła, a on nie zwracał na to uwagi. Stąd wiedzieliśmy, na które oko nie widzi.

– Denerwował się, bo trudno mu było trafić igłą w odpowiednie miejsce. Drobiazgi wyprowadzały go z równowagi – wspomina Hrapkowicz.

Saucha: – Po 30 tysięcy razy pytał: jak saturacja, czy pompa jedzie, ile adrenaliny, ile dopaminy, i w kółko to samo. Może to dawało mu pewność, że kontroluje zabieg.

Ponieważ operował głównie zastawki, na sali był też specjalista od echokardiografii. On też w kółko musiał odpowiadać na pytania. Zembala radził sobie tak z własnym stresem, ale dla ludzi to trudne, byli w ciągłym napięciu.

Na czoło zakładał ledową lampę. Silną. Jak na kogoś spojrzał, na człowieka padało mordercze światło o mocy pięciu tysięcy luksów. – Jakby lokomotywa się zbliżała – mówi Saucha. Lokomotywa, która rozjeżdżała ludzi.

Plastyka zastawki mitralnej, profesor operuje, ale jest coraz bardziej poirytowany. Przy pacjencie czuwa doświadczony anestezjolog, obok niego Saucha. Jeszcze zielony, dopiero się uczy. Zembala zaczyna swój koncert: a pompa, a dopamina, a adrenalina?

Starszy anestezjolog cierpliwie odpowiada, lecz profesor coraz bardziej wściekły. – Do niczego się nie nadajesz, źle prowadzisz tego pacjenta. Wyjdź z sali!

Świeci światłem z czołówki na przerażonego Sauchę. – Przejmujesz to znieczulenie.

Stażyście trzęsą się ręce, ledwo przypomina sobie procedury, ale Zembala zadowolony: – No, teraz jest to dobrze robione.

Wyrzuca z sali operacyjnej nie tylko anestezjologów, także kardiochirurgów, kardiologów, rzadziej instrumentariuszki. Romana Przybylskiego, swojego zastępcę – nigdy. Przybylski to znakomity chirurg, w każdej chwili może przejąć najtrudniejszy zabieg. Gdy Zembali nie wychodzi, mówi łagodnie: – Marian, idź się napić herbaty. Ja dokończę.

Zdarza się też, że Przybylski jest nagle przez Zembalę wzywany na blok. Coś Marianowi nie poszło, Romek ma ratować sytuację.

Przybylski radzi kolegom: – Podczas zabiegu szef myśli o tysiącu różnych spraw i może na przykład poprosić o pęsetę, gdy tak naprawdę chce kleszczyki. Nie podawaj mu narzędzia, o które prosi, tylko to, którego potrzebuje. Naucz się czytać w jego myślach.

Saucha długo uczy się tej sztuki. – Wyrwał mi kiedyś z ręki stymulator, bo w ciągu dziesięciu milisekund nie udało mi się włożyć do tego urządzenia baterii dziewięciowoltowej. Był niecierpliwy, miał krótki lont. Myślałem, że mnie wtedy pobije – wspomina.

Ale są instrumentariuszki, które same wiedzą co potrzebne. Podają narzędzia bez słów. Profesor je uwielbia.

Rok mariański

Krzyki, awantury, poniżanie – na porządku dziennym. Ale rękoczyny?

– Widziałem, jak Zembala w ataku furii uderzył w twarz jednego z asystentów – mówi profesor Hrapkowicz.

Sprawa poważna, ludzie w szpitalu tylko o tym mówią. Lekarze siedzą w dyżurce i zastanawiają się, jak by sami zareagowali.

– Oddałbym – zapewnia jeden z nich.

– Naprawdę? – powątpiewają inni.

Skalski namawia poszkodowanego kolegę: – Trzeba to zgłosić.

Nikt nie ma odwagi się skarżyć.

– Taki chirurg mógłby potem nie operować przez rok, albo specjalizować się w pobieraniu żyły z nogi przy bajpasach – mówi doktor Saucha. – A kto nie operuje, nie zrobi specjalizacji. Pozostanie mu tylko patrzeć, jak przeganiają go bardziej potulni koledzy.

– Byliśmy przy nim jak patologiczna rodzina – mówi profesor Hrapkowicz. – Ojciec bije żonę, dzieci go za to nienawidzą, ale nie potrafią mu się sprzeciwić. Marian Zembala mógł otworzyć przed nami wszystkie drzwi, albo wszystkie zamknąć. Nie wychylaliśmy się, każdy chciał pracować i się rozwijać.

Zembala wie, że tym razem posunął się za daleko, gryzie go ten incydent, zwierza się żonie, pyta o radę. Na drugi dzień przeprasza na odprawie.

– Jego zachowania wynikały z poczucia odpowiedzialności za Śląskie Centrum Chorób Serca. Nigdy nie porównywał się z innymi polskimi szpitalami, zawsze z Ameryką i Europą – wyjaśnia profesor Mariusz Gąsior, kardiolog.

Profesor Hrapkowicz: – W połowie lat dziewięćdziesiątych, na początku roku liczyliśmy, kto ile zabiegów zrobił w minionych dwunastu miesiącach. Jeśli suma wydała się dyrektorowi mało imponująca, kazał doliczać operacje ze stycznia. Śmialiśmy się, że dyrektor Marian Zembala zarządzał „rok mariański", dłuższy o miesiąc.

Profesor Skalski: – Zżerała go ambicja. Miał duszę prymusa.

Kongres medyczny w Helsinkach. W hotelu Tomasz Hrapkowicz wraz z innym asystentem pomagają Zembali ułożyć slajdy do prezentacji Zembali.

– A wasz wykład gotowy? Jaka wam wyszła śmiertelność? – pyta profesor swoich asystentów.

– Trzy procent, policzyliśmy dokładnie.

Zembala zawsze wozi ze sobą walizę z książkami i czasopismami medycznymi. Podnosi wieko, wyjmuje jakieś czasopismo, przegląda. – W jednym z najlepszych amerykańskich szpitali mają śmiertelność na poziomie 2,1 proc. Niech w Zabrzu będzie 2,5 – zarządza.

Lekarze nie wiedzą, czy mówi poważnie.

– Nie martwcie się, to tylko do prezentacji – uspokaja profesor. – U nas musi być tak, jak na świecie.

– Moim zdaniem porównywał się wyłącznie ze sobą – mówi profesor Hrapkowicz.

A z Religą?

– Nigdy publicznie. Zdumiewało mnie jednak, gdy profesor Zembala, mówił do mnie, wówczas młodego asystenta: „Nie myśl sobie, że Religa był taki wspaniały".

Tak wygląda oszust

– Lubiłem go – zapewnia profesor Gąsior. – Marian był najbardziej inteligentną osobą, jaką znałem. W szpitalu bywały trudne sytuacje. Żeby dobrze zreferować problem, trzeba było powiedzieć co najmniej 10 zdań, a on już po dwóch wiedział, o co chodzi i zaczynał działać.

– Ale sam lubił mówić, zbaczał z głównego wątku, dokładał anegdoty, wędrował coraz dalej od sedna. Prowadziły go skojarzenia – mówi profesor Hrapkowicz.

Konferencje prasowe w Śląskim Centrum Chorób Serca wyglądają tak: profesor Zembala zaprasza kilku, czasem kilkunastu gości.

Zebrania trwały nawet półtorej godziny. Oddział zamierał, sale operacyjne stały puste, wszyscy czekali, bo profesor przemawiał. Mówiliśmy o tych spektaklach „Oratorium Marianum"

Każdy ma coś powiedzieć, ale gdy tylko ktoś zaczyna mówić, profesor mu przerywa, ma coś ważnego do dodania. Potem to już strumień świadomości. Mówi o kolejnym sukcesie szpitala, ale przy okazji też o kłopotach z NFZ, a potem nagle o Browarach Górnośląskich. W końcu też są w Zabrzu.

Czasami zamienia się w moderatora konferencji prasowych, jak w lipcu 2012, kiedy Śląskie Centrum Chorób Serca odwiedza minister Bartosz Arłukowicz. Profesor Zembala prosi o pytania do gościa.

W „Gazecie Wyborczej" opisuję aferę z ustawionymi konkursami na leczenie w śląskim oddziale NFZ. Pytam Arłukowicza, co z tym zamierza zrobić. Nim minister zdąży się odezwać, Zembala krzyczy: – O Boże, gdybym wiedział, o co pani zapyta, to bym pani nie dopuścił do głosu!

Dziennikarka Polsatu pyta, kiedy rozwiązany zostanie problem chemii niestandardowej, a Zembala znów nie wytrzymuje. – Co to za pytanie!? Przecież tego nawet Matka Boska nie wie!

Rok 2014. Konferencja prasowa ma być tylko o przeszczepach, ale znów jest o wszystkim. Zembala wpada na pomysł, by na kongres Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego w Amsterdamie ekipa z Zabrza popłynęła „Darem Młodzieży". Ma wizję, by na żaglach był napis „Dziękujemy Ci Holandio" – wdzięczność za dzieci operowane kiedyś w Utrechcie. Zaraz potem profesor mówi o kopalniach na Ukrainie, o Polakach z Kresów, wreszcie o dobrym papieżu Franciszku i złym Kościele toruńskim.

Wojciech Saucha: – Byłem świadkiem, jak w trakcie odprawy nagle coś mu się przypomniało i zadzwonił do przeora Jasnej Góry. Objechał go przy nas jak święty Michał diabła. Nie podobało mu się, że przeor pozwala Rydzykowi odprawiać msze na jasnogórskich wałach.

Dziennikarze już się nie dziwią, zdążyli się przyzwyczaić.

– Był świetnie zorientowany, miał wyrobione zdanie na każdy temat i chciał się z tym dzielić – mówi profesor Gąsior. – W swoim gabinecie miał stos gazet, czytał też wiadomości w internecie. Zawsze znajdował na to czas. „Bóg nie lubi leniwych", powtarzał. Nie widziałem, żeby siedział bezczynnie. Każdą sekundę wyciskał jak cytrynę.

Interesuje się muzyką, czyta literaturę i poezję, sam pisze wiersze. O tym też można się dowiedzieć na konferencjach prasowych, kiedy przerywa temu czy innemu mówcy. Nie ważne kto mówi: znany profesor, czy pacjenci, którymi Zembala chce się pochwalić. Chwali się też swoimi lekarzami. Czują, że Zembala naprawdę chce pokazać ich mediom. Skoro tworzą dobry zespół, to także jego sukces. Więc teraz prosi ich o zabranie głosu. I znów przerywa...

– Ludzie nie czuli, że tracą czas? – pytamy.

– Oni może tak, profesor na pewno nie – odpowiada Hrapkowicz.

– W sprawach szpitala bezkompromisowy – zapisuje po stronie plusów profesor Gąsior.

Profesor Ewa Kucewicz-Czech: – Profesor Marian Zembala naprawdę wierzył, że to jest jego szpital. Dbał o niego, jak o swoją prywatną własność. Był niezupełnie nowoczesnym liderem. Z jednej strony szukał winnych porażek, ale z drugiej umiał wprowadzać nowe rozwiązania. Był w tym świetny. Widział problem i mówił „stop"! Analizujemy, myślimy, jak go rozwiązać. Kiedyś mieliśmy złe wyniki w przeszczepianiu, zbyt dużą śmiertelność. Szybko znaleźliśmy przyczynę: zła kwalifikacja dawców. Profesor wzmocnił więc ekipę jeżdżącą na pobrania organów, między innymi o echokardiografistę i statystyki się poprawiły.

Słynne zarządzenia Zembali. Rodzinom pacjentów nie wolno przychodzić do szpitala w czarnych ubraniach, bo to nie jest zakład pogrzebowy, tylko ośrodek, który daje nadzieję. Czerń nie ma tu racji bytu.

Rozkaz dla lekarzy: Nie wolno wypowiadać słowa sepsa. Takie powikłanie w tym szpitalu nie istnieje, nie ma prawa się zdarzyć.

Zimą, gdy ludzie przychodzą do szpitala w butach traktorach, Zembala ogłasza, że to niedopuszczalne. Buty z takimi podeszwami niszczą posadzki. Kobietom nie wolno przychodzić w szpilkach. Szpilki dziurawią podłogi.

Każde, nawet najdrobniejsze niedociągnięcie musi być naprawione, każda procedura ulepszona, każda złotówka dokładnie obejrzana. Profesor Zembala nie przejdzie obojętnie obok żadnej nieprawidłowości.

Dowiaduje się, że duża firma, taniej sprzedaje sztuczne zastawki klinice w Ochojcu, a Zabrzu oferuje wyższe ceny. Łapie za telefon i dzwoni do prezesa: – Widział pan kiedyś oszusta? – krzyczy w słuchawkę. – Niech pan stanie przed lustrem. Tak wygląda największy oszust, jakiego pan w życiu spotkał!

Wojciech Saucha: – Wielu z nas patrzyło na Zembalę jak na boga, który potrafi wszystko. A potem profesor zrzucał go w czeluść. Nieodpowiedzialny, nie rokujący, leniwy, niestaranny. Każdy z nas był raz na górce, raz w dołku. Pilnowaliśmy, żeby być na odcinku prostym, żebyśmy mogli powiedzieć: „Ostatnio się mnie nie czepia".

Dariusz Kortko, Judyta Watoła
Zembala. Szpital to ja. Historia słynnego kardiochirurga
Wydawnictwo Agora, 2025

eprasa.pl 404822a087

NA KŁOPOTY BELMONDO

Spotkaliśmy się z Danielem pewnego wieczoru we Wrocławiu i już nie chcieliśmy się rozstawać. Tak to już trwa ponad 30 lat.

Z **KRYSTYNĄ DEMSKĄ-OLBRYCHSKĄ*** ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Podobno świetnie pani czyta audiobooki.
– Podobno nieźle mi to wychodzi, ale to nie mój zawód, więc, ciesząc się z możliwości nagrania własnym głosem moich części naszej książki, nie będę kontynuowała tych doświadczeń na innych tekstach. Wystarcza mi radość, która wynika z faktu, że się udało i „Dary losu" będą przeczytane naszymi głosami. Daniel czyta swoje rozdziały, ja swoje. Mamy tam tylko kilka fragmentów naprzemiennych, które nagraliśmy razem. Jesteśmy bardzo ciekawi, jak wypadnie promocja – bo ta książka to przecież nasze dziecko.

W „Darach losu" opisujecie tylko osoby, które lubicie? Jaki był sposób weryfikacji waszych bohaterów?
– Nie było świadomego sposobu weryfikacji, ale wiem na pewno, że to nie kryterium naszej sympatii było tu decydujące. To miała być książka o ludziach, o których warto opowiadać, którzy zaskarbili sobie naszą przyjaźń, miłość, serdeczność, czułość – są warci uwagi z wielu powodów. Jak widać, jest ich sporo, ale ciągle mamy świadomość, jak wielu jeszcze powinno się w naszych opowieściach znaleźć.

W tej książce ukrywacie się za postaciami, które opisujecie. Pokazujecie sporo, ale nie wszystko.
– Nie, za nikim i za niczym się nie ukrywamy. Po prostu nie jesteśmy parą, która lubi epatować intymnością. Mnie często dziwi, że niektórzy naprawdę interesujący ludzie potrafią publicznie obnażać tak wiele ze swojego życia. Dzisiaj mamy modę na odsłanianie prywatności – w książkach, serwisach społecznościowych, w rozmowach publicznych. Ja tego nie potrafię i nie chcę. Znam wiele osób, które bardzo lubię, a które chętnie dzielą się intymnymi szczegółami swojego życia. I to mnie drażni. Jeśli znany i podziwiany aktor pokazuje na Facebooku zdjęcia mankamentów urody własnej, bardzo pięknej skądinąd żony, jej cellulit na udach po kolejnej ciąży czy owłosienie miejsc intymnych, to zastanawiam się czasem, jakie tajemnice własnej psychiki chce w ten sposób uspokoić czy wyciszyć.

Albo kiedy świetna bizneswoman i popularna influencerka mówi publicznie o bardzo osobistych przeżyciach, poronieniu czy problemach z zajściem w ciążę, czuję się, jakbym podsłuchiwała czyjeś tajemnice ukryta za firanką. Mam inne podejście do intymności – wierzę, że człowiek powinien zachować dla siebie pewną sferę ważnych i bardzo osobistych przeżyć. Nie wszystko musi być przedmiotem publicznej rozmowy, nie „wszystko na sprzedaż". Jeśli ktoś chce zwrócić uwagę ludzi, to niech to robi przez coś wartościowego, a nie przez wyznania z alkowy. Intymność jest po to, by została odkryta przed najbliższym człowiekiem. Wtedy bywa fascynująca.

My oboje czujemy tę granicę. Nasza książka jest jak mała wysepka: dzielimy się na niej wieloma historiami, bardzo osobistymi wspomnieniami, ale jednak nie zdradzamy wszystkiego. Opowiadamy czasem nawet o sytuacjach dość osobistych – na przykład żartobliwie o tym, że nie możemy się w domu pokłócić i spać oddzielnie, bo nasz piesek biega wtedy między małżeńską sypialnią a gabinetem Daniela i nie może się zdecydować, z kim spać, więc budzi co kilka minut oboje. Tak nam uniemożliwia kłótnie, rozśmieszając nas brakiem zdecydowania. Ale to raczej anegdota pokazująca, że oboje z Danielem mamy podobny stosunek do zwierząt, traktujemy je jak pełnoprawnych członków rodziny. O tym możemy i lubimy opowiadać, a wiele rzeczy zostawiamy tylko dla siebie. Jestem przekonana, że czytelnicy to rozumieją i szanują.

Intymność intymnością, ale biust pokazała pani Franciszkowi Starowieyskiemu. I to chyba trzy razy, jeśli dobrze zliczyłam.
– Pozowanie wybitnemu artyście i jeszcze w towarzystwie męża ma niewiele wspólnego z intymnością. Pierwszy raz tylko tak machnęłam biustem i dostałam za to wymarzony obraz – więc, wie pani, opłacało mi się (*śmiech*). A Franciszek Starowieyski był nie tylko wybitnym artystą. Był również kimś bardzo bliskim, przyjacielem, z którym można rozmawiać intymnie, zwierzać się, mówić o rzeczach, o któ-

Krystyna Demska-Olbrychska

• rocznik 1954, zielonogórzanka. Kulturoznawczyni i teatrolożka, wieloletnia kierowniczka organizacyjna Teatru Współczesnego we Wrocławiu, współpracowała także wiele lat z warszawskim Teatrem na Woli. Od 1992 r. menadżerka Daniela Olbrychskiego, od 2003 r. jego żona.

• Krystyna Demska-Olbrychska, Daniel Olbrychski, współpraca Katarzyna Rygiel
„Dary losu"
Wyd. Agora 2025

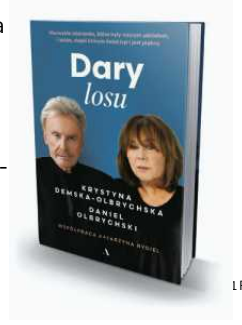

I RP

eprasa.pl 404822a087

rych nie z każdym się mówi. Ja te rozmowy z Franciszkiem w jego pracowni uwielbiałam. Bardzo żałuję, że pod koniec jego życia nasze kontakty nieco się rozluźniły i nie udało nam się spotkać na kolacji u nas, chociaż mu to obiecywałam.

W książce pojawiają się również barwne epizody z pani dzieciństwa w Zielonej Górze. Była pani rezolutną łobuziarą?
– To dość delikatnie powiedziane. Jako przewodnicząca szkolnego samorządu umiałam nieźle rozrabiać. Potrafiłam przeorganizować życie całej mojej szkoły i np. wysłać moją klasę na szkolną wycieczkę mimo zakazu dyrekcji, bo zamarzyły nam się trzydniowe wagary nad jeziorem Głębokie. Cała klasa po moim komunikacie natychmiast podchwyciła ten pomysł – każdy przygotował sobie prowiant. Przychodzimy z tym rano do szkoły i oznajmiamy wychowawcy, że nie będzie lekcji, bo jedziemy na wycieczkę! Wychowawca i dyrektor patrzą zdumieni: „Jaką wycieczkę, co wy opowiadacie? Przecież nie mamy ani autobusu, ani nie było takiego planu". A my uparcie: „Jedziemy, proszę pana, lekcji i tak nie będzie – rodzice wydali pieniądze na jedzenie, wszystko gotowe".

Dyrektor pyta: „Skąd weźmiecie autobus?". „Zaraz załatwimy!" – mówimy. Nasza szkoła stała przy ulicy sąsiadującej z Komitetem Wojewódzkim PZPR. Wpadłyśmy z koleżankami, takimi samymi rozrabiarami jak ja, we trzy do budynku KWPZPR. Portier nas wpuścił, bo jedna z koleżanek powiedziała, że do taty, a jej ojciec tam pracował jako urzędnik. Poszłyśmy nie do taty, tylko... prosto pod gabinet pierwszego sekretarza KW. Sekretarka oczywiście chciała nas przegonić, ale my – trzy smarkule – usiadłyśmy demonstracyjnie na parapecie okna: „Nie wyjdziemy stąd, póki towarzysz sekretarz się z nami nie spotka!". Anarchia w czystej postaci. Zrobiło się zamieszanie, bo zaczęłyśmy tupać i skandować, że rodzice wydali pieniądze, że co to ma znaczyć, że potrzebujemy natychmiast autobusu na wycieczkę, a przecież partia ma pomagać młodzieży. I proszę sobie wyobrazić – towarzysz Hebda, pierwszy sekretarz, wyszedł do nas osobiście! Miał poczucie humoru, bo zamiast nas wyrzucić, wysłuchał. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał, zostało mi w pamięci tylko jego nazwisko, ale pamiętam, że załatwił nam ten autobus! Zadzwonił gdzieś i po prostu zorganizował autokar dla naszej klasy. Pojechaliśmy. Trzydniowa wycieczka nad jezioro odbyła się mimo wszystko, ku rozpaczy nauczycieli – i co? I nic! Wróciliśmy zadowoleni.

Każda z moich szkolnych przyjaciółek była inna, ale wszystkie miałyśmy fantazję. Do dziś mam kontakt z kilkoma z tamtej paczki. Basia Altmejd, śliczna dziewczyna, musiała wyjechać z Polski w '68 roku, bo jej rodzice żydowskiego pochodzenia zostali wyrzuceni z kraju. Basia osiadła w Sztokholmie, jest wybitnym naukowcem. W czasach studenckich jeździłam do niej na wakacje, a ona co jakiś czas mnie odwiedza. Albo Basia Harnaszkiewicz. Kiedy jestem w Zielonej Górze (rzadko, bo nie mam tam już bliskiej rodziny, tylko groby rodziców i dziadków), to zawsze się ze mną spotyka. Te szkolne więzi okazały się bardzo trwałe.

To były pani pierwsze ważne relacje w życiu.
– Pierwsze poważne przyjaźnie. Potem doszły jeszcze Makusyny – fantastyczny szczep harcerski (naszym patronem był Kornel Makuszyński) pod wodzą genialnego pedagoga i świetnego historyka Zbigniewa Czarnycha. Stamtąd też mam do dziś sporo znajomych. Dzwonimy do siebie, piszemy, nadal mamy kontakt. Mąż jednej z moich szkolnych koleżanek, znany zielonogórski dziennikarz radiowy, zawsze stara się promować nasz pobyt w Zielonej Górze, organizuje rozmowę na antenie – wykorzystuje fakt, że przyjeżdżamy z jakimś spektaklem czy wydarzeniem. Te dawne przyjaźnie przetrwały i dalej owocują. Trzeba się wspierać. Wojtek Młynarski powtarzał mi często: „Krycha, pamiętaj, tylko koterie, ale tylko ze zdolnymi ludźmi. Na innych szkoda czasu".

A te późniejsze przyjaźnie? Wchodzi pani w nowe środowisko, pojawiają się wielkie nazwiska, inni ludzie, inna mentalność... Angelina Jolie – i nagle – ot tak – macie się zaprzyjaźnić? Jak taka więź się tworzy?
– Bywa różnie. Przez wiele lat pracowałam w teatrze i mówiło się: „Sztuki łączą, sztuki dzielą". Coś w tym jest – czasem ludzie wspólnie robią przedstawienie i zaprzyjaźniają się na całe życie, a innym razem kończy się spektakl i kontakty przestają być już tak intensywne.

Z niektórymi ludźmi kontakt jest serdeczny, choć powierzchowny. Gdybym spotkała na ulicy Angelinę Jolie, to rzucimy się sobie w ramiona: „Oh, how nice to see you!", i tyle. Przecież nie utrzymujemy regularnego kontaktu, chociaż lubiłyśmy przez wiele tygodni jadać razem śniadania na planie „Salt".

Każdy z nas ma przyjaciół i znajomych. A to różnica. Na przykład mój idol z dzieciństwa – od chwili, gdy zobaczyłam film „Cartouche" – Jean-Paul Belmondo: kiedy go poznałam, a było to wiele lat przed moim związkiem z Danielem, zachwyciłam się nim samym tak jak większością bohaterów, których grywał. Polubiliśmy się. Takie porozumienie musi działać w obie strony. Utrzymywaliśmy tę znajomość przez lata. Kiedy już byliśmy z Danielem małżeństwem, a Jean-Paul żegnał się z kinem swoim ostatnim filmem „Człowiek i jego pies", zaprosił do udziału w nim Daniela. Symboliczny dowód przyjaźni.

Daniel przyjaźnił się blisko z rosyjskim bardem Wołodią Wysockim. Po jego śmierci została nam przyjaciółka – wdowa po nim Marina Vlady. Ja poznałam Marinę już po śmierci Wołodii i szybko złapałyśmy nić porozumienia. Piszę o tym w książce, jak to pewnego razu po paru kieliszkach Marina się rozpłakała, przytuliła mnie i poprosiła: „Zostań moją siostrzyczką, bo wszystkie siostry już mi umarły. Zgoda?". Pewnie, że się zgodziłam. Do dziś, gdy jeździmy do Paryża, Marina jest jedną z pierwszych osób, które odwiedzamy.

Barysznikowa najpierw pani zobaczyła, a po latach dopiero się poznaliście.
– To było w 1989 roku, kiedy mieszkałam w Brukseli. Miałam tam teatralne stypendium. W operze La Monnaie występował wtedy Michaił Barysznikow z zespołem Marka Morrisa. Mój znajomy Staszek Bromilski – Polak, który był dyrektorem administracyjnym tej opery – zaprosił mnie na spektakl. Siedziałam na widowni i patrzyłam jak zahipnotyzowana. Barysznikow był po prostu genialny. W przerwie westchnęłam: „Boże, jak ja bym marzyła go zobaczyć z bliska". Poszliśmy do bufetu, gdzie w antrakcie spektaklu Barysznikow pił herbatę. Oczywiście nie miałam odwagi podejść i się przywitać – nie znaliśmy się przecież.

Kilka lat później los sprawił, że się spotkaliśmy – najpierw w Nowym Jorku, potem u nas w domu w Podkowie Leśnej. Kiedyś opowiedziałam mu tę historię. On się roześmiał i powiedział: „Krysia, jak ja się wtedy w tej Brukseli nudziłem! Trzeba było mnie zabrać na wino!". No cóż – tak bywa. Czasem życie samo wie, kiedy co ma się wydarzyć. Z Miszą mamy stały, serdeczny kontakt, chociaż oczywiście nie piszemy do siebie co tydzień. Ale kilka razy w roku wymieniamy telefony, e-maile. Gdy wydarzy się coś ważnego w życiu któregoś z nas, to dajemy znać. I czasem się odwiedzamy. Parę lat temu Misza zadzwonił oznajmić, że kupił dom na Dominikanie i zaprasza nas, jeśli chcemy odpocząć w ciepłym klimacie. Innym razem przyleciał do Warszawy na jeden wieczór, żeby zjeść z nami i kilkoma innymi przyjaciółmi kolację w gruzińskiej restauracji. A jeszcze innego razu my oboje polecieliśmy obejrzeć jego spektakl w Rydze.

Bo o przyjaźnie trzeba dbać. Pytano mnie kiedyś, czy mam świadomość, że mieliśmy wielkie szczęście spotkać tyle niezwykłych osób na swojej drodze. Tak! To ogromne szczęście mieć wokół siebie tylu niezwykłych, wspaniałych ludzi. To prawdziwe dary losu. Zewsząd. Od bliskich z naszego kraju i ze świata. Te przyjaźnie, zażyłości, kontakty są prawdziwym skarbem.

A pani musiała lubić wszystkich, których lubił Daniel?
– Przyjaźni nie dziedziczy się w pakiecie, choć bywa i tak. Daniel ma swoich przyjaciół, ja swoich. Czasem się to spotyka, czasem nie, czasem się przenosi, a czasem przeciwnie. Nie ma reguły. Więc jak pani widzi, żadne z nas niczego nie musiało.

Pierwszy raz tylko tak machnęłam biustem i dostałam za to [od Starowiejskiego] wymarzony obraz – więc, wie pani, opłacało mi się

Bycie osobą publiczną ma swoją cenę. Jak reagujecie, gdy podchodzą obcy ludzie – wielbiciele – w prywatnych sytuacjach? Czy zaczepianie przez fanów bywa uciążliwe?
– No cóż, przez telewizje śniadaniowe, przez Facebooka, gdzie mam 5 tysięcy znajomych, stałam się osobą rozpoznawalną. To zobowiązuje. Nie zawsze mogę w publicznym miejscu powiedzieć to, co naprawdę myślę, kiedy na przykład ktoś zachowuje się bezczelnie, niegrzecznie. Bo zaraz ktoś powie: „A, widziałam ją! Olbrychska dała popis! Ale to chamica!". Kiedyś mogłam sobie pozwolić na spontaniczność, dziś muszę bardziej ważyć słowa. Rozpoznawalność daje pewne przywileje, ale odbiera jedną rzecz – swobodę bycia sobą, tę zupełnie prywatną, niczym nieskrępowaną. Bardzo często to miłe, gdy ludzie chcą podejść, porozmawiać. Staramy się spełniać prośby – o autograf czy o zdjęcie. Ale czasem bywa, że to może drażnić, zwłaszcza gdy ktoś trafi w niefortunny moment, na przykład w restauracji między jednym a drugim kęsem.

Z drugiej jednak strony rozpoznawalność pozwala głośno mówić o sprawach ważnych dla większej części społeczeństwa. Publicznie wypowiadamy się na wiele tematów, które są ważne nie tylko dla nas, ale też zaprzątają uwagę większości mieszkańców mojego kraju. Oceniamy politykę, wszyscy w Polsce wiedzą, że jesteśmy absolutnymi fanami obecnego rządu, naszego premiera uważamy za jednego z najważniejszych polityków nie tylko Europy, że z drugiej strony potrafimy i chcemy wskazywać zagrożenia, na jakie naraża nas wspieranie działań budzącej naszą prawdziwą złość obecnej opozycji. I fakt, że nasze poglądy na polską rzeczywistość są powszechnie znane, to też powód do zadowolenia z własnej rozpoznawalności. Bo przecież na tę rzeczywistość chcielibyśmy mieć wpływ, mając przekonanie, że w jej ocenie istnieją tylko dwie racje: nasza i niesłuszna. Czasem trzeba mieć taką pewność, żeby móc szanować samego siebie.

Niektórzy powiedzieliby, że powinniście być wdzięczni publiczności i nigdy nie okazywać zniecierpliwienia, bo sława zobowiązuje.
– Ależ jesteśmy wdzięczni. Ta, jak ją pani nazywa: „sława", cokolwiek by to miało znaczyć, to przecież dowód sukcesu, zwłaszcza w zawodzie Daniela. Ale czasem zdarza się w miejscu publicznym gorszy nastrój, jakiś kłopot, zły humor. Wtedy bywa trudno. I to częściej ja bywam zniecierpliwiona, a Daniel ma na takie sytuacje hasło klucz: „Belmondo". Bo to słowo znaczy dla nas bardzo dużo. Kiedy Belmondo kręcił swój ostatni film „Człowiek i jego pies", był już po wylewie, częściowo sparaliżowany. Na planie na paryskiej ulicy podeszła do niego grupka dzieci z sierocińca – chciały zrobić sobie z nim zdjęcie. Zrobiły. Ale potem każde chciało mieć oddzielne zdjęcie. Ochroniarz Jeana-Paula chciał dzieci odprawić, ale gwiazdor powiedział tylko: „Daj spokój. To też jest moja publiczność". I każde dziecko dostało swoje zdjęcie. Do dziś mam w oczach jego zmęczoną twarz, kiedy z uśmiechem pozował kilkanaście razy.

Dlatego, kiedy dziś Daniel powtarza: „Belmondo!", wiem, że to przypomnienie, by mieć w sobie cierpliwość, uśmiech i szacunek dla każdego, kto podchodzi. Tych ludzi po prostu nie wolno traktować nieuprzejmie, nawet mimo zmęczenia. Wiem, że czasem drobny gest zniecierpliwienia może sprawić komuś przykrość. Sama jako nastolatka zbierałam autografy, więc ganiałam za ówczesnymi idolami: Czesławem Niemenem, Piotrem Janczerskim, Krzysztofem Krawczykiem. Po latach ten ostatni stał się bliskim przyjacielem. Były wspólne biesiady i u nich, i u nas.

A kto panią nauczył gotować? W książce opowiada pani o tym, że ugotuje pani każdemu gościowi to, na co ma ochotę.
– To prawda. Zapraszam przyjaciół na taki prywatny, kulinarny koncert życzeń. Gotuję to, na co moi goście mają ochotę. Czasem przyjaciele dzwonią i sobie coś zamawiają. A czasem z naszą Laryską, która pomaga mi w domu od ponad 20 lat, robimy w prezencie pierogi albo bożonarodzeniowe uszka z drohiczyńskich prawdziwków. Moja mama, niestety, nie umiała gotować. Umiała tylko robić zupę ogórkową i nic poza tym. Za to moją kulinarną mistrzynią była babcia. Babcia Ania – rodowita Ukrainka z biednej, wielodzietnej chłopskiej rodziny spod Lwowa. Dziadek Szymon, inżynier kolejnictwa, pochodził z zamożnej, inteligenckiej rodziny i – proszę sobie wyobrazić – właściwie kupił sobie żonę.

W jaki sposób kupił?
– Został zaproszony przez kolegę ze studiów na święta Bożego Narodzenia do majątku pod Lwowem. W świąteczny poranek, kiedy z kolegą maszerowali do kościoła na mszę, zobaczył śliczną dziewczynę biegnącą boso po śniegu z butami w ręku. Oszalał. Zakochał się i jakoś tak uparcie się o nią starał, że rodzina ją za niego „wydała". Nie za darmo oczywiście. To był straszny mezalians w rodzinie dziadka, ale w końcu żyli długo i szczęśliwie przez kilkadziesiąt lat, a w domu rządziła babcia, i to twardą ręką. Dziadek jej zawsze ulegał, bo kochał ją bardzo. W pierwszych tygodniach małżeństwa babcia pisała w listach do sióstr (miała skończone cztery klasy tak zwanej szkoły powszechnej): „Wchodzę do domu, a tam jest coś takiego do przekręcania w ścianie... Przeżegnałam się, przekręciłam – a tu jasno! Cały pokój w świetle, żadnej lampy naftowej!". Z domu krytego strzechą w podlwowskiej wsi trafiła do kamienicy z prądem.

Babcia szybko się jednak nauczyła miejskiego życia, a jednocześnie zachowała swoje chłopskie talenty. Gotowała wspaniale, in-

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 404822a087

tuicyjnie – nie znała przepisów z książek, ale miała genialne wyczucie smaku. Wymyślała różne potrawy z niczego, bo na wsi kuchnia była biedna: podstawą były ziemniaki, kapusta, warzywa. Ja do dziś pamiętam smaki z dzieciństwa, których już się prawie nie spotyka.

Na przykład najpyszniejsze danie na świecie: gołąbki z tartych ziemniaków zawijane w liście kiszonych główek kapusty, polane sosem z borowików. Coś niebywałego! Ja to umiem zrobić – tylko skąd dziś wziąć kiszone w całości główki kapusty? Więc robię w zwykłych sparzonych liściach kapusty i też wychodzi pysznie, ale to nie to samo. Bo moja babcia kisiła całe główki – kazała dziadkowi deptać kapustę w beczce. I to w białych, lnianych skarpetkach! Najpierw kapustę szatkowała w beczce, przekładała przyprawami, a potem całe głowy kapusty wkładała i to wszystko ubijała. Dziadek musiał długo moczyć nogi, babcia mu je szorowała, wycierała, nacierała spirytusem, on żartował: „Aniu, może by tak wypić ten spirytus, zamiast marnować?", a babcia: „Nie wolno, Szymonie!". No i potem dziadek zakładał lniane skarpetki, wchodził do beczki i pół dnia tę kapustę deptał. Ach, kiszona kapusta z beczki, to był smak! Poezja!

Robiła też wyborny barszcz ukraiński, taki zabielany śmietaną. I zawsze dodawała do śmietany łyżkę mąki. Pytam: „Babciu, po co mąka?". A babcia: „Wiesz, dziś to nie trzeba, ale ja tak lubię, bo kiedyś zupa musiała być gęściejsza – wszyscy byli biedni, to barszcz miał bardziej nasycić". Ludzie byli praktyczni, każda rzecz miała cel. Babcia wychowywała mnie przez pierwsze lata życia, bo nie chciałam chodzić do przedszkola, a rodzice pracowali. Więc chłonęłam od niej wszystko. To babcia Ania wpoiła mi to, że kobieta powinna rządzić w domu, mieć decydujący głos. Po prostu – kobieta Wschodu. Mąż ma być zadbany i… podporządkowany. Kobieta wie lepiej, facet nie decyduje.

Cały pan Daniel!

– Ależ skąd. Z Danielem nie jest aż tak łatwo. Też był wychowywany w rodzinie, w której decydujący głos miały kobiety, ale umie się skutecznie przed tym bronić. Pamiętam, jak związałam się z Danielem, to po tym babcinym wychowaniu miałam taki wewnętrzny niepokój, bo przecież Daniel był po rozwodzie cywilnym, więc my nie mogliśmy wziąć ślubu kościelnego (jego pierwszy ślub kościelny był wciąż w mocy). Żyliśmy więc dla Kościoła i do dziś żyjemy na kocią łapę. Mówiłam wtedy do księdza Konrada Herrmanna, mojego przyjaciela i wspaniałego kapłana, pięknego człowieka o otwartym umyśle i głębokiej wierze: „Konrad, czuję, że żyję w grzechu. Przecież nie mogę dostać rozgrzeszenia bo żyjemy Z Danielem bez ślubu kościelnego. Nie mogę iść do spowiedzi – bo co mam powiedzieć? Żałować za grzechy? Przecież nie żałuję, kocham mojego męża, więc nie obiecam poprawy. No i nie dostanę rozgrzeszenia – sama się na to świadomie skazuję".

Mój cudowny przyjaciel popatrzył na mnie i pyta: „Nie żałujesz, że z nim jesteś, to oczywiste. Ale czy żałujesz… że nie możesz żałować?". Ja na to: „Hmm, w sumie to żałuję, że nie mogę żałować. Bo chętnie bym poszła do spowiedzi – tylko musiałabym skłamać, że żałuję, a nie można, nie da się kłamać przed Bogiem". A on się tylko szelmowsko uśmiechnął: „No to już masz rozgrzeszenie". Prawda, że sprytne? Pokrętna, ale jakże skuteczna logika mądrego księdza. On mi po prostu pokazał inną perspektywę: że ważna jest intencja, szczerość, a nie deklaracje. W jego oczach już sam fakt mojej głębokiej refleksji oznaczał, że mogę uzyskać rozgrzeszenie.

Konrad był nieprawdopodobnym kapłanem. Na jego logikę nie było sposobu. Gdyby takich księży było więcej, dzisiaj Kościół byłby najważniejszym duchowym przywódcą nas wszystkich, a Polacy byliby dla siebie nieporównywalnie bardziej życzliwi, przyjaźni, serdeczni. Polska wyglądałaby zupełnie

FOT. GRAŻYNA GUDEJKO

Po prostu, nie jesteśmy parą, która lubi epatować intymnością.

Mnie często dziwi, że niektórzy naprawdę interesujący ludzie potrafią publicznie obnażać tak wiele ze swojego życia

inaczej… A my bylibyśmy już pewnie po ślubie kościelnym.

Słyszałam, że odkryła pani rodzinne koligacje z hollywoodzką legendą – Kirkiem Douglasem. Dorastała pani, wiedząc o tym?

– Czasem wspominał o tym mój tata. Mówił, że jesteśmy rodziną, że jego i Kirka dziadkowie pochodzą z tych samych stron. Nie przywiązywałam do tego wagi, myślałam, że zbieżność i trudna pisownia naszego nazwiska obudziła w moim ojcu ułańską fantazję i tata trochę konfabuluje. Kirk Douglas urodził się jako Issur Danielovitsch Demsky właśnie, z taką jak nasza pisownią. Tato dodawał: „To mój bliski kuzyn". Ale to brzmiało abstrakcyjnie: amerykański gwiazdor i my w Polsce – trudno to było zweryfikować, więc machnęłam ręką.

Dopiero wiele lat później trafiła mi w ręce autobiografia Kirka Douglasa „Syn śmieciarza". Czytam – a tam historia żydowskiej rodziny Demskich ze wschodniej Europy, która wędrowała za chlebem. Zaczęłam łączyć kropki. Ostatecznie połączył je wujek Kirk w naszej jedynej telefonicznej rozmowie. W któryś noworoczny wieczór Daniel zadzwonił do Kirka z życzeniami. Miał taki zwyczaj w każdy Nowy Rok. I to Daniel zadał pytanie, czy to możliwe, że jego nowa partnerka to rodzina amerykańskiego przyjaciela. Kirk natychmiast poprosił mnie do telefonu i zaczęły się rodzinne ustalenia. Szybko się okazało, że to bliskie pokrewieństwo, bo dziadek Kirka i dziadek mojego taty to najprawdopodobniej rodzeni bracia. Oboje byliśmy wzruszeni. Kirk zapraszał nas oboje do Los Angeles, my obiecywaliśmy przyjechać i… jakoś się nie złożyło. Szkoda.

W książce piszecie też o waszych znajomościach w Rosji. Daniel przyjaźnił się z Nikitą Michałkowem, Andriejem Konczałowskim. Wybuchła jednak wojna w Ukrainie. Wiem, że Daniel napisał po 24 lutego 2022 list do Michałkowa i Konczałowskiego. Jak dziś wyglądają wasze relacje z dawnymi rosyjskimi przyjaciółmi?

– Dziś nie mamy z nimi żadnego kontaktu. To smutne, że wspaniali artyści i, wydawałoby się, wrażliwi ludzie, którzy powinni zabrać głos w publicznym potępieniu zbrodniczej działalności bandyty Putina, milczą. A Nikita jest absolutnym, bałwochwalczym wyznawcą rosyjskiego prezydenta i ma własny program w rosyjskiej telewizji, gdzie opowiada takie bzdury, że włos się jeży na głowie. A musi doskonale wiedzieć, że bredzi, i jednak to robi, czyli… albo to jego cynizm, albo strach. Takich zachowań nie można ani zrozumieć, ani wybaczyć.

Jeśli chodzi o Andrieja Konczałowskiego – jego sytuacja jest trudniejsza, bardziej skomplikowana. Pracowaliśmy razem w 2006 roku w warszawskim Teatrze na Woli, gdzie Andron reżyserował „Króla Leara" z Danielem w tytułowej roli. Spędził tu dużo czasu, zresztą od kilkudziesięciu lat był w bardzo zażyłych kontaktach z moim mężem. Kilka lat po naszej współpracy zdarzyło się, że los doświadczył go w straszny sposób. Miał wypadek samochodowy i jego mała córka Masza (owoc związku z piękną Julią Wysocką) nie miała zapiętych pasów. Wyleciała przez przednią szybę przy zderzeniu z ciężarówką i od tamtej pory jest w śpiączce. To już będzie z 10 lat, może więcej. Konczałowski i jego żona poświęcili się opiece nad córeczką – stosują wszelkie możliwe terapie, ale jak na razie bez rezultatu. No i, mimo że mają posiadłość we Włoszech, francuski paszport i podwójne obywatelstwo i mogliby wyjechać z Rosji, nie wyjeżdżają, bo przecież nie zostawi się dziecka w śpiączce. A żyjąc w Rosji, co można powiedzieć o panującym prezydencie?

Daniel wysłał otwarty list, ten sam do obu braci. Ale odpowiedzi nie było. Nie mogło być. Po liście Andron zadzwonił do mnie, mówił o przyjaźni, miłości, wspomnieniach. O polityce ani słowa. Miał potrzebę kontaktu, musiał zadzwonić i dać znak, że pamięta, że tęskni, ale nic więcej powiedzieć nie może. Trzeba to uszanować, chociaż wolałabym poszarpać się z nim na argumenty, ale przypuszczam, że akurat z nim szarpania za dużo by nie było.

Pod koniec „Darów losu" wspominacie wielu przyjaciół, którzy już odeszli. Cała wasza książka jest w pewnym sensie kroniką pewnego pokolenia artystów. Czy ma pani taką świadomość przemijania, że dla młodego pokolenia – dzisiejszych dwudziesto-, trzydziestolatków – wasza generacja i wasi idole przestają mieć powoli znaczenie?

– Trudno nie mieć tej świadomości. To reguła, która przynależy każdemu pokoleniu. Czas płynie, każda epoka ma swoich bohaterów. Życie weryfikuje, co zostaje w pamięci, a co odchodzi. To smutne, kiedy sobie uświadamiamy, jak mało młodzi ludzie wiedzą o – wydawałoby się – fundamentalnych postaciach naszej kultury, o ludziach, którzy odeszli przed chwilą.

Niedawno byłam na kolacji u przyjaciół, a tam w towarzystwie narzeczona ich syna – śliczna, inteligentna dziewczyna, studentka trzeciego roku Wydziału Wiedzy o Teatrze na Akademii Teatralnej. Rozmowa zeszła na okres prosperity w Teatrze Narodowym za czasów dyrekcji Adama Hanuszkiewicza. I nagle się okazuje, że ta studentka nie wie, kto to był Hanuszkiewicz. Zrobiło to na mnie przygnębiające wrażenie.

Drugi przykład: kilka lat temu Andrzej Wajda zrealizował swój ostatni film, „Powidoki". Grała tam grupa młodych aktorów, absolwentów Akademii Teatralnej. Zaprosili jednego z nich do programu „Dzień dobry TVN". Dziennikarz pyta: „Czy cieszy się pan z pracy z mistrzem?". On w euforii, że tak. I drugie pytanie: „Jaki był pierwszy film Andrzeja Wajdy, który pan w życiu widział?". A ten młodzian na to: „Yyy… »W pustyni i w puszczy«". No cóż? Trudno to zaakceptować. A jeszcze trudniej przeboleć kilka pomysłów minister Barbary Nowackiej, chociażby na ograniczanie listy lektur. Tej dzisiejszej, strasznie okrojonej, nie można porównać z tą, która obowiązywała za moich czasów. Czy takie zmniejszanie wymagań ma spowodować bardzo poważne obniżenie poziomu intelektualnego młodych ludzi? Bo przecież gapienie się w smartfony nie zastąpi znajomości literackiej bazy intelektualnej koniecznej każdemu średnio wykształconemu człowiekowi.

Na koniec nie mogę nie zapytać o waszą miłość. Kiedy zaczęliście się spotykać, nie miała pani obaw? Daniel Olbrychski – legenda kina, amant, za którym szalały kobiety w całej Polsce. Nie myślała pani: „Boże, konkurencja jest wielka, nic z tego nie będzie, złamie mi serce"?

– Jakoś nie przyszło mi to do głowy. Takich wątpliwości nie miałam. Spotkaliśmy się pewnego wieczoru we Wrocławiu i już nie chcieliśmy się rozstawać. Tak to już trwa ponad 30 lat. Ale to intymny temat i omawianie go w gazecie to złamanie naszych zasad. Trzeba mieć jakieś tajemnice. Nie wszystko na sprzedaż. A ja lubię czuć, że ktoś może nam czegoś zazdrościć. Bo jest czego. ●

1 RP

eprasa.pl 404822a087

Kraj/34400488

eprasa.pl 404822a087

MY, SŁOWIANIE. CZYLI KTO?

Dlaczego kultura materialna tąpnęła w dół w VI w., właśnie wtedy, gdy pół Europy zaczęło odnotowywać pojawienie się Słowian.

Ziemowit Szczerek

• **„Życie Słowian Wschodnich" (1907-09), olej na płótnie. Jeden z najbardziej znanych obrazów rosyjskiego malarza Siergieja Iwanowa (1864-1910). W zbiorach Muzeum Ermitaż w Sankt Petersburgu**

Oczy moje – morze Adriatyckie, włosy moje – kłosy slawońskie. Serce moje – dusza słowiańska. Jestem Jugosłowianka" – śpiewała Lepa Brena, najbardziej popularna piosenkarka dawnej Jugosławii. Czyli południowej Słowiańszczyzny.

Jeździłem po tej całej byłej Jugosławii i zastanawiałem się nad jej słowiańskością. W Serbii ją widać. „Nas i Rusa 200 milijona" – mówią Serbowie, odwołując się do wspólnej, a więc słowiańskiej (a do tego prawosławnej) tożsamości Rosjan i Serbów, a nacjonaliści serbscy lubią czasem rozwodzić się nad tym, jak też wiele jest wśród Serbów osób o blond włosach (ergo – „prawdziwych Słowian"). Nawet jeśli w kafanie, w której wygłaszają te mądrości, siedzą sami bruneci o południowej urodzie, włącznie z wygłaszającym, jak to mi się zdarzyło ostatnio we Vranju.

Jugosłowiańska popkultura zresztą stworzyła postać „słowiańskiego Asteriksa", czyli Dikana. Dikan, narysowany przez urodzonego w Czarnogórze Serba Lazo Sredanovicia, jest postawnym i typowym „południowym Słowianinem" o, a jakże, blond czuprynie, który w VI w. n.e., gdy Słowianie faktycznie przybyli na Bałkany, przeżywa swoje przygody na terenie przyszłej Jugosławii.

Cała prawda. Dikan czy Doman?

O rany, jakże inna jest ta Dikanowa Słowiańszczyzna od Słowiańszczyzny naszej, pszenno-polnej, słomiano-sosnowej, lniano-glinianej. Bo owszem, Słowianin Dikan też wywodzi się z tej samej środkowo- czy wschodnioeuropejskiej rzeczywistości co my, ale chwilę później dociera już do Adriatyku, gdzie spotyka Bizantyńczyków (przedstawianych często po prostu jako Rzymian podobnych do tych w Asteriksie, w loricach, z gladiusami i w caligae na nogach), widzi, chłonie i zajmuje dla siebie całe to porno piękna Dalmacji, odwieczne, zdawałoby się, kamienne miasta pomiędzy skałami a lazurową wodą, pirsy wychodzące w morze, esencję europejskiego antyku.

Dikan ściga się z delfinami w Adriatyku, walczy z ośmiornicami, pije wino z amfory i w ogóle bezceremonialnie ładuje się prosto do tego całego śródziemnomorskiego „ogrodu", o którym jako „barbarzyńca" śnił Zbigniew Herbert. I to 400 lat przed tym, zanim u nas, w Wielkopolsce, na mglistych równinach, w dąbrowach ulęgnie się nasze państwo, które o tych śródziemnomorskich cudach będzie marzyło i roiło przez tysiąc kolejnych lat pod jesienną siąpawicą, białą zimową lutością i w wiosennych roztopach.

My, Polacy, nie mieliśmy „Dikana", mieliśmy komiks o Domanie, również blondynie i również umięśnionym, nasz Doman jednak nie ujeżdżał delfinów ani nie opalał się na dalmatyńskim wybrzeżu, tylko chlupał za niedźwiedziem albo germańskim najeźdźcą po piastowskich borach. Cóż, „nie dla nas winnic modry stok i winnic wdzięk, i winnic sok", jak pisał Jarosław Iwaszkiewicz. Słowiańszczyzna Domana czy nawet Kajki i Kokosza to jednak co innego niż Słowiańszczyzna Dikana.

Chorwaci zamieszkujący wspomnianą Dalmację i dzielący historię z jej dawną romańską ludnością już nie do końca czują związek ze słowiańskością. Owszem, w czasach, gdy rządzili nimi Węgrzy w ramach habsburskiej monarchii, słowiańskie sympatie w Chorwacji wybuchły i pomogły we wprowadzeniu w życie idei jugoslawizmu. Ale później bywało z nimi różnie. Chorwaci postrzegali sprawę tak, że oto Serbowie zaczęli się w tej niby-wspólnej Jugosławii panoszyć, bo uważali się za „bardziej słowiańskich" od nich – bo prawosławni, posługujący się pismem specjalnie zaprojektowanym dla słowiańskich języków, a nie alfabetem łacińskim, rzekomo mniej odpowiednim do zapisu słowiańskiej mowy.

1 RP

eprasa.pl 404822a087

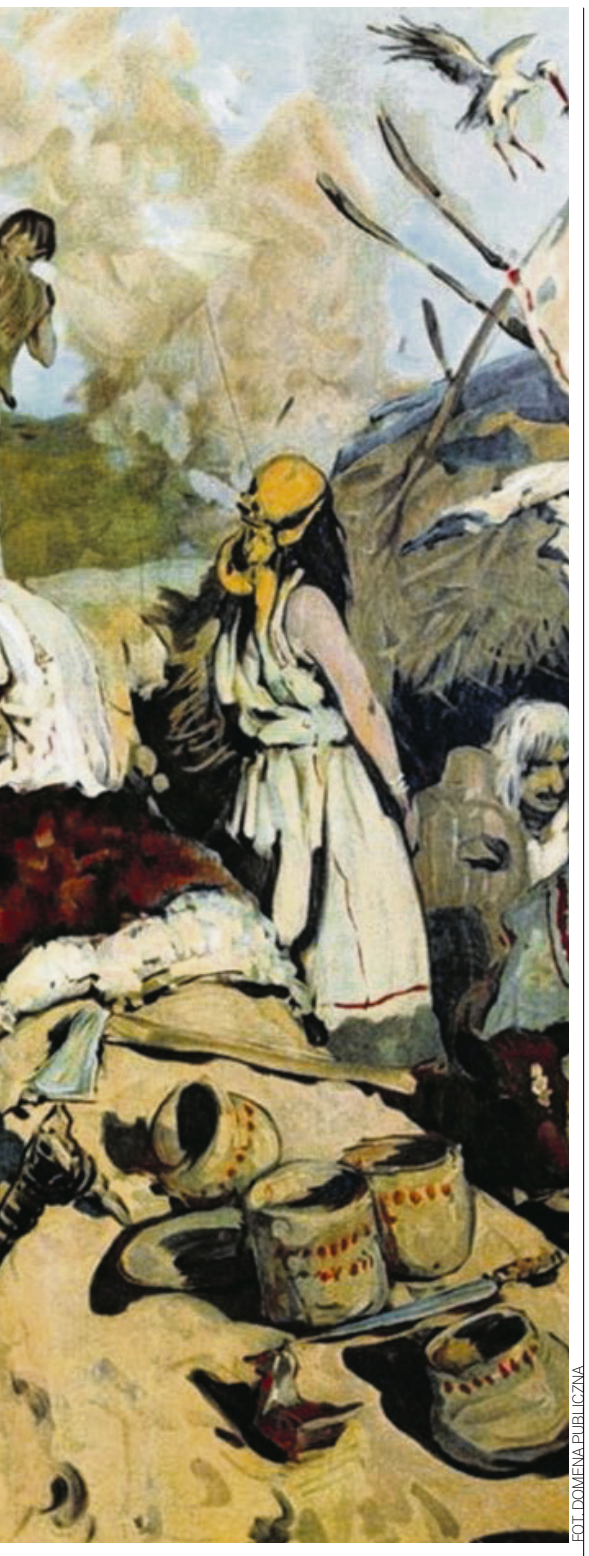

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W czasach ustaszowskiej prohitlerowskiej dyktatury, kiedy słowiańskość przestała być „modna" (również ze względów na rasowe uprzedzenia), twierdzono więc, że Chorwaci to zeslawizowani Goci. A później, w latach 90. i czasach tudjmanowskiego nacjonalizmu, popularna była, nawet w chorwackich kręgach naukowych, teoria o irańskim pochodzeniu Chorwatów. Cóż, Słowiańszczyzna niekoniecznie i nie wszędzie bywa atrakcyjna.

Świeżak Słowianin

„- Bo co niby za wartość przedstawia sobą taka słowiańskość?" – może zapytać ktoś, kto aspiruje do spadku po cywilizacji antycznej, której Słowianie historycznie ledwo dotknęli. Taki Chorwat z Dalmacji czy Istrii, którego krajobraz za oknem jest tak mało „typowo słowiański", jak tylko może być: zamiast kłosów i łanów widzi skały zanurzone w morzu, które w złotej godzinie nabierają nieziemskiego piękna, a w centrum miasta ma starorzymski łuk triumfalny. Łuk ten, co prawda, opisuje rzeczony Chorwat słowiańskim słowem „slavoluk", a łączenie jakiejkolwiek grupy językowo-kulturowej z jakimkolwiek konkretnym krajobrazem jest głupotą (bo co w takim razie Germanie robią na Florydzie czy w Afryce Południowej), ale słowiańskość nie ma i nigdy nie miała na Zachodzie renomy. Niemiecki kronikarz Thietmar już w X w. nazywał Piastów i ich drużynę „psami słowiańskimi", Anglosasi orientowali się lepiej, co się dzieje w Ameryce czy Indiach niż w słowiańskiej części Europy, zresztą nie wiadomo, czy słowo „niewolnik", czyli angielski „slave" (od łacińskiego „sclavus"), nie pochodzi od Słowian właśnie. To swoimi ludźmi słowiańscy władcy handlowali bowiem z bogatymi Zachodem i Orientem w czasach, gdy nie mieli im niczego innego do zaoferowania.

Tak, trochę kiepsko. Słowiańszczyzna nadal przez wielu jest postrzegana jako mało wykwintne pochodzenie. Jej kultura jest prostsza niż te dawne z tego właśnie powodu, że specjalnie dawna nie jest. Pojawiła się w historii Europy późno. A to jest ważne szczególnie na takich Bałkanach, gdzie co jeden lud, to bardziej starożytny i głoszący swoją odwieczną na spornej bałkańskiej ziemi obecność: Albańczycy, Grecy czy wreszcie ci, którzy roją fantasmagoryczne powidoki Daków, Illirów i Macedończyków. A co się Serbowie i słowiańscy Macedończycy (od niedawna – północni Macedończycy) od Greków i Albańczyków nasłuchają, że są „przybłędami" i „barbarzyńcami", którzy najechali ich starożytne ziemie? I żeby „wracali do siebie do Rosji", gdzie – jak głosi powszechna (niezbyt prawdziwa) opinia – miałaby leżeć słowiańska praojczyzna.

No więc tak. Jeśli akceptuje się swoją słowiańską tożsamość, to trzeba albo pogodzić się ze statusem „świeżaka", albo się z nim nie godzić i zwariować jak pewien mój znajomy „wędrowny filozof" z Ochrydu, który twierdzi do tej pory, że Adriatyk, w językach południowosłowiańskich Jadran, to jądro (jadro) Słowiańszczyzny, że rdzeniem starożytnego świata Sławian (od „sławy", nie od „słowa") była sławiańska Macedonia, a wszystkie starożytne krainy to właściwie też Słowiańszczyzna. Sorry, Sławiańszczyzna.

Wystarczy przed „L" dodać „S" i zamienić „B" na „W", jak to się często w językach dzieje i już zamiast słowa „LIBAN" mamy „SLIWAN", a zamiast słowa „LIBIA" mamy „SLIWIA", a biorąc pod uwagę, że w dawnych alfabetach nie zapisuje się samogłosek, to tak naprawdę mamy „SLAWAN" i „SLAWIĘ".

Albo jak serbski pseudohistoryk i skrajnie prawicowy polityk Jovan Ilić Deretić, dla którego teoria, że Serbowie i inni Słowianie przybyli na Bałkany tak późno, była efektem watykańsko-niemieckiego spisku. Bo Słowianie są na Bałkanach ludem tubylczym, odwiecznym, i nie tylko Aleksander Wielki był Serbem i nazywał się Aleksandar Karanović, ale i sam też Herakles, który zresztą nazywał się Serbo Makaridov.

Kto tu „kradnie" i „udaje"?

Jest taki serial z 2023 roku „Južni vetar: Na granici", gdzie przedstawiono pi razy oko serbską wizję wspólnego, słowiańskiego pochodzenia Serbów i Chorwatów. Jeden z serbskich bohaterów serialu tłumaczy Chorwatowi tak: „Wy, Chorwaci, zawsze kradniecie. Chcecie być niby jak Włosi, niby jak Niemcy, niby jak Amerykanie. A jesteście tym co my, zwykłymi Słowianami. Bo najpierw był jeden, najstarszy, serbski naród, to nie nasza wina, że jesteśmy najstarsi. Mieszkaliśmy w Rosji, jedliśmy tam bizony, jelenie, pingwiny, nie wiem, kurwa, ryby, a jak już to wszystko zjedliśmy, to się przenieśliśmy na południe. I mój pradziad tam był. Ale on nie był tam sam. Był razem z nim też twój pradziad".

No tak, Serbowie śmieją się z Chorwatów, że ich „naturalna słowiańskość" przeszła włoską czy niemiecką formą. Choć Chorwaci mogliby się śmiać z Serbów, na przykład oglądając w muzeach ich stroje narodowe czy wystrój domów, że Serbowie przeszli z kolei formą turecką. Co zresztą widać na pierwszy rzut zarówno oka, jak i ucha, wystarczy posłuchać serbskich pieśni, również tych, w których wygrażają muzułmanom, a które prawie zawsze mają specyficzny, bliskowschodni, „muezzinowski" zaśpiew. I kto tu „kradnie" i „udaje"? Czym jest „prawdziwa słowiańskość", a czym nie jest?

O ile więc Serbowie twierdzą, że są przede wszystkim Słowianami, o tyle dla Chorwatów sprawa nie jest już taka istotna. Twierdzą, że słowiański mają język, okej, ale ich tożsamość jest o wiele bardziej skomplikowana. Jeszcze dalej idzie wielu Boszniaków, czyli bośniackich i sandżackich muzułmanów. Oni długo historycznie czuli się związani przede wszystkim z ottomańską Turcją, a dziś twierdzą, że bardziej niż Słowianami są „zeslawizowanymi Illirami", czyli przedsłowiańskimi mieszkańcami Bałkanów (do illiryjskiej spuścizny poczuwają się przede wszystkim Albańczycy).

Jedni i drudzy mają sporo racji.

Słowianie wyszli w pustkę?

Opublikowane w prestiżowym naukowym tygodniku „Nature" wyniki badań niemiecko-polsko-czeskiej ekipy pod wodzą Joschy Gretzingera z Instytutu Maxa Plancka są interpretowane w ten sposób, że Słowianie po wyjściu ze swojej praojczyzny położonej gdzieś na obecnym Polesiu, pomiędzy Ukrainą a Białorusią, przemieścili się na zachód i południe.

Na południu zmieszali się z obecną tam już od dawna ludnością: illyryjską, zromanizowaną albo i nie, dacką i tracką. Na zachodzie natomiast spotkali się, jak to interpretuje zespół Gretzingera, prawie z „pustką osadniczą", bo większość poprzednio zamieszkujących te tereny ludów germańskich i celtyckich się stamtąd wyniosła: czy to w poszukiwaniu łatwiejszych do życia terenów (przyszła Polska była zarośnięta lasami, błotnista, bagnista i ledwie przejezdna), czy też w szerszych ramach wielkich migracji tamtego okresu. Zasadniczo – im bardziej na północ, tym większą pustkę osadniczą napotykali Słowianie.

We wszystkich jednak miejscach, w których się pojawili, kultura materialna dokonywała mocnego skoku w dół. Doszło do regresu cywilizacyjnego. Garnki, które zaczęły się pojawiać na terenie zajętym przez Słowian, były o wiele prostsze, bardziej niezgrabne, przesiąkające, lepione ręcznie, bez koła, bez żadnych ozdób, niż te, które zostawili poprzednicy. Były też za to takie, które w razie czego łatwo załatać albo ulepić ponownie, jeśli się potłuką bądź zgubią. Ludzie przenieśli się w zasadzie pod ziemię, jak jakieś koboldy: wykopali sobie ziemianki, w których łatwiej było utrzymać odpowiednią temperaturę, zdecydowanie przedkładając kwestie praktyczne nad estetyczne.

Poleszucy i słowiańskie voodoo

Pojechałem zobaczyć to słynne Polesie. Praojczyznę Słowian, skąd wyszli. Bo tak wychodzi nie tylko ze wspomnianego artykuły w „Nature", tylko już od jakiegoś czasu z analiz onomastycznych i genetycznych. Polesie. „Afryka Europy". Tak nazywano to miejsce przed wojną, ale Polesie było zawsze odcięte od reszty świata. Bagniste, podmokłe, zalesione. Zacofane i – z punktu widzenia świata zewnętrznego – prymitywne. Świat postrzegał Poleszuków prawie tak, jak dziś widzi się „nieskontaktowane plemiona" na Andamanach, w Papui czy Amazonii. Nieliczni podróżnicy donosili, że Poleszukom włosy na głowach zbijają się w jeden wielki nierozczesywalny kołtun i że to, co do nich dotarło z wiary chrześcijańskiej, mieszają ze słowiańskimi wierzeniami, z czego wychodzi coś w rodzaju synkretycznego słowiańskiego voodoo.

Koniec świata w miejscu, gdzie Europa jako fenomen kulturowo-historyczny zaczyna się poddawać nie-do-końca-określoności. Bo lokalni ludzie, Poleszucy, posiadali tożsamość przede wszystkim miejscową. Mówili o sobie „tutejsi". Po prostu. Wielu ludzi zresztą w ogóle nie obejmowały żadne państwowe ewidencje. Urzędnikom najzwyczajniej nie udawało się do nich dotrzeć. A nawet jeśli, to część ludności najzwyczajniej przed nimi uciekała. Nie znali świata zewnętrznego i nie chcieli w nim uczestniczyć.

Teraz było już niby inaczej, choć z tą tożsamością to nadal jest różnie.

– Ludzie tu bardziej czują się Ukraińcami czy Białorusinami? – zapytałem miejscowych niedaleko cmentarza w poleskich Jeziorach, na którym pochowano Witkacego po tym, jak na tym poleskim końcu świata odebrał sobie życie.

– Da – odpowiedziała mi z całą powagą jedna ze starszych kobiet.

Inna kobieta, kilka wsi dalej powiedziała na podobne pytanie: – My prości ludzie, ruscy.

Nie pytałem, czy pod słowem „ruscy" ma na myśli rosyjskość czy rusińskość (a może radzieckość), bo miałem wrażenie, że znaczenia są rozmyte.

Szczerze mówiąc, to dawna Rzeczpospolita nie poradziła sobie z wprowadzaniem cywilizacji na Polesie. Zrobiła to dopiero Radziecja. To oni doprowadzili tu prąd, za ich czasów drewniane chaty zamieniono na murowane. Osuszano bagna, po czym znowu je przywracano, gdy się okazało, że z tego osuszania to tylko pożary suchych torfowisk i katastrofa ekologiczna. Ale asfalt nadal bywał rzadkością. Po pylistych gościńcach śmigali chłopcy na starych motocyklach, półnadzy i w klapkach na bosych stopach. Mój Boże, widziałem nawet dwie idące ze wsi do wsi kobiety, które niosły zakupy w tradycyjnych białych chustach zarzuconych na plecy. Las aż cały chodził od owadztwa potwornie bzyczącego i włażącego w każdy otwór ciała. Chaszcze przypominały środkowoeuropejską dżunglę. A przecież nie podejmowałem jakiegoś wielkiego leśnego treku, szukałem tylko niedaleko od drogi dębu, pod którym Witkacy podciął sobie żyły, a i tak wyszedłem cały pokąsany i poorany gałęziami.

Tak. Dawniej mało kto się więc na Polesie zapuszczał. I mało kto się stamtąd wydostawał na szeroki świat. Każdy kilometr pokonywało się tu kilka razy dłużej niż gdzie indziej. Mało się więc o Poleszukach, odciętych od świata, zahukanych, niekompatybilnych z resztą świata, wiedziało.

Palili się, ale byli!

Historia Słowian, którzy jako grupa językowa uformowali się najpewniej właśnie tam, wygląda w pewnym sensie podobnie do historii Polesia.

Mało kto się tam zapuszczał. I mało kto, a właściwie nikt, czyje obserwacje mogłyby być zapisane, nie miał przez całą europejską starożytność pojęcia, że ci Słowianie w ogóle istnieli.

Słowiańskość nie miała na Zachodzie renomy. Nie wiadomo, czy słowo niewolnik, czyli angielski „slave" (od łacińskiego „sclavus") nie pochodzi od Słowian właśnie

eprasa.pl 404822a087

Mało kto również stamtąd wychodził na szeroki świat. Dlatego wszyscy się zdziwili, kiedy w końcu, u zaraniu Średniowiecza, Poleszucy, czyli Słowianie, stamtąd wyszli.

I od razu kultura materialna, którą znajdują archeologowie, sprymitywniała.

Trudno się dziwić: jak ludność pochodząca z tak odciętego od reszty Europy kawałka świata mogła przynieść wyrafinowaną kulturę, jeśli Poleszucy jeszcze na początku XX w. stosowali średniowieczne metody rolnicze i żyli w skrajnym ubóstwie. Ich pojawienie się na europejskim placu boju musiało przypominać pojawienie się w kraju, powiedzmy, Azteków czy Inków, ludów, które do dziś żyją w amazońskiej dżungli i uważane są za „nieskontaktowane".

Szczególnie jeśli ta ludność nie miała się od kogo uczyć, bo o ile na Bałkanach zetknęła się ze starymi i wyrafinowanymi kulturami i sporo od nich wzięła, o tyle u nas przecież – jak twierdzi ekipa Joschy Gretzingera z Max Planck Institut – nikogo nie było. A ci, którzy byli tutaj wcześniej, czyli ludzie z kultury wielbarskiej, mieli zupełnie inne pochodzenie genetyczne niż Słowianie, którzy przyszli po nich.

Ale i teoria pustki osadniczej nie jest przez wszystkich akceptowana.

– Jaka pustka osadnicza?! – denerwował się w rozmowie ze mną prof. Marek Figlerowicz z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN. – To, że na naszych terenach ludzie się palili, to nie znaczy, że ich nie było!

Pod tą tajemniczą wypowiedzią profesora kryje się bardzo poważne zagadnienie: nie możemy zbadać pochodzenia ludzi, którzy mieszkali tu przed Słowianami, ci bowiem faktycznie „się palili", czyli palili swoich zmarłych. A ze spalonych szczątków, choćbyś się nie wiem jak uparł, nie wydusisz DNA i go nie zbadasz.

Kultura wielbarska, kultura trzciniecka

W 2023 roku zespół kierowany przez prof. Figlerowicza przeprowadził badania genetyczne analogiczne do tych, których dokonał Instytut Maxa Plancka. Wyniki uzyskał podobne, ale zinterpretował je zupełnie inaczej: ludy zamieszkujące nasze tereny były tutaj co najmniej od okresu żelaza.

Jak to zbadać, jeśli nie ma DNA? Otóż prof. Figlerowicz, jak to Słowianin, umie kombinować, bo co ma nie być DNA, jak jest? Jak sam napisał: „wykorzystał fakt, iż mniej więcej w I w. n.e. w rejonie ujścia Wisły powstała kultura wielbarska. Jej twórcami byli przybysze z północy, którzy w odróżnieniu od ludności lokalnej nie kremowali zmarłych, lecz grzebali w ziemi. Przez kolejne cztery wieki populacja tworząca kulturę wielbarską wędrowała z północy na południe Polski, najpierw wzdłuż Wisły, następnie Buga, i mieszała się z ludnością lokalną. Powstał zatem pomysł, by zbadać domieszkę genetyczną, jaka pojawiła się u emigrantów z północy, i w ten sposób zajrzeć w geny ludności lokalnej".

Słowianie byli w starej Europie kimś w rodzaju Bearów Gryllsów, syrvivalowcami, którzy pokazali ludziom nie umiejącym się już odnaleźć w niebezpiecznym świecie, jak przeżyć w ziemiance

Naukowcy, by dowiedzieć się, czy jeszcze potem zaszła jakaś zmiana genetyczna, przebadali też genomy osób tworzących społeczeństwo państwa Piastów. Okazało się, że ludność lokalna z początku I tysiąclecia była pod względem genetycznym bardzo podobna do innych ludów zamieszkujących południowe wybrzeże Bałtyku oraz do młodszych o 1000 lat przedstawicieli państwa Piastów.

Prof. Figlerowicz stwierdził wówczas, że wszystkie elementy genetyczne występujące u osób tworzących państwo piastowskie pojawiły się na terenie współczesnej Polski już w IV w. n.e. Wynik ten oznaczał, że dla zaistnienia na tym obszarze Słowian niekonieczna była jakakolwiek masowa migracja ze wschodu mająca miejsce po IV w. n.e.

– Wydaje się, że tak naprawdę Instytutowi Plancka wyszło to samo co w naszych badaniach. Stwierdzili oni, że żyjący w pierwszej połowie I tysiąclecia na terenach Polski przedstawiciele kultury wielbarskiej mieli pochodzenie skandynawskie – mówił prof. Figlerowicz. – Problem jednak w tym, że autorzy pracy opublikowanej w „Nature" uznali populację wielbarską za ludność miejscową. Gdybyśmy też tak uznali, również wsparlibyśmy hipotezę mówiącą o masowej wymianie ludności. Nie uczyniliśmy tego, gdyż wszystkie dotychczasowe badania archeologiczne i genetyczne wskazują, iż kulturę wielbarską stworzyli imigranci z północy.

– Natomiast wcześniej – ciągnie profesor – była tu kultura trzciniecka, która genetycznie, jak zresztą ten ich artykuł w „Nature" też pokazuje, była podobna do tych, którzy przyszli później, czyli do Słowian.

Słowem – nadal nie jest do końca pewne, czy „wyszliśmy z Polesia", czy „byliśmy tu od zawsze".

Wiadomo jedno: kultura materialna tąpnęła w dół w VI w., właśnie wtedy, gdy pół Europy zaczęło odnotowywać pojawienie się Słowian. Przypadek? Być może. Ale co on oznaczał? I dlaczego właśnie wtedy Słowianom udało się dotrzeć aż w głąb Bizancjum, do Grecji, antycznej Hellady?

Peryferyjni Rosjanie szantażują

Ano, wtedy właśnie, mówią naukowcy, miało miejsce ochłodzenie klimatu w całej Europie, a do tego na ruinach starego, rzymskiego, a nawet porzymskiego świata nastąpił czas wielkiej niepewności i chaosu, w którym ta prosta, ale funkcjonalna cywilizacja Słowian najlepiej się sprawdziła. Słowianie byli w starej Europie kimś w rodzaju Bearów Gryllsów, survivalowcami, którzy pokazali ludziom nieumiejącym się już odnaleźć w coraz bardziej niebezpiecznym świecie, jak przeżyć w ziemiance, ulepić garnek z tego, co się wygrzebie z ziemi, czy polować za pomocą prostych narzędzi. Odgrywali, słowem, taką rolę, jaką gra w filmach poważny, niewiele mówiący, ale zawsze czujny tropiciel, dobry strzelec i świetnie radzący sobie zarówno w walce, jak i w leśnej dziczy. Słowianie byli jak John Rambo w pierwszej części serii, który za pomocą wyłącznie noża i skonstruowanych przez siebie w lesie pułapek wykończył cały oddział policji.

Czy takie pochodzenie jest cool? Cóż, jeśli komuś na tym zależy, by udawać hrabiego czy markiza wielkiego rodu – pewnie nie. Ale bohaterowie ludowi czy punkowi herosi ulic czy klasy robotniczej też nie mieli wielkiego pochodzenia. I nie mieli z tym problemu. Przeciwnie – przekuwali to w swój atut. A z takich bohaterów jak z Piastów na przykład wychodziły potem wielkie i celebrowane dynastie.

Nie jesteśmy zresztą skazani na jednolitą tożsamość. Pustka osadnicza nigdzie nie była absolutna, a poza tym historia wcale się nie skończyła na VI w. n.e., mamy więc w sobie geny wszystkich, którzy tylko się przewinęli przez nasze okolice. Poza tym Słowianie bardzo szybko wkomponowali się w resztę Europy. Ci południowi i wschodni przyjęli prawosławie i oparty na grece sposób zapisywania swojego języka. Ci na zachodzie – rzymski ryt chrześcijaństwa i łacińskie pismo. I tak oto zaczęliśmy funkcjonować w ramach tych dwóch, przenikających się zresztą wzajemnie cywilizacji.

I dopiero Rosjanom, którzy zresztą są najbardziej peryferyjną i odległą od jakichkolwiek centrów kulturowych odmianą Słowiańszczyzny, przyszło do głowy uważać, że to oni i ich prawosławie oraz cyrylica są idealny wzorem słowiańskości. I zaczęli szantażować tym wszystkich dookoła, dziwiąc się, że inni Słowianie nie podskakują rączo w rytm ich fanaberii, obsesji i kompleksów. Tak samo jak hitlerowskie Niemcy dziwiły się, że inne germańskie kraje, jak Wielka Brytania i USA, do nich strzelają, zamiast razem z nimi niszczyć „podludzi".

Zresztą, czy my, Polacy, naprawdę jesteśmy przede wszystkim Słowianami? Nasza tożsamość, słowiańska w zasadzie tylko z języka, została nam przecież wyrwana razem z chrztem, odcięta i wymazana, jak grzeszna przeszłość, jak pisze Maria Janion w „Niesamowitej Słowiańszczyźnie". Tak że właściwie zaczęliśmy całą tę swoją historię z cywilizacją od zera. I to dopiero w X w. n.e. A tego, co było wcześniej, musieliśmy dopiero dowiadywać się później, odkrywając własną przeszłość jak bohater porządnego i trzymającego w napięciu thrillera.

Ale to już temat na inną opowieść. ●

REKLAMA Kraj/34396428

1 RP

eprasa.pl 404822a087

ADAM MICHNIK POLECA

ŻARTY NIEPOŚWIĘCONE KSIĘDZA KRACIKA

• **Redakcja „Tygodnika Powszechnego", Kraków, rok 1993. Ks. Jan Kracik przynosił tam co piątek chleb z targu na Kleparzu. Z lewej Zofia Katarzyna Morstin, sekretarka w „TP", z prawej Krzysztof Kozłowski, wicenaczelny.**
FOT. DANUTA WĘGIEL/FOTONOVA

Pisał o mało świetlistych kartach z historii Kościoła. Ale nie znajdował uciechy w wywlekaniu na światło dzienne jego brudów. Był po prostu porządnym uczonym

Stanisław Obirek*

W klerykalnym Krakowie (tam wszyscy wszystko o sobie wiedzą) opowiada się anegdotę o wymianie zdań między młodym księdzem Jana Kracikiem i jego biskupem Karolem Wojtyłą. Kracik nosił wtedy długie włosy i kardynał zwrócił mu uwagę, że powinien pójść do fryzjera. A on odpalił, że nie taka jest rola (i nie takie powinny być rady) biskupa.

Biskup, niezrażony bezczelnością młodziana, zauważył, że to, jak ksiądz wygląda, świadczy o tym, co ma w sercu i w głowie. Na co młody ksiądz odrzekł, że nie szata zdobi mnicha.

O ile wiadomo, zdarzenie nie miało przykrych konsekwencji, bo biskup nie tylko zaproponował młodzieńcowi studia w Lowanium, ale nawet zgodził się na kwerendy naukowe w rzymskich archiwach.

Czy to zdarzenie faktyczne czy apokryficzne, nie ma dla mnie większego znaczenia. Oddaje ono wszak stosunek ks. Kracika do władzy kościelnej, którą zresztą szanował. Z jego późniejszych tekstów jasno wynika, że szczególnie cenił sobie właśnie pontyfikat Jana Pawła II, a zwłaszcza jego podejście do historii i do wyznawców judaizmu.

Ci, którzy go bliżej znali w ostatnich latach, podkreślają, że poruszający jest jego testament, który znakomicie współbrzmi z jego pogrzebem. Świadkowie mówią, że trumna stała na ziemi – i nie było na niej kielicha (na pogrzebach księży zwykle się go stawia jako znak godności kapłańskiej), bo tak sobie tego życzył. A na grobie widnieje napis: „Jan Kracik, prezbiter, historyk" (żadnych dodatkowych tytułów, bo sobie też tego nie życzył).

•

Czy można sobie dziś wyobrazić polskiego księdza katolickiego, który regularnie pisuje w „Wyborczej", „Rzeczpospolitej", „Tygodniku Powszechnym", „Znaku", „Gościu Niedzielnym" i jednocześnie systematycznie ogłasza znaczące artykuły w pismach naukowych, i niemal każdego roku publikuje znaczącą książkę, w dużej mierze opartą na badaniach źródłowych, na temat historii Kościoła? Prawda, że trudno, a jednak takim księdzem przez z górą dwa dziesięciolecia był ks. prof. Jan Kracik.

Przyglądałem się tej jego aktywności z bliska, bo mieszkałem wtedy w Krakowie. Od razu dodam, że Kracik prawie nigdy nie pisał o Janie Pawle II, choć krakowscy księża lubili się ogrzewać w cieple polskiego papieża, a wielu z nich miało pokoje dosłowne wytapetowane zdjęciami z papieżem. Jest to o tyle ważne, że miał na temat Karola Wojtyły o wiele więcej do powiedzenia niż wielu innych papieskich „przyjaciół".

Gdy myślę o ks. prof. Janie Kraciku (1941-2014), odruchowo przychodzi mi na myśl mój przyjaciel jezuita Stanisław Musiał (1938-2004), z którym byłem wiele lat związany nie tylko przynależnością do tego samego zakonu, ale i wspólnotą poglądów zwłaszcza na temat relacji chrześcijańsko-żydowskich. Przyznaję wszak, że trudno o osobowości równie odmienne niż tych dwóch księży katolickich.

Kracik był przede wszystkim miłośnikiem archiwów kościelnych, które nie tylko znał jak nikt inny, ale czuł się w nich pewniej niż wśród ludzi; dla Musiała żywiołem było zaangażowanie w rozmowę z konkretnymi ludźmi i chętnie wchodził w publicystyczne spory. Legendarny był jego spór z ks. Waldemarem Chrostowskim na temat sposobu dialogowania z Żydami czy publiczne piętnowanie ks. Henryka Jankowskiego za jego antysemickie wypowiedzi. Nawiasem mówiąc, Kracik też nie stronił od publicystycznych wystąpień, a dla Musiała praca naukowa była przedmiotem nieustannych westchnień, do której jednak brakowało mu wytrwałości.

Łączyło ich chłopskie pochodzenie, niezachwiane przywiązanie do kapłaństwa i do Kościoła. Nigdy też nie krytykowali publicznie Jana Pawła II. Dla obu dokumenty Soboru Watykańskiego II stanowiły oczywisty sposób postrzegania katolicyzmu. Choć wyrośli w katolicyzmie przedsoborowym, zmiany, jakie przyniosły niektóre z dekretów tego soboru, jak „Nostra aetate" o stosunku do innych religii czy „Dignitatis humanae" o wolności religijnej, przyjęli z niekłamaną ulgą

I jeszcze jedno. Obaj byli serdecznie znienawidzeni przez katolickich fundamentalistów, którzy przy każdej możliwej okazji odmawiali im prawa do przynależ-

eprasa.pl 404822a087

ności do wspólnoty kościelnej. Obaj też odeszli zdecydowanie za wcześnie, i to wtedy, gdy ich opinia była szczególnie potrzebna w polskim Kościele katolickim po śmierci Jana Pawła II, gdy do głosu doszli ludzie bez wyobraźni teologicznej i przestraszeni zachodzącymi w Polsce zmianami.

•

Musiał zmarł w 2004 r. w wieku 65 lat, Kracik dziesięć lat później, mając lat zaledwie 72. Muszę też wspomnieć ks. Józefa Tischnera (1931-2000), który zmarł jeszcze wcześniej w wieku 69 lat, a z którym obaj – i Musiał, i Kracik – byli serdecznie zaprzyjaźnieni. Tischner urodził się w rodzinie inteligenckiej, ale lubił wracać do Łopusznej koło Nowego Targu, gdzie się czuł znacznie lepiej niż w mieście, i chyba z góralami miał lepszy kontakt niż z inteligencją.

Można więc powiedzieć, że cała trójka była mocno zakorzeniona w polskim ludzie. Tischner był jeszcze bardziej znienawidzony niż Kracik i Musiał przez wspomnianych fundamentalistów; wielu z nich dziękowało Bogu, gdy zachorował na raka krtani, który odebrał mu głos. Niektórzy byli przekonani, że to kara boska (takie opinie można było usłyszeć w mediach Rydzyka).

Ta trójka kapłanów budząca zgorszenie wielu „świętobliwych" katolików świeckich i równie „świętobliwych" księży (używam cudzysłowu w sensie nie tylko ironicznym, ale wręcz odbierającym temu słowu religijne znaczenie) spotykała się najczęściej w redakcji „Tygodnika Powszechnego", który w latach ich działalności mieścił się przy ulicy Wiślnej 12 w Krakowie, w części zabudowy należącej do biskupów krakowskich. Jak wiadomo, na początku 2021 r., po 75 latach, redakcję „TP" przepędził wojowniczy abp Marek Jędraszewski.

Mamy więc „nieświętą" trójcę, z której najbardziej zapoznany, a jednocześnie najbardziej zasłużony dla ukształtowania nowego spojrzenia na przeszłość Kościoła jest Jan Kracik. Każdy z nich mógł jeszcze wiele zrobić i napisać. Jednak to, co po nich zostało, pozostawiło trwały ślad na polskim katolicyzmie. Trzeba zrobić wszystko, by nie wyblakł zupełnie. To z tej potrzeby powstały poniższe uwagi.

•

Trzeba to jasno powiedzieć. Ks. profesor Jan Kracik przez swoich nie był ceniony, a mówiąc ściśle, przez kolegów teologów był jawnie zwalczany; zarzucali mu brak powagi w podejściu do powołania kapłańskiego (to samo zarzucano zresztą Tischnerowi, by wspomnieć jego legendarne potyczki z późniejszym biskupem sandomierskim Wacławem Świerzawskim, chodzącą powagą kapłańską i biskupią!). Mieli mu też za złe nazbyt krytyczne spojrzenie na przeszłość Kościoła.

Wielu miało do niego pretensje, że pisze o Kościele i jego wybitnych przedstawicielach bez należytego szacunku i że zajmuje się tematami „niepoważnymi" jak hultaje, złoczyńcy, wszetecznice, by użyć tytułu książki, której był współautorem. Byli też tacy, którzy mieli mu za złe wyciąganie niezbyt świetlistych kart z historii Kościoła.

Jednak Jan Kracik nie był antyklerykałem, nie znajdował też uciechy w wywlekaniu na światło dzienne kościelnych brudów. Był po prostu porządnym historykiem, który wierzył w siłę prawdy i robił wszystko, by ona broniła się sama. Wiedział też, że każda próba zamiatania grzechów ludzi Kościoła pod dywan tworzy efekt kabiny pogłosowej, w której to, co ukrywane, wybrzmiewa ze zwielokrotnioną siłą i obraca się ostatecznie przeciwko samemu Kościołowi.

Nie był dobrym mówcą, bo zbytnio się spieszył, aby przekazać swoje myśli, nie zawsze dbając o to, czy słuchacze podążają za jego wywodem. Jednak wykładowcą był porywającym, bo zawsze wynajdywał w historii smaczki, które nie tylko przykuwały uwagę słuchacza, ale otwierały nowe perspektywy na przeszłość i przyszłość katolicyzmu. Zresztą było wiadomo, że można będzie zawsze zajrzeć do jego tekstów, w których odnaleźć można będzie nie tylko szczegółowy zapis wykładu, ale również skrupulatną dokumentację źródłową.

Jego wizyty w redakcji „Tygodnika Powszechnego" były wyczekiwane nie tylko ze względu na zawsze zajmujące teksty, ale również przynoszone przez niego smakołyki z rodzinnej wsi, którymi chętnie wszystkich obdarowywał. A pisać umiał znakomicie, jego teksty były zawsze dopracowane „na ostatni guzik". Był też błyskotliwym narratorem wybranych zagadnień.

Potrafił znaleźć anegdotę, którą organizowała wywód. Wiedział, że historia przemawia do czytelnika obrazami. To rzadki talent, zwłaszcza u historyków Kościoła, który pochłonięci troską o jego reputację, zapominają, że tekst nazbyt obciążony detalem zwyczajnie nudzi. Tego nie mogli mu wybaczyć koledzy księża, autorzy sążnistych tomów, które owszem, nabożnie oglądano, ale nikt nie czytał. Jana Kracika natomiast czytali wszyscy, również studenci wspomnianych nudziarzy.

•

Dobrze go znałem nie tylko ze spotkań w „Tygodniku", bywał bowiem również w Wydawnictwie WAM, z którym przez lata byłem związany, m.in. wydając kwartalnik „Życie Duchowe". Pamiętam, z jakim błyskiem w oku pod koniec lat 90. pytał, czy to dobry tytuł do książki, którą właśnie skończył pisać – „Święty Kościół grzesznych ludzi". Lektura tej książki sprawiła, że zaproponowałem mu rozmowę do kwartalnika.

W rozmowie tej Kracik wskazywał na nadużycia teologii, która uświęcała całkiem ludzkie, by nie powiedzieć – nieludzkie regulacje kościelne, których jedynym celem było utwierdzenie stanu posiadania Kościoła i władzy hierarchii kościelnej. Mówił:

„Myślę tu o nazbyt skorym przypisywaniu woli Boga nawet mniej udanym decyzjom kościelnych przełożonych. I o daleko idącym »reglamentowaniu« prawa boskiego przez kościelne, w rodzaju pogregoriańskiej teokracji, gdzie uzależnienie władzy świeckiej od duchownej miało służyć umoralnieniu tej pierwszej, a skończyło się rywalizowaniem z nią na jej polu i jej metodami, łącznie z uznaniem przemocy w szerzeniu i obronie wiary, prowadzeniem wojen przez papiestwo, z jego fiskalizmem i przepychem.

Także klerykalizm jako ograniczanie uprawnień królewskiego kapłaństwa powszechnego na rzecz wyświęconych; również taki przerost struktur, który bardziej tłamsił ducha niż mu służył, legalistyczna teologia moralna, w której kościelny paragraf sprzyjał czasem raczej oddalaniu niż zbliżaniu do Ewangelii. Dalej, sakralizowanie kościelnego stanu posiadania, którego świętej nienaruszalności broniły ekskomuniki, których jakoś nie używano jako tarczy osłaniającej własność biedaków".

Przypominam, że rozmawialiśmy w okolicach roku 2000, a więc na długo przed papieżem Franciszkiem, który wyda otwartą walkę właśnie wspomnianym nadużyciom, które w Polsce i wtedy, i dzisiaj mają się wyjątkowo dobrze.

Na moje pytanie o znaczenie wizyty Jana Pawła II w Yad Vashem i jego modlitwę o przebaczenie za grzech antysemityzmu, jaką papież wzorem pobożnego Żyda umieścił w jerozolimskiej Ścianie Płaczu, ks. Kracik odpowiedział tak:

„Zapewne [jest] mniejsze niż na to zasługuje. Nawiedzenie bowiem przez Jana Pawła II najbardziej świętego dla Żydów miejsca i zamanifestowanie wedle ich pobożnego zwyczaju prośby o wysłuchanie papieskiej modlitwy o przebaczenie przez Boga krzywd wyrządzonych Izraelitom przez katolików to niezwykle nośny symbol, wart przywoływania i refleksji.

Tego rodzaju gesty, a zwłaszcza towarzyszące im słowa na temat stosunku chrześcijan do swych starszych braci w wierze, jakie Papież wygłaszał wielokrotnie, wywarły wpływ i na katolików polskich. Nie na wszystkich przecież spośród oklaskujących Jana Pawła II, jak wykazały choćby postawy obrońców krzyży na oświęcimskim żwirowisku czy wielkość kręgu czytelników antysemickich publikacji. Dlatego i ten papieski gest przekonywać będzie przekonanych i chyba nie trafi do tych, którzy najbardziej powinni się nad nim zastanowić".

Nic od tamtej rozmowy się nie zmieniło. Antysemici afiszujący się swoim katolicyzmem znajdują posłuch znacznie większy niż nominalnie czczony i kochany polski papież.

•

Sam z wykształcenia jestem historykiem i wiele lat poświęciłem na zgłębianie historii jezuitów; wiem, jak ambiwalentnym może być to zajęcie i jak trudno uwolnić się od apologetycznych zwyczajów, dominujących przez stulecia nad kościelną historiografią. Krótko mówiąc, wiem, że poznawanie historii nie zawsze służy zbliżeniu do prawdy, a częściej staje się pretekstem do uprawiania polityki historycznej. Stąd waga tych elementów z przeszłości, które chronią przed tego rodzaju nadużyciami.

Mój rozmówca miał pełną świadomość tej dwuznaczności dlatego podkreślał, że ważne jest „rozróżnienie tego, która część tradycji dobrze służy wierze i miłości, a która jest już tylko ich atrapą, czyli rozeznanie - gdzie skrzydła, a gdzie garby, co warte ciągu dalszego, a co wymaga wymiany. A potem – konsekwentna realizacja jednego i drugiego. I to w sumie jest chyba ten rodzaj mądrości, której brak powoduje albo oderwanie od korzeni, albo uwięzienie w muzeum.

Jest to oczywiście sztuka wymagająca ciągłych ćwiczeń, zwłaszcza w powtarzających się sytuacjach, w których Kościół ponownie ulegał starym pokusom kolejnych królestw tego świata.

Od czasu Vaticanum II po dziś dzień – nie bez znaczącego udziału Jana Pawła II – Kościół znacznie przyspieszył proces uczenia się na własnej przeszłości. Daje tym przykład tak zwanemu światu, ale i uczy się odeń sporo. Szansa na mądre korzystanie z doświadczeń historii rośnie, co jest optymistyczne. Będzie zaś realistyczne, jeśli ludzie zechcą z tego poznania korzystać".

Na razie realizm nie jest mocną stroną polskiego katolicyzmu, który wyraźnie upodobał sobie idealizację swojej przeszłości łączoną zwykle z demonizowaniem zwykle domniemanych wrogów.

•

Nie mogłem się powstrzymać od przywołania obszernych fragmentów rozmowy, którą zatytułowaliśmy „Odróżnić skrzydła od garbów", gdyż w tej sztuce rozróżniania Jan Kracik był mistrzem niezrównanym. Zapraszałem go też na organizowane przeze mnie konferencje w Centrum Kultury i Dialogu działającym przy Ignatianum [uczelnia prowadzona przez jezuitów], jak chociażby ta o inkulturacji chrześcijaństwa. Bywałem też zapraszany przez niego na konferencje z historii Kościoła jak ta w 1996 r. z okazji okrągłej rocznicy Unii brzeskiej z 1596.

Jednak nie chcę sprawiać wrażenia, że byłem z nim szczególnie blisko związany. Wprost przeciwnie, to były spotkania przelotne. Jego matecznikiem było krakowskie Wyższe Seminarium Duchowne i Papieska Akademia Teologiczna przekształcona w 2009 r. w Uniwersytet Papieski Jana Pawła II.

Jego uczniem i najbliższym współpracownikiem był Grzegorz Ryś, dzisiejszy kardynał, a najdłużej był z nim związany dzisiejszy redaktor senior „Tygodnika Powszechnego", ks. Adam Boniecki, i im na koniec chciałbym oddać głos. Sprawa jest o tyle ułatwiona, że obaj napisali ważne teksty w tomie „Historia bliższa ludziom. Prace ofiarowane księdzu profesorowi Janowi Kracikowi w 70. rocznicę urodzin", opublikowanym w 2011 r.

Grzegorz Ryś, wówczas pomocniczy biskup krakowski, tak pisał w biogramie otwierającym ten jubileuszowy tom w taki sposób:

„Nie jest zadaniem ucznia (a do tych mam zaszczyt się zaliczać) jakiekolwiek recenzowanie swojego Mistrza (a tak mam zaszczyt nazywać Ks. Prof. Jana Kracika). Nie zamierzam więc niczego takiego czynić. Postanowiłem wszakże – na siedemdziesiąte Jego urodziny – w oparciu o dostępne źródła (nadwyrężając co nieco obowiązującą jeszcze w odniesieniu do nich tajemnicę) - opisać wpierw jego lata seminaryjne, a następnie wczesne lata posługi kapłańskiej, splecionej ze studiami i pracą młodego, a potem już w pełni samodzielnego uczonego".

1 RP

Obirek: - Zapraszam do ćwiczenia z wyobraźni. Twarzami polskiego katolicyzmu są kard. Tischner, biskup krakowski, ks. Musiał, biegły polemista, i uczony ks. Kracik. O Radiu Maryja nikt nie słyszał. Rozmarzyłem się...

FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***prof. Stanisław Obirek**

• ur. w 1956 r., antropolog kultury, teolog, historyk, były jezuita. Pracuje w Ośrodku Studiów Amerykańskich UW. Interesuje się m.in. miejscem religii we współczesnej kulturze, dialogiem międzyreligijnym i możliwościami przezwyciężenia konfliktów religijnych, cywilizacyjnych i kulturowych.

eprasa.pl 404822a087

To lektura wyjątkowa i wielce pouczająca właśnie ze względu na przywoływane teksty źródłowe, do których zwykły śmiertelnik nie ma dostępu. Poznajemy życie seminaryjne, ale też kulisy wysyłania księży na studia zagraniczne i to, jak często młodzi księża z takiej wyjątkowej przecież szansy w latach 60. i 70. ubiegłego wieku korzystali. Dla wielu taki wyjazd oznaczał kontakt z badaczami światowej sławy, jak w przypadku Kracika Roger Aubert w Lowanium.

Zwięzła charakterystyka pisarstwa Kracika jest wprost nieoceniona. Ryś pisze:

„Jego prawdziwym żywiołem jest (...) pisarstwo! Jest autorem 20 książek i ponad pół tysiąca artykułów (spośród nich niektóre liczą sobie w druku po sto i więcej stron i z powodzeniem mogłyby zostać opublikowane jako książki). Zawsze pisze kilka tekstów równocześnie – odpoczywa od jednego, studiując i opracowując drugi.

Jego bibliografia uderza różnorodnością: można w niej znaleźć medytacje pasyjne obok »żartów niepoświęconych«; katechizmowe (bardzo uczesane) biogramy świętych obok artykułów pozornie hagioburczych (tzn. ukazujących, iż kanonizacja nie jest aktem uznającym wszystkie ich czyny i słowa za właściwe i nieomylne); ostrą publicystykę skierowaną przeciw niektórym formom masowej (ludowej) dewocji obok sumiennych, źródłowych opracowań, które przyczyniły się do koronacji czczonych od dawna obrazów maryjnych (np. w Kętach czy Jordanowie)".

Znaczący jest też opis krótkiej kariery na urzędzie prodziekana, która z jednej strony raz na zawsze wyleczyła Kracika z aspirowania do jakichkolwiek urzędów, a z drugiej rzuca ciekawe światło na zwyczaje panujące w kościelnej instytucji naukowej:

„Funkcję prodziekana pełnił krótko - w połowie kadencji w zdecydowany sposób podał się do dymisji. Rzecz była bolesna. W dniach 16 i 17 listopada 1982 r. odbyło się w Krakowie, w pałacu arcybiskupim, sympozjum naukowe poświęcone św. Kazimierzowi. Posiedzenie miało charakter raczej elitarny – odbyło się w zamkniętym gronie uczonych (historyków, historyków sztuki, teologów, historyków literatury).

Wobec takiego audytorium Ks. Profesor przedstawił wykład, którego tezy nie dziwią dziś nikogo. Stwierdził mianowicie, iż średniowieczne żywoty świętych stanowią swoisty rodzaj literacki, że ich dosłowna interpretacja tak naprawdę rozmija się z zamysłem hagiografów, i że – konsekwentnie – łatwiej z nich wydobyć propagowany przez elity i pożądany przez społeczeństwo model świętego niż jakiekolwiek jego rysy indywidualne. Owo ABC dzisiejszego mediewisty okazało się wszakże w tamtym czasie i miejscu naukową prowokacją, na którą zareagowano zgoła nie naukowo".

Mówiąc krótko, tekst referatu nie tylko został surowo oceniony, ale wręcz odrzucony z tomu pokonferencyjnego.

●

Jako się rzekło, poza Grzegorzem Rysiem blisko związany z Janem Kracikiem był ks. Adam Boniecki. Swój tekst, zatytułowany znamiennie „Nasz wielki autor – ks. Jan Kracik", rozpoczął od wspomnienia Stowarzyszenia Bojkotu Mediów Antykatolickich, na którego liście autorów zakazanych znalazł się też nasz bohater.

Boniecki pisze: „To kuriozalne stowarzyszenie nie zasługiwałoby na uwagę, gdyby nie to, że niezależnie od zasięgu jego oddziaływania i efektywności dobrze reprezentuje ten sposób bycia Polakiem, katolikiem, chrześcijaninem, który ks. profesor Jan Kracik kompetentnie, cierpliwie i nieustępliwie kwestionuje, by nie powiedzieć – zwalcza".

No właśnie, chciałoby się powiedzieć, że chwała Kracikowi, jednak problem polega na tym, że głos Kracika niemal zupełnie zagłuszali nie tylko członkowie „kuriozalnego stowarzyszenia", ale zgodny chór prawicowych i katolickich fundamentalistów, dla których krytyczne myślenie o przeszłości Polski i zwłaszcza Kościoła katolickiego stało się synonimem zaprzaństwa i herezji wręcz.

Ks. Adam Boniecki nie szczędzi komplementów tekstom historycznym Kracika, zamieszczanym w „Tygodniku Powszechnym":

„Publicystyka historyczna księdza Jana w »Tygodniku« stała się poniekąd znakiem firmowym naszego pisma. Jako historyk dociera do korzeni wynaturzeń chrześcijaństwa, ukazuje te miejsca w historii, w których ludzie Kościoła odchodzili od Ewangelii i jakie były tego dla chrześcijaństwa i dla Kościoła skutki. Konstatuje stan rzeczy, pokazuje »ciążenie dziedzictwa przeszłości«, bynajmniej nie zawsze świetlanej".

Jaka szkoda, że był to i ciągle pozostaje głos wołającego na puszczy.

Nienawidzili go katoliccy fundamentaliści. Przy każdej możliwej okazji odmawiali mu prawa do przynależności do wspólnoty kościelnej

●

Na koniec chciałbym Czytelników zaprosić do ćwiczenia z wyobraźni religijnej.

Oto twarzami polskiego katolicyzmu od roku 1989 stają się Jan Kracik, Józef Tischner i Stanisław Musiał. O Tadeuszu Rydzyku nikt nie słyszał, a biskup pomocniczy Poznania, niejaki Marek Jędraszewski, za wspieranie ukaranego przykładnie abpa Juliusza Paetza został wysłany na misje do jednego z krajów afrykańskich.

Biskupem krakowskim do dzisiaj jest kard. Tischner, któremu papież Jan Paweł II (z którym się serdecznie przyjaźni i dla którego jest najbliższym współpracownikiem) ze względu na sprawne rządy i krzepkie zdrowie przedłuża kadencję na następne dziesięć lat, by mógł go zastąpić człowiek o podobnym temperamencie.

Musiał, podobnie jak inny jezuita w Mediolanie, zostaje kardynałem w Warszawie i omija sprawnie kolejne rafy, jakie się pojawiają w dialogu chrześcijańsko-żydowskim, dobierając sobie doradców takich jak Jan Tomasz Gross (z którym prywatnie się przyjaźni). A Kracik, to już wiemy, pisze kolejne książki zachęcające do rewizji pojęcia Polaka-katolika i do rezygnacji z katechez w szkołach publicznych błędnie nazywanych lekcjami religii...

Oj, rozmarzyłem się, więc tutaj zatrzymam wyobraźnię, choć przy drobnych korektach personalnych to marzenie mogło być zupełnie realne. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Czesław Miłosz

Do księdza Ch.

Do ciebie, słyszącego głosy niemych chórów,
zgiętego nad smutnymi ołtarzami Pana
w wiejskim, dusznym kościele, do ciebie, o mściwy,
piszę ten list, prefekcie, burzo zapomniana.

Już włos gładko sczesany spływa siwym strąkiem
na kark przecięty blizną po cielesnych mieczach,
już wzrok twój fanatyczny jest martwym skowronkiem
zabitym w ogniu świata, któremu zaprzeczał.
Twoje usta śnię często. Ich grymas niesławny
długo uczył pogardy wszystkiego prócz zgonu.
Dziś ja, uczeń, poznałem nicość form powabnych,
i otośmy już obaj z jednego zakonu.

Góry ciemne jak irys w trawie mokrych sadów,
oczy kobiet, ich uścisk w mgle zbielałej nocy
na popiół, na płyn cierpki pełen skrytych jadów
zamieniałeś tnąc słowem z dawidowej procy.
Wesele ciał, złączonych z wodami i ogniem,
górą lecących ptakiem, rybą mknących dołem,
nienawiścią paliłeś, aż sczerniałe głownie
spadły w noc, a noc była dla ciebie - kościołem.

Ziemia drży, drzewo milknie, kiedy stąpa prawy,
ale wiek nazbyt grzeszny świętego nie zrodzi
- tak uczyłeś, a miasta strumień wrzącej lawy
zgasi i żaden Noe nie ujdzie na łodzi.

O światło potępienia, o wieczną zatratę
modliłem się wtedy, a ręce skrzydlate
czułem w każdym powiewie muskającym twarz.
Ty, dzieła swoich nauk zawsze nieświadomy,
w starej sutannie lecąc nad ziemi ogromy
na ludzkie czyny ciemny upuszczałeś płaszcz.

Dojrzałem, moje ciało jest czułą kołyską
dla mocy, w których płaczu zawiera się wszystko,
leżą w pięknym posłaniu i miłość i głód.
Wiatr swobodnych poranków we włosach powiewa
i jabłko, ciężkie jabłko, sen rajskiego drzewa
toczy się, potrącane końcem lekkich stóp.

I jest szum, przypływ morza dotychczas nieznanego,
morza nicości. Pod białą pianą jego
utonęły zwierzęta i lądy.
Ciesz się, triumfatorze. Obu przyjęło morze.
W jego głosie zagłady grzmią trąby.

Pogodzeni jesteśmy po długim skłóceniu,
wiedząc, że z szczęścia ludzi kamień na kamieniu
nie zostanie.
Ziemia usta rozewrze, w jej dudniącej katedrze
chrzest odbiorą ostatni poganie.

WILNO, 1934

Utwór Czesława Miłosza pochodzi z jego tomu „Trzy zimy" (1936), tutaj za: Miłosz, **„Dzieła zebrane",** „Wiersze", tom 1, Wyd. Znak, Kraków 2001. Adresatem wiersza jest ks. Ludwik Chomski, prefekt Miłosza w gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie. Miłosz pisał o nim także jako o Chomiku w „Rodzinnej Europie" (1958, rozdz. „Wychowanie katolickie"), poświęcił mu też wiersz „Ksiądz Ch., po latach" w tomie „Nieobjęta ziemia" (1984).

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 404822a087

ALE HISTORIA

• Okładka broszury „Wieś Murzynów. Kolonje francuskie", reklamującej wizytę w warszawskim Luna-Parku kilkudziesięcioro „murzynów, murzynek i murzyniątek". Zorganizował ją tytułujący się „profesorem" Francuz Maurice Fontenay
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ludzkie ZOO

„Afryka patrzy na was czarną facjatą, przewraca straszliwie białkiem oczów, ludożerczo szczerzy uzębienie".

1RP

eprasa.pl 404822a087

Wojciech Szot

Myślisz, że sterczą? Jedenastoletni Olek w osłupieniu patrzył na półnagą czarną kobietę, której piersi zakrywały „kolorowe szmatki”.

– Fuj! Murzynki śmierdzą! – emocje Olka uspokajał starszy kuzyn. – Ojciec mi mówił! Sześć dekad po tym wydarzeniu Olek, a raczej Aleksander Jackowski, profesor antropologii i historyk sztuki, wciąż pamiętał „przykry zawód”, jaki sprawiła mu ta informacja.

Wiosną 1931 r. on i tysiące ludzi szukały rozrywki w warszawskim lunaparku, gdzie czekała na nich wyjątkowa atrakcja.

JANECZCE TYLKO „MURZYNEK” W GŁOWIE

Janeczka ma 18 lat, w rodzinnym domu nikt nie zwraca na nią uwagi, rusza więc w świat. Po rocznej tułaczce spotyka w Warszawie „człowieka rasy egzotycznej”.

„Od pierwszego spojrzenia pokochałam go”, pisze do gazety „Dzień Dobry”. A żeby czytelnik nie pozostawał w niepewności, dodaje w nawiasie: „murzyna”. Janeczka widziała go tylko ulotnie w parku, ale całe dnie do niego wzdycha. Co zrobić, gdzie znowu spotkać tajemniczego ukochanego – pyta Józefa Gawędę odpowiadającego na trudne pytania w rubryce „Poradnik dla wszystkich”.

Gawęda, specjalista od zawirowań życia, obawia się, że nawet gdyby „spotkała owego murzyna, nie odróżniłaby go od innych jego ziomków”, są bowiem „mniej lub więcej podobni do siebie”. Chyba że Janeczce „chodzi o jakiegokolwiek murzyna, aby tylko był czarny i miał białe zęby?”.

Gawęda radzi powstrzymać emocje i postarać się „odzyskać spokój i szczęście bez afrykańskich podniet”.

„Józef Gawęda był cholernie znudzony sercowymi kłopotami swoich korespondentów i sypał wskazówkami bez większego namysłu”, pisał o mądrali z „Dzień Dobry” Stefan Wiechecki „Wiech”. Nie mógł się mylić. To właśnie słynny satyryk i publicysta był Gawędą.

Na początku lat 30. XX wieku Polacy fascynowali się koloniami i „egzotyką”. „Murzyn jest wciąż wielkim i złośliwym dzieckiem. Kilka tysięcy lat dzieli czarnego i białego człowieka i na to, zdaje się – nie znajdzie się sposobu”, mogła przeczytać w marcu 1931 w „Kurierze Warszawskim” w korespondencji niejakiego J. Prószyńskiego Janeczka, o ile istniała, w co można wątpić, znając metody przedwojennych bulwarówek.

„Afryka patrzy na was czarną facjatą, przewraca straszliwie białkiem oczów, ludożerczo szczerzy uzębienie” – straszył Prószyński.

Już za chwilę Warszawa będzie mogła na własne oczy się przekonać, jak wyglądają Senegalczycy.

WARSZAWA PATRZY NA „AFRYKĘ”

Warszawski Luna-Park powstał w 1928 r., kiedy dyrekcja ogrodu zoologicznego wydzierżawiła na niego część terenu. Dwa lata później zyskał swoją największą atrakcję – kolejkę wysokogórską, zwaną „napowietrzną”. Widoczna była z mostu Kierbedzia i od strony bulwarów pod Zamkiem Królewskim. Nie wystarczała jednak, by przyciągnąć publiczność, dyrekcja parku szukała więc nowych atrakcji.

W 1931 r. – jak mówił w rozmowie z „Kurierem Czerwonym” Jan Trawski, dyrektor Luna-Parku – jego przedsiębiorstwo oferowało 45 atrakcji, ale frekwencja nie zachwycała. W pogodne dni przychodziło nawet 4 tysiące gości, ale gdy aura nie dopisywała – zaledwie 300.

Przeszkodą był nie tylko kryzys, ale i uprzedzenia. „Bardzo dużo osób do dzisiejszego dnia tkwi w przeświadczeniu, że Luna-Park to miejsce zabaw dla pospólstwa”, mówił Trawski. Warszawiacy obawiali się bójek i awantur podpitych gości. Jeden z reporterów pisał, że „Luna-Park to coś nie tego”.

Odstraszać mogły też koszty, bo choć wstęp do Luna-Parku był niedrogi – 30 groszy, to za atrakcje trzeba było dodatkowo płacić. Słynna kolejka – 80 groszy, karuzela – 30 groszy, wizyta u profesora Futuraniego, „maharadży” przepowiadającego przyszłość – 50 groszy. Dziennikarz „Kuriera Polskiego” narzekał, że włodarze zamiast o „poziom i urozmaicenie atrakcji” dbają o „hazard opłacany lichymi fantami”.

A co wzbudzało największe zainteresowanie? Hitem okazała się „grupa autentycznych Senegalczyków, którzy, zagospodarowawszy się w Luna-Parku, urządzili tam prawdziwą wioskę murzyńską i demonstrują codzienny tryb życia czarnego obywatel skwarnej Afryki”, donosiła Polska Agencja Telegraficzna.

W niedzielę 17 maja dziennikarze zwiedzali wioskę „złożoną z sześćdziesięciu kilku Murzynów, Murzynek i Murzyniątek”, którzy zamieszkiwali „prowizoryczne chaty z własnymi sprzętami”.

Na placu przed chatami warsztaty rozstawili rzemieślnicy: złotnik, szewc, malarz pocztówek i „fabrykant torebek skórzanych”. Jest też „coś w rodzaju apteki”, gdzie można nabyć „pałeczkę senegalską, uśmierzającą bóle głowy”. Dziennikarz „Dzień Dobry”, podpisujący się „s-f”, zanotował, że uderzyła go „jakaś okropna woń” i gwar, bo „murzyni wciąż z sobą rozmawiają”.

Zagadnął twórcę torebek, okazało się, że obaj mówią po niemiecku. Mężczyzna – jak kilku innych weteran Wielkiej Wojny – z życia jest zadowolony, lubi podróżować i nie wyobraża sobie życia w jednym miejscu. Marzy o ślubie z białą kobietą. „Dla niej pracowałby chętnie całe życie”. Reporter zwrócił uwagę, że jego ręce wyglądają „jak klejnoty na czarnym aksamicie jego skóry”.

> Termin „ludzkie zoo” nie był przed wojną używany, został spopularyzowany dopiero na początku XXI wieku przez francuskiego badacza Pascala Blancharda. Występy „dzikich” zresztą często organizowali ci sami ludzie, którzy tworzyli ogrody zoologiczne.

„MURZYNIĄTKA” JEDZĄ SZPARAGI

Wewnątrz jednej z pozbawionych okien chat dziennikarz „Dzień Dobry” widzi drewniany tapczan, a obok w naczyniu „podobnym do wydrążonej łupiny dyni, leżą szparagi”. Nagle spod tapczanu wysunęła się „czarna rączka dziecka”. „Pod łóżkiem siedzi dwoje małych murzyniątek. Z jakąś namiętną zapalczywością jedzą surowe szparagi”.

Kilka kroków od chaty kobiety piorą bieliznę. „Prawie wszystkie murzynki są niezwykle zgrabne”, zauważa wysłannik brukowca. Gdy go dostrzegają, podchodzą i zaczynają żebrać. „Dziesięć groszy”, mówi jedna z kobiet z „niedającym się określić akcentem”.

Dziennikarz, widząc w chatach kobiety piłujące paznokcie oraz dziecko noszące „biały europejski śliniaczek”, uznaje to za „pretensjonalne”.

A 11-letni Olek przeżył szok: „Przez siatkę ogrodzenia zobaczyłem, jak dzikusy przebierały się pospiesznie w normalne, europejskie ubrania. Dziewczyny w czerwonych sukienkach wpychały do lśniących walizek swe liściaste kostiumy. Czułem się zawiedziony, oszukany”, wspominał w 1996 r. jako 76-letni Aleksander.

„DZIKUSY” Z ANGIELSKIMI WALIZKAMI

„Hebanowi goście”, jak ich nazywał wysłannik „Kuriera Warszawskiego”, zorganizowali „obrzęd ślubu, tańce senegalskie”, a nawet ceremonię chrztu „10-dniowego Senegalczyka, który przyszedł na świat w Warszawie”.

„Znając ich tylko z opowieści, możemy dziś przyjrzeć się z bliska ich zwyczajom i życiu domowemu, zabawie, modlitwie i pracy”, zachwalał „Kurier Poranny”. Ale nie wszyscy byli przekonani. Wysłannik miesięcznika „Naokoło Świata” przechadzających się po wiosce mężczyzn skwitował tak: „Dzikusy z Czarnego Lądu z angielskimi walizkami”.

17 maja Luna-Park odwiedziło 4 tysiące osób. Większość przyszła dla senegalskiej wioski.

Dyrektor Trawski: „W ciągu 45 dni zwiedziło ją ponad 40 tysięcy osób. Całe szkoły przychodziły do nas, aby obejrzeć czarnych i chociażby powierzchownie zapoznać się z ich bytowaniem. Pielgrzymki te rozpoczynały się już o 11 rano, a niektóre sceny z tych odwiedzin są wprost kapitalne. Na przykład bardzo często zdarzało się, że dzieci śliniły paluszki swych murzyńskich rówieśników, aby przekonać się, czy nie są one uczernione. Oczywiście murzynięta były z tego powodu bardzo oburzone”.

Rozmowę z dyrektorem Luna-Parku zilustrowano zdjęciem „warszawskich murzynów”, wśród których „przebłyskują przyjazne »blade twarze«”.

WIEŚ TAŃCZY I ŚPIEWA

Organizatorem tej rozrywki był samozwańczo tytułujący się „profesorem” Maurice Fontenay, który podróżował po Europie z kilkudziesięcioma Senegalczykami z grupy etnicznej Seres. Francuz oferował parkom rozrywki i muzeom etnograficznym „miniaturową wystawę kolonialną”. Grupa, która przyjechała do Warszawy, wcześniej wzięła udział w Międzynarodowej Wystawie Kolonialnej w Antwerpii w 1930 r. i była pokazywana w paryskim ogrodzie botanicznym.

„Przypatrzmy się im z bliska. Znamy ich z fantastycznych powieści, z wspomnień dzieciństwa znamy Chatę Wuja Toma i naszych czarnych przyjaciół, wyobraźnia nasza przeniosła nas w cienie palm, upalne słońce wysp wulkanicznych, w skłębione gąszcza lasów bananowych, upajamy się zapachem podzwrotnikowych kwiatów...

Dziś mamy ich tu u siebie, w Warszawie – patrzmy na nich z bliska, niemal dotykamy, nasze ciekawe spojrzenie przenika ich ciało i duszę. Ile łagodności i spokoju, pierwotnego instynktu cierpliwości i poddanie w tej małej barwnej próbce wielkiego czarnego plemienia!”.

To fragment broszury reklamowej „Wieś Murzynów. Murzyni w Warszawie w maju 1931 r.”, którą firmował sam Fontenay.

Zdaniem autora wystawa będzie szczególnie ważna dla każdego polskiego dziecka, które pierwszy raz zobaczy „prawdziwego czarnego murzyna” i „będzie to przeżycie, które zapisze się w jego pamięci”. Tłumaczył, że to nie są żadni aktorzy, lecz ludzie, którzy „zdecydowali się na koczownicze życie wędrownej trupy”. I zachęcał: „Przyjdźcie i zobaczcie, jak wieś murzyńska żyje, tańczy i śpiewa”.

MARZENIA O EUR-AFRYCE

„Ludzkie zoo” idealnie trafiło w nastroje. Po Wielkiej Wojnie, gdy Niemcy utraciły kolonie w Afryce, w Polsce podsycano rewanżystowskie nastroje. Za niesprawiedliwość uważano, że nie wzięliśmy udziału w nowym podziale kolonialnym.

Odkrywca Biskupina, archeolog i członek Polskiej Akademii Umiejętności Józef Kostrzewski w „Dzienniku Poznańskim” zwracał uwagę, że w 1931 r. mają

eprasa.pl 404822a087

wygasnąć mandaty „nad dawnymi koloniami niemieckimi", a przy ponownym ich rozdziale Polska nie powinna zostać pominięta, „chociażby z racji znacznego udziału ludności polskiej przed wojną w wydatkach państw zaborczych na kolonie". Kostrzewski postulował, żeby wykazać, „że w dziedzinie kolonizacji zamorskiej posiadamy pewne zasługi i że tylko niewola polityczna Polski w XIX wieku, w okresie tworzenia się dzisiejszych państw kolonialnych, przeszkodziła Polsce w dorównaniu innym narodom".

Leon Radzikowski, członek Związku Pionierów Kolonialnych, w kwietniu 1931 r. pisał w magazynie „Morze", że Afryka stoi przed Europejczykami otworem, a „nieliczni Murzyni nie stanowią żadnej przeszkody do kolonizacji". I ostrzegał, że jeśli Europa nie weźmie się do Afryki, „to zrobi to Azja". Postulował powstanie Paneuropy, która powinna „rozwinąć Afrykę dla Europy – przez Europę", w wyniku czego powstałaby „Eur-Afryka".

Wystawa w Luna-Parku nie tylko dawała nadzieję na poznanie afrykańskiej duszy, ale też była nagrodą pocieszenia. Pozbawiona kolonii Polska dzięki „ludzkiemu zoo" nie znajdowała się na peryferiach cywilizowanego świata. Tym bardziej że trzy tygodnie po tym, jak pierwsi zwiedzający weszli do warszawskiej „murzyńskiej wioski", w Paryżu otworzono Międzynarodową Wystawę Kolonialną.

„Jeszcze nigdy nie zostali skupieni w jednym miejscu wszyscy przedstawiciele kolonialnych ludów w ich rodzimym otoczeniu" – donosił ze stolicy Francji korespondent „Expressu Porannego". Na wystawie można zobaczyć „wioskę Annamitów", a „śniade Samoanki sąsiadują z czerwonoskórymi Indianami, murzyni z Wybrzeża Kości Słoniowej tańczą obok chińskich restauracji, a łagodne kwilenia gitar hawajskich łączą się z dzikim tam-tamem Kamerunu".

Francuzi zbudowali m.in. replikę khmerskiej świątyni Angkor Wat, a Amerykanie postawili na podparyskich polach kopię domu rodzinnego George'a Washingtona. Wysłany na wystawę przez dziennik „ABC" niejaki J.W.D. relacjonował, że w Paryżu czarni przybysze „śmieją się dziecinnie, przystają przed wystawami, gestykulując żywo, podobni do wesołych... małpek".

Trwającą sześć miesięcy Wystawę Kolonialną zobaczyło 9 milionów widzów.

„HEBANOWI GOŚCIE" PIJĄ HERBATKĘ

Wróćmy jednak do Warszawy, lecz nie do Luna-Parku, tylko do centrum.

„Wczoraj na pl. Józefa Piłsudskiego, w pobliżu kawiarni Hotelu Europejskiego, zgromadził się wielki tłum przechodniów", donosił „Kurier Poranny". Gapiów było tak wielu, że wstrzymali ruch na ulicy. Powodem było „pojawienie się na tarasie kawiarni kilku murzynek, uczestniczek trupy wsi senegalskiej". Tłum rozszedł się dopiero, gdy „hebanowych gości przesadzono do wnętrza lokalu".

„Murzyni" byli nie tylko oglądani, ale także dotykani, wyzywani i wyśmiewani. Angażowano ich do udziału w specjalnych wydarzeniach. Nocne zwiedzanie „efektownej wsi", czyli „56 murzynów, murzynek i murzyniątek", stało się najważniejszą atrakcją zorganizowanej już 9 maja „Szalonej Nocy Zielonego Karnawału".

Z kolei 14 maja podczas „zabawy ludowej" „utalentowana artystka" Kasia, a do tego „60 murzynów z Senegalu" oraz „artyści teatrów stołecznych" mieli przyciągnąć publiczność na kwestę Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego zajmującego się opieką „nad dziećmi emigrantów polskich".

KIM SĄ „SZUWAKSI"?

Prof. Aleksander Jackowski w połowie lat 90. XX wieku wspominał: „Kiedy tylko mogłem, przychodziłem tam [do „murzyńskiej wioski"], zafascynowany egzotyką gości. Rysy, fryzura, kolor ciała, ubiór – wszystko dziwiło. Krzątali się przed chatami z bambusu i wikliny, siedzieli niemal nadzy, lśniący złocistobrunatnymi torsami. Kobiety tkały maty, mężczyźni ostrzyli dzidy i grali na bębnach". To Jackowski – po wojnie specjalista od sztuki ludowej – opowiedział przytoczony na początku dialog o piersiach „młodych Murzynek".

• **Największa atrakcją wystaw były grupy, których uczestnicy prezentowali modyfikacje cielesne, np. płytki wargowe. Pismo „Dzień dobry" artykuł opatrzony powyższym zdjęciem zatytułowało: „Nieprawdopodobna ohyda: Modnisie znad jeziora Czad"** FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Co ciekawe, przeciwstawił czarnych z „wioski" Żydom, których świat wydawał mu się – jako dziecku – „naturalny, jak pejzaż, jak Wisła, jak chłopi z pobliskich wiosek". Nie odczuwał go w kategoriach egzotyki. „Co innego Murzyni!".

Senegalczyków wspominał również Zdzisław Kaliciński, autor książki „O Starówce, Pradze i ciepokach", w 1931 r. 13-latek: „Murzyni byli prawdziwi, mieszkali w zbudowanych przez siebie drewnianych chatkach, gotowali na zewnątrz na ogniskach, tańczyli i grali przed swoimi domami. Ludzie zaś walili oglądać »szuwaksów«, jak nazywali ich warszawiacy. Murzyni nie zwracali uwagi na publiczność, zachowywali się naturalnie, godnie".

Słowo „szuwaks" pochodzi od niemieckiego „Schuhwax" oznaczającego pastę do butów. Czy „godnie" oznaczało – znosili z godnością zachowanie warszawiaków? Kaliciński również zwraca uwagę na erotyczny aspekt wizyt w Luna-Parku i przytacza jedną z wersji popularnej piosenki „Choć na Pragę": „W tym lunaparku/ dziewczynki nagie/ każda na wagę/ ma to, co wiesz!".

„MURZYŃSKI BURDEL" W SZTOKHOLMIE

Z Warszawy „ludzkie zoo" przeniosło się do Szwecji. W połowie czerwca 1931 r. „Senegalbyn" – nazywana przez gazety „Niggerbyn" – rozlokowała się w Gröna Lund (Zielonym Gaju), parku rozrywki na wyspie Djurgarden w Sztokholmie, i była częścią Wystawy Kolonialnej i Wystawy Senegalskiej. „Nie możemy przyjechać do Afryki, Afryka musi przyjechać do nas", mówił podczas otwarcia Gerhard Lindblom, profesor etnografii na Uniwersytecie Sztokholmskim i dyrektor działu etnograficznego tamtejszego Muzeum Historii Naturalnej.

„Dla tych, którzy nie boją się ostrego zapachu murzynów, który jak chmura unosi się nad całą wioską, wizyta u Senegalczyków będzie wyjątkowo zabawnym, edukacyjnym i interesującym doświadczeniem", pisał dziennikarz „Svenska Dagbladet".

Ale pojawiły się też protesty, zdaniem krytyków przybysze byli nie „prawdziwymi Murzynami", lecz artystami estradowymi, zatem park powinien płacić podatek od działalności rozrywkowej. Wybuchła dyskusja, a prof. Lindblom wyjaśniał, że wioska wcale nie była dochodowa, bo grupa, która przyjechała, jest „prymitywna", a gdyby na ich miejsce przywieziono „bardziej rozwinięte plemię", korzyści „naukowe" byłyby większe.

Kontrowersje wzbudziła informacja, jakoby po zamknięciu wystawy w Sztokholmie urodziło się dziewięcioro czarnoskórych dzieci. Dziennik „Lidingö Tidning" nazwał całe wydarzenie „murzyńskim burdelem", gazety pisały o „inwazji czarnuchów". Ponoć istniały „murzyńskie burdele", w których zamężne białe kobiety płaciły za seks z Senegalczykami. Prasa obawiała się, że gdyby z takich kontaktów urodziły się dzieci, osłabiłoby to „naród szwedzki" i stworzyłoby „kolonię Murzynów" w Sztokholmie. Jednak dziennik „Stockholms Tidning" sprawdził w miejscowej porodówce, że nie urodziło się żadne „dziecko murzyna". Åke Sundborg, rzecznik prasowy Gröna Lund, również dementował plotki: „Senegalczycy żyli w ścisłym odosobnieniu i mieli ze sobą żony. Żyli bardzo przykładnie".

O dalszych losach trupy nie mamy informacji.

NIE TYLKO „SENEGALCZYCY"

W Muzeum Etnograficznym w Göteborgu (obecnie Muzeum Kultury Światowej) znajduje się kilkanaście przedmiotów z „senegalskiej" wystawy, m.in. żelazny pierścionek i miecze, które być może były używane w pokazowej walce. Te artefakty, jak ustalili badacze, nie reprezentują wyłącznie „Senegalczyków". Można je powiązać m.in. z grupami etnicznymi z Górnej Wolty (dzisiaj Burkina Faso) czy Bambara, zamieszkującej środkowy bieg Nigru. „Prawdziwi Senegalczycy" byli więc trupą utworzoną z przedstawicieli różnych grup, odgrywających jednak rolę heterogenicznego „plemienia".

Przywódcą grupy był mężczyzna podpisywany jako „Sow Amadou Lamine", którego odnajdujemy na fotografiach w szwedzkich gazetach eksponowanych w göteborskim muzeum.

Pokazy stały się olbrzymim, zarządzanym przez kilka dużych firm przemysłem. Francuzi Jean-Alfred Vigé i Aimé Bouvier czy Niemiec Carl Hagenbeck stworzyli rozrywkę, która przyciągała miliony widzów. Szwajcarska historyczka Rea Brändle udokumentowała, że od drugiej połowy XIX wieku do naszych czasów w 327 miastach Europy zorganizowano ponad 2800 „ludzkich wystaw" określanych dziś jako „ludzkie zoo".

„Sławna na cały świat karawana Syngalezów i Tamilów, mieszkańców wyspy Cejlon, składająca się z 38 osób, mężczyzn, kobiet i dzieci", a do tego cztery słonie, dotarła w kwietniu 1891 r. do Lwowa, informowała reklama prasowa.

Proces tworzenia wystawy zaczynał się od wyboru grupy etnicznej. Poszukiwano zarówno kobiet, mężczyzn, jak i dzieci. Prezentowane grupy musiały być heterogeniczne, a ich członkowie odpowiadać europejskim ideałom piękna lub – w kontraście – reprezentować typ odrażającego „dzikusa". Ludzie na wystawie nie mogli być nieśmiali – mieli nawiązywać kontakt z widzem, często w celu sprzedaży „rękodzieła".

PRZYPADEK SARA-KABA

Największą „atrakcją" były grupy, których uczestnicy prezentowali modyfikacje cielesne, np. płytki wargowe zwane „labretami", czyli dyski wkładane do wyciętego w górnej lub dolnej wardze otworu. Noszące je kobiety z zamieszkującego Czad ludu Sara (zwane dawniej Sara-Kaba) jeszcze w latach 20. i 30. XX wieku były sensacją wystaw etnograficznych. Apogeum ich popularności była paryska wystawa kolonialna z 1931 r.

Wspominany już korespondent dziennika „ABC" kryjący się pod inicjałami J.W.D. widział w Paryżu m.in. „murzynki z drewnianymi półmiskami w dolnej wardze". I się dziwił: „Prymitywizm tych ludzi jest zadziwiający. Żadna z murzynek nie wie, ile ma lat". W hotelu „dzikuski", jak je określa, „zanieczyściły pokoje", a finalnie udało się znaleźć im miejsce w... ogrodzie zoologicznym w Lasku Bolońskim.

O Saryjkach pisały nawet pisma dla dzieci. „To, co my uważamy za szkaradne zniekształcenie, w Afryce się podoba", informowało „Moje Pisemko", tygodnik „obrazkowy" dla dzieci.

Jednej z ostatnich wystaw Saryjek towarzyszyła broszura, w której autor – afrykanista Paul Germann z Muzeum Etnologicznego w Lipsku – pisze, że prezentują „starą, czystą, pierwotną kulturę murzyńską". Czy na pewno były to Saryjki? Modyfikacji dokonywały kobiety z wielu plemion, a informacje podawane przez organizatorów „wystaw" niekoniecznie odzwierciedlały ich prawdziwe pochodzenie. Dochodziło nawet do tego, że czarnoskórzy Afrykanie ubrani w „indiańskie" stroje byli pokazywani w Manchesterze jako „kanibale".

Niektórzy badacze szacują, że w „ludzkich zoo" wystąpiło ponad 35 tysięcy statystów, a ich występy obejrzało niemal 1,5 miliarda widzów. W samych Niemczech w latach 1875-1930 pokazano około 400 grup. Co najmniej 100 z nich zorganizował Hagenbeck. Większość grup pochodziła z Azji. Wśród Afrykańczyków najczęściej występowali: Somalijczycy, Nubijczycy, mieszkańcy Kamerunu i Dahomeju (dzisiaj Benin). Atrakcyjni byli Azjaci: rdzenna ludności z Tajwanu, Ajnowie z Hokkaido, Czerkiesi, Syngalezi, a nawet Koreańczycy.

„Ludzkie zoo" – zwane „wystawami etnograficznymi i zoologicznymi" – najczęściej można było oglądać w państwach posiadających kolonie – Francji, Wielkiej Brytanii i krajach niemieckojęzycznych. Oprócz wielkich wystaw kolonialnych – w 1907 r. w podparyskim Nogent-sur-Marne „ludzkie zoo" obejrzało 2,5 miliona zwiedzających – występy trup odbywały się również w mniejszych miejscowościach. W 1889 r. grupa Dahomejczyków dotarła nawet do Lublina.

Z ZAWODU „DZIKUS"

Naukowcy chętnie współpracowali z organizatorami „wystaw etnologicznych", potwierdzali, że „dzicy" są prawdziwi, a ich występy to nie tylko parateatralny występ, ale też szansa na poznanie obyczajów Senegalczyków czy

eprasa.pl 404822a087

Inuitów. Dzięki tym „eksperckim” opiniom organizatorzy unikali płacenia podatków, które musiały uiszczać np. cyrki – w Niemczech wynosił on nawet 40 procent. Byli też zwolnieni z koncesji wymaganych od wędrownych handlarzy. W końcu nie sprzedawali „towaru”, ale jedynie prezentowali „rękodzieło”. Natomiast naukowcy mogli przeprowadzać „badania” czy gromadzić przedmioty przez nich przywiezione lub wyprodukowane w trakcie wędrówki.

Pokazy grup obejmowały tańce, grę na instrumentach, inscenizowane walki, czasem nawet ze zwierzętami. W wioskach Hagenbecka odgrywano np. atak na domostwa lub porwania kobiet. Większość uczestników „ludzkiego zoo” była kimś na kształt aktorów, którzy podążali za scenariuszem napisanym przez organizatorów. Pod koniec XIX wieku „bycie dzikusem” stało się zawodem – niektóre kraje lub miasta wymagały, by członkowie trupy byli zaszczepieni i mieli podpisane umowy.

Termin „ludzkie zoo” nie był wówczas używany, został spopularyzowany dopiero na początku XXI wieku przez francuskiego badacza Pascala Blancharda. Występy „dzikich” zresztą często organizowali ci sami ludzie, którzy tworzyli ogrody zoologiczne. Hagenbeck, twórca najgłośniejszych trup, był przedsiębiorcą dostarczającym ogrodom zoologicznym zwierzęta. Zresztą jeszcze na początku XX wieku czarnych traktowano czasem jak zwierzęta. W Nowym Jorku Pigmej z plemienia Mbuti (Kongo Belgijskie) o imieniu Ota Benga był pokazywany w klatce z szympansami.

Jednak termin „ludzkie zoo” nie bierze pod uwagę wielu uwarunkowań „ludzkich wystaw”, jak choćby tego, że wielu uczestników świadomie decydowało się na taką pracę i – przynajmniej prawnie – prawie nigdy nie była to niewola. Badacze postulują używanie określeń takich jak „wystawy etnologiczne” czy „przemysł etnologiczny” na całość zjawisk związanych z ekspozycjami, w których brali udział ludzie.

DZIENNIK ABRAHAMA ULRIKABA

Znamy zaledwie kilka relacji osób, które pracowały w „ludzkich zoo”. Najsłynniejsza to „dziennik podróży” Inuity Abrahama Ulrikaba, członka jednej z trup wystawowych Hagenbecka.

Pochodzący z Labradoru we wschodniej Kanadzie mężczyzna – podobnie jak inni zaangażowani w wyprawę Inuici – zmarł w Europie na ospę. Norweg Johan Adrian Jacobsen, który zwerbował Inuitów, ich nie zaszczepił, mimo że wymagało tego niemieckie prawo. Pisany w języku inuktitut dziennik zaginął, ale misjonarz Carl Gottlieb Kretschmer, który próbował odwieźć Inuitów od wyjazdu do Europy, wcześniej przetłumaczył go na niemiecki.

Wydany w 2005 r. dziennik Ulrikaba pokazuje, że choć Inuici sami zdecydowali się na udział w „wystawie”, a wynagrodzenie było atrakcyjne, to nie wiedzieli, jakie będą tego konsekwencje. „Nie mieli przede wszystkim pojęcia o charakterze pokazu, o konieczności nieustannego bycia na widoku, braku prywatności, wszechobecności tłumów, hałasu itp.”, pisze etnolog Bogdan Zemanek.

KONIEC „WYSTAW ETNOLOGICZNYCH”

Popularność „ludzkich zoo” pod koniec lat 20. XX wieku malała. Zdaniem badaczy przyczyną był nie tylko rozwój kina, ale też rosnący opór samych „rdzennych” ludów. Na początku lat 30. XX wieku trzeba było widzów przekonywać, że przyjezdni są „naturszczykami”, a nie artystami, którzy udają tubylców. Zmieniło się również podejście badaczy, wśród których ugruntował się pogląd, że antropologię czy etnologię należy uprawiać w terenie, a naukowe wyprawy do Azji czy Afryki stały się powszechniejsze.

Uważa się, że zorganizowana przez Hagenbecka wystawa „Kanakowie z Południowego Pacyfiku” na monachijskim Oktoberfest w 1931 r. była ostatnią w Niemczech przed II wojną światową. Naziści nie byli przekonani do „wystaw etnologicznych”, choć niektórzy chcieli je wykorzystać do prowadzenia propagandy kolonialnej i utrwalania rasistowskich poglądów. Większość jednak krytykowała wystawy za umożliwianie kontaktu białych z czarnymi.

„NIECH SIĘ MURZYN NIE PANOSZY”

W Warszawie w 1930 r. wielkim powodzeniem cieszyła się grana w kabarecie Qui Pro Quo operetka „Czarno na białem” z gościnnym występem czarnych muzyków. „Wszystkie bez wyjątku numery tych fenomenalnych artystów są gorąco oklaskiwane”, donosił „Kurier Czerwony”. „Murzyni ci są świetnie wygimnastykowani, imponują giętkością, ekwilibrystyką tańca i brawurą”, zachwycała się gazeta.

Nie wszystkim jednak się podobali, bo w końcu odbierali pracę polskim, a czasy były kryzysowe. „Nasze muzykusy chodzą smutni, głodni,/ niejeden bez spodni,/ A tu się kosztowny naraz wyskok czyni,/ Z zagranicy walą do Polski murzyni”, narzekała „Mucha”. I postulowała, by magistrat warszawski nie wpuszczał „artystów obcych do Warszawy”.

• Zdjęcie z „wioski afrykańskiej” prezentowanej podczas wystawy w Liège w 1930 roku. Podpis: „Jak zastąpić dziecięcy wózek?”

FOT. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI COLLECTION RADAUER / HUMANZOOS.NET

„Niech się tutaj murzyn, ni nikt nie panoszy./ Niech stąd zagranica nie wywozi groszy”

W czerwcu 1931 r. weszło w życie zarządzenie, że zagraniczni artyści powinni opuścić kraj. Nie ma co żałować – pisał „Nowy Kurier” – „»artystycznych gwiazd« murzyńskich, siejących dokoła siebie jedynie bezmyślność i głupotę”. Epoka, gdy tłumy chciały obejrzeć „dzikusa”, powoli mijała. Już za chwilę rasistowskie teorie sprawią, że nie trzeba będzie innego koloru skóry, by stać się zwierzyną łowną. ●

Przedwojenna ortografia została uwspółcześniona, o ile nie stanowi integralnej części konceptu (np. dowcipu). Ujednolicono zapis nazwy parku „Luna-Park”. Autor dziękuje Jackowi Dehnelowi za inspirację

Historia krzepi

Prekursorka edukacji zdrowotnej

Gdy Eugenia Lewicka zaczęła propagować zdrowy tryb życia, wylała się na nią fala hejtu.

Nałęcz

Wśród przyczyn nieudanego wprowadzenia do szkoły edukacji zdrowotnej jest też słaba znajomość historii przez autorów tego przedsięwzięcia. Gdyby wiedzieli, na jakie trudności napotkali poprzednicy, lepiej przygotowaliby swoje działanie. Warta przypomnienia jest zwłaszcza Eugenia Lewicka, prekursorka zdrowego trybu życia, kobieta pod każdym względem nieprzeciętna. Jak wspominał jeden z pamiętnikarzy „był to typ kresowej, stepowej panny, o silnym charakterze, dużej odwadze cywilnej w wypowiadaniu swoich myśli i o naturalnym, młodzieńczym poczuciu humoru”.

Urodziła się w 1896 roku w Czerkasach koło Kamieńca Podolskiego. Tam skończyła gimnazjum i w 1915 rozpoczęła studia medyczne w Kijowie. W latach 1919-1921 ofiarnie leczyła chorych na tyfus plamisty, plagę tamtych czasów. Działała też w skautingu skupiającym kijowską młodzież, dumną ze swej polskości. Kiedy Ukraina trwale wpadła w łapy bolszewików, opuściła ziemię przodków.

W 1923 roku, jak wielu kresowych tułaczy, dotarła do Warszawy. Dokończyła studia, uzyskując w 1925 dyplom doktora nauk lekarskich. Wierzyła, że odrodzona Polska potrzebuje sprawnego umysłowo i fizycznie młodego pokolenia. By to urzeczywistnić sięgnęła po najlepsze wzory wychowania fizycznego, zwłaszcza szwedzkie i duńskie. Studiowała fachową literaturę i wyjeżdżała na praktyki do Skandynawii.

Zdobytą wiedzę wcielała w życie w uzdrowisku w Druskiennikach, gdzie od 1924 roku pracowała w wakacje jako lekarka. W leczeniu wykorzystywała powietrze, słońce i ruch. Kobiety zachęcała do uprawiania sportu, zastrzeżonego wtedy dla mężczyzn. Dzięki jej staraniom powstała plaża nad Niemnem, basen pływacki, korty tenisowe, boiska do siatkówki i ćwiczeń fizycznych w plenerze.

Garnęły się do niej kobiety, ale jeszcze liczniejsi byli zwalczający jej aktywność tradycjonaliści. Runęła na nią lawina prawicowego hejtu, wspieranego przez Kościół katolicki. Kiedy po stu latach czyta się te oskarżenia, bardzo przypominają współczesny hejt dezawuujący edukację zdrowotną. Wtedy też rozdzierano szaty nad gorszącą młodzież demoralizacją, używając do tego przekłamań i zmyśleń, mówiących m.in. o zmuszaniu kobiet do publicznego ćwiczenia nago.

Lawina obskurantyzmu i kłamstwa nie pogrzebała jednak dzielnej prekursorki zdrowego trybu życia. Nieoczekiwanie zyskała potężnego sojusznika w osobie marszałka Józefa Piłsudskiego. Zbliżyła do siebie te dwie, jakże różne indywidualności, wspólna idea. Architektowi niepodległości zabiegającemu o siłę państwa też marzyło się rozwinięte umysłowo i fizycznie młode pokolenie. Jako wódz potrzebował takiego właśnie żołnierza.

Ogromną rolę odegrała też miłość, która nieoczekiwanie połączyła 60-letniego marszałka z 30-letnią lekarką. Wiele wskazuje na to, że stało się to już latem 1924, podczas rodzinnego wypoczynku Piłsudskich w Druskiennikach. Kochankowie starannie ukrywali swój związek przed światem. Marszałek był wówczas liderem opozycji. Walczył o powrót do władzy i ujawnienie sensacji, dyskredytującej go jako wzorowego ojca rodziny, na pewno by mu zaszkodziło.

W maju 1926 Piłsudski dokonał zamachu stanu i przejął pełnię władzy. W przeciwieństwie do obecnych decydentów, którzy autorów edukacji zdrowotnej pozostawili własnemu losowi, mocno wsparł pomysły Lewickiej. Do ich realizacji wykorzystał całą moc państwa. W pół roku po przewrocie, w styczniu 1927, powstał Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Marszałek stanął na czele jego Rady Naukowej a dr Lewicka została sekretarzem tego gremium. Pod takim protektoratem sprawy wychowania fizycznego nabrały ogromnego impetu, zaś ciągle ukrywający romans partnerzy zyskali uzasadnienie dla swoich spotkań.

Ta krzepiąca, jeśli chodzi o zdrowy tryb życia historia, dla jej głównych bohaterów nie skończyła się jednak happy endem. Kochankowie rozstali się i to w kulminacyjnym momencie znajomości, podczas wielotygodniowego wspólnego pobytu na Maderze na początku 1931 roku. Musiało stać się coś dramatycznego, bo Lewicka nagle opuściła wyspę i samotnie wróciła do kraju. Kilka miesięcy później znaleziono ją nieprzytomną, z objawami zatrucia środkami chemicznymi. Zmarła dwa dni później nie odzyskując przytomności. Wszystko wskazuje na to, że popełniła samobójstwo. Jej śmierć odmieniła Piłsudskiego. Zgorzkniał i skazał się na dojmującą samotność.

Za to wspólne dzieło tragicznych kochanków, czyli propagowanie przez II Rzeczpospolitą zdrowego trybu życia i tężyzny fizycznej miało się bardzo dobrze, w przeciwieństwie do marnych losów obecnej edukacji zdrowotnej. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

eprasa.pl 404822a087

Na Smoczej KWITŁO ŻYCIE

Mieszkało tam czterdzieści tysięcy ludzi, tyle, co w małym mieście w Izraelu.

Z **BENNYM MEREM*** ROZMAWIA **MATEUSZ DEMSKI**

• **Ulica Smocza, między Pawią a Dzielną w kierunku Nowolipek, okres międzywojenny** FOT. FORUM STOWARZYSZENIA OBRONY POZOSTAŁOŚCI WARSZAWY

MATEUSZ DEMSKI: Dlaczego akurat Smocza?
BENNY MER, AUTOR KSIĄŻKI „SMOCZA. BIOGRAFIA ŻYDOWSKIEJ ULICY W WARSZAWIE”: Wielu mi to pytanie zadaje, a ja sam nie umiem sobie na nie odpowiedzieć. Smocza nie była najważniejszą ulicą Warszawy, daleko jej do takiego miana. Nie mieszkali na niej bogaci i sławni ludzie. To była ulica mówiąca w jidysz, ulica drobnych fabryczek i warsztatów, małych bożnic i bazarów. Ani chrześcijańscy warszawiacy, ani zasymilowani Żydzi się tam nie zapuszczali. To była ulica żydowskiego ludu, wyraźnie biedniejsza od zamożniejszej i elegantszej Grzybowej czy Twardej.

Wyróżniała się jeszcze jakoś na tle innych społeczności żydowskich?
– Isaac Bashevis Singer pisał, że każda żydowska ulica w Warszawie była samodzielnym miastem – miała swoje historie, swoje własne legendy. Kiedy Smocza uchodziła za bastion Bundu, Krochmalna była nazywana „małą Moskwą” i „twierdzą komunistów”. Dla odmiany ulicę Nalewki zamieszkiwało drobnomieszczaństwo. Na Smoczej żyło 40 tysięcy ludzi, to tyle, ile w małym mieście w Izraelu. Są to więc uogólnienia, ale po latach wszystkie te ulice zlały się ze sobą tak bardzo, że zaczęto mówić o jednym zaułku.

Jak udało ci się wydobyć z niego Smoczą?
– Nie chcę przesadzać, ale podejrzewam, że Smocza, mimowolnie, obiła się o uszy każdemu, kto interesuje się kulturą jidysz. Po raz pierwszy zobaczyłem tę nazwę w wierszu „Moja siostra Chaja” Binema Hellera. Chawa Alberstein, izraelska piosenkarka, skomponowała do niego muzykę. Utwór stał się dużym przebojem. Heller został okrzyknięty „poetą ulicy Smoczej” wiele lat po wojnie. Poza tym jej śladów pozostało niewiele.

Zaintrygowało mnie, że Smocza została zaniedbana przez literaturę, przez historyków. Każdy zna Nalewki, a nawet Krochmalną, bo to ulica Bashevisów Singerów i Janusza Korczaka. Ale nikogo nie interesowało, co ma do powiedzenia Smocza. Inna sprawa, że obrosła niezliczonymi mitami. Mieczysław Orłowicz w swoim „Przewodnik po Warszawie” sarkastycznie komentuje życie na Smoczej, widzi w niej tylko bylejakość, prymitywizm i brzydotę. Polskie gazety utrwaliły stereotyp Smoczej jako zagłębia zbrodni, zakłócania porządku, które szpeci krajobraz miasta. Te zdania będą często powielane dalej.

Jacek Leociak we wspaniałej pracy „Biografie ulic. O żydowskich ulicach Warszawy” korzysta w zasadzie głównie z polskich źródeł. Nawet Bashevis Singer operował kliszami, pisząc o Smoczej w kontekście skandali i domów publicznych.

Gdy żydowski pisarz Lejb Malach przyjechał do Warszawy z Paryża, napisał o Smoczej: „miejsce – śmietnisko”. To samo w sobie motywowało mnie do odkrywania historii nie tyle ulicy, ile jej mieszkańców.

W latach 30. XX wieku w Warszawie mieszkało 375 tysięcy Żydów. To drugie co do wielkości miejskie skupisko ludności żydowskiej na świecie. Więcej liczyła tylko społeczność w Nowym Jorku.
– Badacze twierdzą, że w tym czasie na samej Smoczej Żydzi stanowią 95 procent mieszkańców. Nie była to jednak żydowska ulica od samego początku. Smocza swoją nazwę otrzymała w 1770 roku, natomiast Żydzi zaczęli się tam osiedlać dopiero sto lat później.

Lata 30. XX w. to czas, kiedy żyją już w zasadzie we własnym gronie. Polacy czuli się tam obco i zaczęli się przenosić. Ale były też wyjątki. Właścicielką kamienicy przy Smoczej 28 była Amelia Reiff, pochodząca z polskiej rodziny o niemieckich korzeniach. Nie żyła odizolowana od otoczenia. Nauczyła się mówić w jidysz, najprawdopodobniej z musu.

Piszesz, że dla Żydów w Warszawie okresu międzywojennego najlepszym sposobem manifestowania tożsamości narodowej – wobec braku własnego rządu i autonomii – był właśnie język.
– Na Smoczej jidysz było słychać wszędzie. Jednak później to się zmieniło. Wielu młodych Żydów przeszło na język polski. Zaczytywali się w poetach polskiego pochodzenia, szczególnie w Tuwimie, który był zwolennikiem asymilacji. Bywali też w kawiarniach, gdzie przesiadywali polscy literaci. Młodzi byli bardziej świadomi współczesnego świata w przeciwieństwie do rodziców, którzy wyszli ze sztetli i ortodoksyjnych domów. Szukali akceptacji w polskim społeczeństwie. Nie zawsze, delikatnie mówiąc, ją znajdowali.

Po śmierci Józefa Piłsudskiego nasiliły się antysemickie nastroje, o których za dużo w książce nie piszę, bo rzeczywistość, jak zwykle, była bardziej złożona, a nie chciałbym powielać stereotypowych wyobrażeń. Nie ma jednak co kwestionować, że ataki na Żydów były coraz częstsze, to zmuszało żydowskie ulice, jak Smocza, do samoobrony. Trudniej było bronić się przed tym, co niewerbalne. Odsetek studentów Żydów na polskich uniwersytetach w 1925 roku wynosił ponad 20 procent, pod koniec lat 30. spadł do ośmiu.

Powołujesz się na teksty młodych polskich Żydów i Żydówek, które powstawały w latach 1932-39. Pisano je w jidysz, po polsku i po hebrajsku. Te autobiograficzne zapiski pokazują, że nowe pokolenie wyrastało w różnych systemach wartości.
– To oczywiście najlepiej widać po zmianach w systemie oświaty. W latach 30. na rogu Smoczej i Nowolipek powstała sieć żydowskich szkół. Kontrast między nimi był olbrzymi. Jedną ze szkół prowadziła hebrajska organizacja Tarbut, która umacniała nastroje syjonistyczne. Od pierwszej klasy dzieci uczono, by negować diasporę i myśleć o budowie kraju Izrael. Kawałek dalej działała szkoła Ciszo, świecka i ludowa, w duchu Bundu, którego działacze uważali, że Żydzi powinni pozostać w Polsce.

Syjonizm kusił młode umysły obietnicą nowego życia i przyszłości gdzie indziej, poza ciasną żydowską uliczką. Bund obiecywał za to nowe lepsze jutro. Był też komunizm z wizją budowy równiejszego, sprawiedliwszego świata. Każdy posługiwał się słowem „przyszłość” na własny użytek.

Z trudem przychodzi mi mówienie o tym, ale warszawska społeczność żydowska nie była jednością. Trudno mówić o zjednoczeniu, więzi raczej osłabły. Widać było wewnętrzną walkę na tle ideologicznym, partyjnym, klasowym. Bund i syjoniści nawzajem zwalczali swoje idee. Wielu młodych Żydów chciało

eprasa.pl 404822a087

należeć do jakiegoś stronnictwa, gdzieś się udzielać i za czymś się opowiedzieć. Zdarzały się manifestacje i burdy. Te starcia toczyły się nawet w getcie. W ubiegłym tygodniu widziałem dokumentalny film o Marku Edelmanie. O ruchu syjonistycznym opowiada w nim nie tyle z niechęcią, ile ze strachem.

Smocza uchodziła za synonim dzielnicy nędzy, gdzie miały panować bieda, głód i występek. Jak bardzo ten wizerunek pokrywał się z rzeczywistością?
– Trzeba zwrócić uwagę na różnice w artykułach, jakie pojawiają się w polskiej i żydowskiej prasie. W różnych gazetach te same wydarzenia niekiedy całkiem niewinne były różnie opisywane: w zależności od tego, czy ktoś patrzył z zewnątrz, czy ze środka. Różnica polegała na tym, że prasa polska pisała o Smoczej w jednoznacznie sensacyjnym tonie, co utrwalało wyobrażenia o niej. Sensacja przysłoniła szansę na zrozumienie tego mikrokosmosu.

Lata 30. to okres kryzysu gospodarczego, pogrążyła się w nim nie tylko Smocza. Bezrobocie, eksmisje, upadające przedsiębiorstwa, przeludnione kamienice i wyrzucanie ludzi na bruk – nie były to wcale rzadkie sytuacje w okresie międzywojennym w Warszawie. Nie było dnia, żeby gazety nie pisały o eksmisjach albo o osobach, które z ich powodów odbierały sobie życie. Ze Smoczej 9 wyrzucono prawie dwieście osób, w tym starców i samotne matki z dziećmi. Smocza nie była wyjątkiem, ale skupiała, jak w pigułce, problemy całego miasta.

Ale podkreślasz: przy Smoczej mieszkali nie tylko nędzarze.
– Smocza miała swoje wyjątkowe barwy, głosy i zapachy. Mówiła mi o tym Necha Apfelbaum, jedna z dwóch osób, do których dotarłem, pamiętających jeszcze przedwojenny żydowski świat. Urodziła się w kamienicy przy Smoczej 1. W takim budynku mieszkało nieraz tysiąc osób, to było ludzkie mrowisko omijane przez wielkie historyczne narracje.

Sąsiedzi Nechy mieli fabrykę żyrandoli. Ktoś inny miał warsztat w mieszkaniu, ktoś w tym czasie grał na mandolinie. W innym budynku mieścił się popularny teatr, na którego miejscu później otworzyło się kino.

W całej Warszawie istniało wówczas, co wyliczasz w książce, 50 teatrów jidysz i najprawdopodobniej drugie tyle różnych organizacji i stowarzyszeń.
– Przy ulicy Tłomackie 13 działała siedziba Żydowskiego Związku Literatów i Dziennikarzy. Trudno zliczyć wszystkie biblioteki i czytelnie, kawiarnie i kina. Teatr był popularną rozrywką, bilety kosztowały 50 groszy, działały w soboty. Nawiasem mówiąc, sklepy również otwierały się w soboty, przez prawo, które zabraniało Żydom handlu w niedziele. Dziennie wychodziło dziewięć dzienników jidysz. Dziś wydaje się to niepojęte.

O Smoczej pisze się przez pryzmat biedy, przestępczości, natomiast nikt nie myślał wówczas o dorastających tam dzieciach i ich ogromnym potencjale. Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale u zbiegu Smoczej i Nowolipek stoi skwer Józefa Rotblata. Był fizykiem, wybuch wojny zastał go w Liverpoolu, stamtąd trafił do Ameryki i został zaangażowany do projektu Manhattan, przez co przyczynił się do skonstruowania bomby atomowej. Po wojnie założył ruch antymilitarny i otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Smocza powraca w wierszach wspomnianego Binema Hellera. Dla niego ta biedna żydowska ulica nie była powodem do wstydu. Wprost przeciwnie – pisał, że pochodzenie jest jego bogactwem.

Na dzisiejszej Smoczej nic nie jest jednak takie jak przed 1945 rokiem.
– Smocza w mojej głowie zawsze była jedną z ulic getta warszawskiego, niedaleko znajdował się Umschlagplatz. Zależało mi jednak, żeby nie pisać o Zagładzie, ale o życiu, które zostało przez nią pochłonięte. W Izraelu nie rozmawiamy o tym, co istniało przed wojną. Holocaust stał się fundamentem zbiorowej tożsamości, osią narracji historycznej, ale nie wraca się do tego, co było przedtem, do żydowskiego życia w przedwojennej Polsce.

Widziałem to na przykładzie mojej rodziny. Dziadkowie odcięli się od języka polskiego, od swoich korzeni. Mój ojciec urodził się w Polsce w 1932 roku, wychował się w Pułtusku, ale po wybuchu wojny uciekł do wziętego przez Sowietów Białegostoku. Potem został ewakuowany do Kazachstanu. W 1946 wrócił na chwilę do Polski, ale rodzina nie chciała pod żadnym pozorem tu zostać, to był czas pogromu kieleckiego. Trafił do obozu dla przesiedleńców utworzonego w Niemczech i stamtąd wyjechał do Izraela. Nigdy nie tęsknił za Polską, aż do roku 2000, kiedy przyjechaliśmy tu całą rodziną. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem ojca mówiącego po polsku. Powiedział, że poczuł się jak w domu.

Zaszedłeś w odwiedziny na Smoczą?
– Zachodzę tam każdego razu, jak jestem w Polsce, ale po żydowskim życiu nie ma śladu. Ulica w terenie przebiega dokładnie tak, jak przebiegała przed wojną. Ale nic nie jest jak dawniej. Nie ocalał ani jeden budynek, ani przedwojenny bruk. Zachowało się tylko kilka fotografii z tamtego czasu. Co chwilę jednak pojawia się coś nowego, co przypomina o istnieniu dawnej Smoczej. Kiedyś widziałem tam mural Chawy Rosenfarb, poetki jidysz. Kawałek dalej, na Dzielnej, jest inny mural, z wizerunkiem Racheli Auerbach.

Czasem, kiedy tamtędy przechodzę, próbuję wyobrazić sobie tamtą ulicę. W mojej głowie ożywają różne opowiastki ze Smoczej: przy numerze 42 pewien jegomość założył się z przyjaciółmi, że zje 30 kiszek, wepchnął w siebie 18, po czym wrócił do domu i umarł. Przy Smoczej 57 mieszkał szklarz, którego nawiedzał duch, demon teściowej.

Kiedy mnie pytają, dlaczego ważna jest pamięć o Smoczej sprzed wojny, zawsze mówię: tych, którzy przepadli, należy szukać. I to próbuję zrobić. Aby nie odeszli w cień, muszą pozostać zapiski z ich życia. Zaspokajam tym również swoją ciekawość. Bo to jak ciemna, nieodkryta strona historii. Zaznajamianie się z nią jest zawsze wartością dodaną. ●

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Benny Mer (właśc. Benjamin Majersdorf)

• ur. 1971 – izraelski dziennikarz, znawca kultury jidysz. Autor przekładów, m.in. dzieł Szolema Alejchema i Awroma Suckewera oraz poezji dla dzieci.

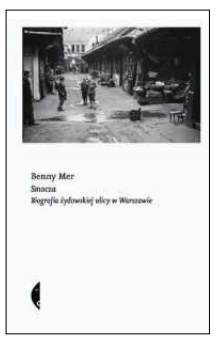

Smocza. Biografia żydowskiej ulicy w Warszawie

Benny Mer, tłum. Piotr Paziński
Wydawnictwo Czarne

Jasne strony dziejów

Dwutorowość

W październiku 1990 roku III RP stworzyła fundamenty wschodniej polityki. Dalekowzroczność ówczesnych decyzji budzi podziw do dziś.

Brzeziecki

Po prawdzie wszystko zaczęło się kilka miesięcy wcześniej. A może nawet wiele lat wcześniej. Na politykę III RP wobec Wschodu składały się bowiem idee paryskiej „Kultury”, posłanie „Solidarności” z 1981 roku, publicystyka krajowych autorów. Chodziło o takie ułożenie relacji z sąsiadującymi z nami narodami, by uniknąć konfliktów. Potencjał wrogości był wielki. Oczywiście, dziś możemy się śmiać z ówczesnych obaw Litwinów o Wilno, Ukraińców o Lwów albo Polaków o granicę na Odrze i Nysie. A przecież dziś na naszych oczach próbuje się zbrojnie zakwestionować granice z 1991 roku.

Polacy pogodzili się z utratą Kresów. Jako pierwsza ogłosiła to „Kultura”, co było oczywiście robieniem z konieczności cnoty, bo Jerzy Giedroyc nie miał możliwości przesunąć wschodniej granicy ani o centymetr. Ale on i jemu podobni mogli kształtować mapy wyobrażone.

Relacje z Litwinami albo Ukraińcami mogły naprawdę przybrać zły obrót po 1989 roku. Zwłaszcza jeśli idzie o polską mniejszość na Litwie, która, w dużej mierze wierna Moskwie, zaczęła roić coś o autonomii. W Przemyślu także szybko wybuchł konflikt z Ukraińcami. Nie groziła nam więc wojna na wzór jugosłowiańskiej, ale zamieszki i walki uliczne jak w Siedmiogrodzie już tak.

Dla Tadeusza Mazowieckiego i Krzysztofa Skubiszewskiego celem nadrzędnym było zabezpieczenie polskich reform. Byli ostrożni, bo uważali, że w Polsce komuniści mogą jeszcze zechcieć przejąć władzę. Bali się także, że międzynarodowa koniunktura, czyli zmiany w Związku Radzieckim, może się skończyć, co przy radzieckim wojsku stacjonującym nad Wisłą niczego dobrego nie przyniesie. Pucz Janajewa w 1991 roku pokazał, że były tam siły chcące cofnąć czas.

Mając to wszystko na uwadze, Mazowiecki ze Skubiszewskim postępowali roztropnie. Gdy w marcu 1990 roku Litwini ogłosili niepodległość, Polska przywitała ów akt przychylnie. Mazowiecki był w stałym kontakcie z władzami Litwy, a w czerwcu 1990 roku przyjął w kraju premier Kazimierę Prunskiene?

Właśnie wtedy w polskim MSZ zjawił się 32-letni do niedawna opozycjonista Grzegorz Kostrzewa-Zorbas. To on był architektem polityki dwutorowej, czyli utrzymywania relacji ze Związkiem Radzieckim jako takim, ale jednoczesnego rozwijania relacji z dążącymi do niepodległości republikami, tak jakby chodziło już o zaprzyjaźnione państwa.

Skubiszewski z Mazowieckim wdrażali plan przedstawiony przez Kostrzewę-Zorbasa. W październiku 1990 roku Skubiszewski wyruszył w podróż do Moskwy, Kijowa i Mińska. Moskwa była wówczas podwójną stolicą – Związku Radzieckiego i Republiki Rosji, z którą Polska była gotowa budować dobre relacje. Co prawda, w naszej ambasadzie nie bardzo wiedziano, gdzie znajduje się MSZ Rosji, ale gdy już tam Polacy dotarli, okazała się pierwszą delegacją, którą przyjął szef rosyjskiej dyplomacji rozpoczynający właśnie tego dnia urzędowanie.

W Kijowie Polakom poszło dobrze, w Mińsku gorzej – nawet usłyszeli jakieś sugestie na temat rewizji granicy, bo Białystok jakoby powinien należeć do Białorusi. Skubiszewski podczas tego tournée celowo ominął Wilno, aby podkreślić specjalny status Litwy, będącej de facto już poza imperium.

Polacy uparcie budowali swoją renomę państwa, które nie sprawia kłopotów, a wręcz stara się je rozwiązywać

Polska wówczas zaprezentowała się jako państwo szukające dialogu z sąsiadami i starające się przezwyciężyć trudne dziedzictwo historii. Właśnie ta podróż Skubiszewskiego, która dowartościowała Ukrainę i Białoruś (a także budzącą nadzieję Jelcynowską Rosję) i podpisane wtedy dokumenty dały Polsce kapitał na wiele lat. Skubiszewski stale też wysyłał emisariuszy do krajów bałtyckich, by nawiązywali tam relacje.

Zachód przyglądał się Polsce. Początkowo nie był przekonany, że można ją wpuścić do swego grona. Polacy jednak uparcie budowali swoją renomę państwa, które nie sprawia kłopotów, a wręcz stara się je rozwiązywać. Reformy gospodarcze i przewidywalność sprawiły, że zaproszono nas do NATO i UE. Każdy fałszywy krok, każda międzynarodowa rozróba z udziałem Polski mogły te zaproszenia opóźnić o rok, dwa, może więcej. Bez pierwszego rozszerzenia NATO także następne trudno byłoby sobie wyobrazić.

Do NATO weszliśmy w marcu 1999 roku, sześć miesięcy później premierem Rosji został Władimir Putin. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

eprasa.pl 404822a087

UPADEK DRUGIEGO KRÓLA

Wyniesienie na tron Mieszka II Lamberta wywołało wśród zachodnich elit oburzenie. Nazwały go „fałszywym chrześcijaninem i mordercą”.

• **Księżna Matylda Szwabska wręcza księgę liturgiczną Mieszkowi II Lambertowi, grafika z XI wieku Domena publiczna**

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 404822a087

Przemysław Urbańczyk

W atmosferze rocznicowego entuzjazmu wywołanego tysiącleciem koronacji Bolesława Chrobrego tylko marginalnie wspominano o równie przecież ważnej historycznie koronacji jego syna Mieszka II Lamberta (1025-1031). Nie miała ona niepowtarzalnego waloru pierwszeństwa i, prawdę mówiąc, prawie niczego o niej nie wiemy poza tym, że na pewno do niej doszło.

Nie sposób też ustalić jej dokładniejszej daty w przeciwieństwie do koronacji ojca, która musiała nastąpić przed śmiercią Bolesława 17 czerwca 1025 roku. Próbowano wskazywać na 25 grudnia, zgodnie z założeniem, że takie uroczystości połączone z namaszczeniem świętymi olejami, a więc mające ważny wymiar sakralny, musiały być wyznaczone w dni najważniejszych świąt kościelnych, w Wielkanoc w przypadku Chrobrego i w Boże Narodzenie, gdy chodzi o Mieszka II.

Pomijając te nieweryfikowalne domysły, zastanówmy się, jakie były konsekwencje drugiej polskiej koronacji, która, podobnie jak wyniesienie Bolesława, wywołała oburzenie zachodnich komentatorów, którzy podnosili jej uzurpacyjny charakter. Żaden z dwóch piastowskich królów nie skonsultował bowiem swych planów z władcą cesarstwa niemiecko-italskiego Konradem II (1024-1039), który rościł sobie pretensje do wyrażania na to zgody.

ŚWIĘTE OBURZENIE

Panującą na cesarskim dworze atmosferę dobrze oddaje wpis w „Roczniku Hildesheimskim”, według którego Mieszko II „królestwo Słowian przywłaszczył sobie wbrew cesarskiemu majestatowi”. Jeszcze dalej posunął się rocznikarz kwedlinburski, który nazwał młodego króla „fałszywym chrześcijaninem i mordercą”. Z kolei autor dużo późniejszych „Roczników Magdeburskich” potępił go wręcz, jako „antychrysta, Beliala, krwawego potwora i prześladowcę chrześcijan”.

Mimo tego propagandowego oburzenia nie podważano legalizmu samej koronacji, która – widać – została przeprowadzona zgodnie z formalnymi wymaganiami stosownych procedur. Mogła na to mieć wpływ świadomość, że żona Mieszka II, Rycheza, jako siostrzenica cesarza Ottona III, pochodziła wszak po kądzieli z cesarskiej dynastii Ludolfingów. Trudno więc było kwestionować jej królewski status, a wiemy, że też została ukoronowana, bo w różnych źródłach zgodnie tytułowano ją „królową Polaków/Polski”.

Odmienne było nastawienie ówczesnej opozycji wewnątrzniemieckiej, która wspierała roszczenia do cesarskiego tronu kandydata, który ostatecznie przegrał rywalizację z Konradem II. Tę frakcję arystokratyczną reprezentuje księżna Lotaryngii Matylda Szwabska, która posłała Mieszkowi poprzedzoną uroczystym listem dedykacyjnym cenną księgę liturgiczną przechowywaną dziś w bibliotece uniwersyteckiej w Düsseldorfie.

List ozdabiała, niestety zachowana dzisiaj tylko w kopii, piękna miniatura zatytułowana jednoznacznie: „Tę księgę Matylda daje królowi Mieszkowi”. W liście, który jest właściwie panegirykiem na jego cześć, księżna kreśli obraz Mieszka II jako władcy niemal idealnego. Miał być bowiem: niezwyciężony, sprawiedliwy, roztropny, odważny, świetnie wykształcony i pełen cnót prawdziwie chrześcijańskich.

Jeśli nawet miała to być głównie propagandowa przeciwwaga dla negatywnego nastawienia dworu cesarskiego, to trudno uznać to wszystko za czcze pochwały czy wręcz wymysły bez żadnego pokrycia w rzeczywistości. Mieszko II był bowiem od wielu lat wyznaczony na następcę tronu i starannie przygotowywany przez Bolesława Chrobrego do monarszych zadań. Jeździł w imieniu ojca z poselstwami dyplomatycznymi i dowodził polskimi wojskami. Jego status podkreślono nawet emisją srebrnych monet jednoznacznie opisanych MISICO. Zapewne miały one przygotować ludzi do jego sukcesji na piastowskim tronie.

OTOCZONY PRZEZ WROGÓW

Przejęcie władzy nastąpiło bezproblemowo – całkiem nie jak w klanie piastowskim, którego specjalnością były spory wewnątrzdynastyczne i problematyczne sukcesje. Widocznie autorytet Bolesława Chrobrego, który zdołał spacyfikować wszelkie przejawy opozycji politycznej, i strach przed jego gniewem przeważyły nad pokusą wykorzystania okazji do kłótni o tron. Poza tym jego śmierć była widać takim zaskoczeniem dla wszystkich, a Mieszko II zareagował tak szybko, że ewentualni kontestatorzy jego sukcesji nie zdążyli się zorganizować.

Jeżeli Bolesław nie przeprowadził przezornie jego koronacji równocześnie ze swoją własną, to Mieszkowi II szybko udało się założyć koronę królewską. Mimo oburzenia cesarskich komentatorów rytuał koronacyjny nadawał mu status uprzywilejowany – zarówno na scenie polityki wewnętrznej, jak i geopolitycznej. Namaszczenie miało wymiar sakralny, stawiając go nie tylko ponad wszystkimi poddanymi, ale też ponad członkami własnej rodziny.

Mieszkowi II przydawano kiedyś przydomek Gnuśny, obciążając całą odpowiedzialnością za rozpad piastowskiego królestwa. A przecież Bolesław Chrobry zostawił mu dziedzictwo nie do utrzymania – państwo, któremu nadał kształt niemożliwy do obrony przed otaczającymi je samymi wrogami, którzy tylko czyhali na okazję do rewanżu za swoje dawne klęski

Potem też szło mu zupełnie dobrze, bo zaawansowany wiek – w 1025 roku miał 35 lat – i duże doświadczenie polityczne zdobyte u boku ojca ułatwiły mu sprawowanie rządów. Przez jakiś czas skutecznie bronił się przed atakami ze strony cesarstwa, Czech i Rusi, a nawet przeprowadził dwie niszczycielskie inwazje na Saksonię. W końcu jednak uległ przewadze współpracujących ze sobą sąsiadów, co doprowadziło najpierw do podziału, a potem upadku państwa piastowskiego.

Dwór piastowski nigdy nie był oazą spokoju i wzajemnej lojalności, ale za życia Bolesława Chrobrego nie słychać o żadnych problemach. Trudno przypuszczać, żeby zniknęły naturalne napięcia wewnątrzrodzinne, ale po brutalnej rozprawie w 992 roku z macochą i przyrodnimi braćmi nikt chyba nie miał odwagi, aby ujawnić ambicje, które podważałyby dominującą pozycję przywódcy rodu.

Musiały się tam jednak tlić podskórne konflikty i napięcia. Walnie przyczynił się do nich sam Chrobry, którego liczne dzieci urodzone przez trzy żony, ambitna niemiecka synowa i co najmniej jedna znana ze źródeł kochanka tworzyli mieszaninę, której wybuchowi zapobiegał tylko autorytet władcy znanego ze skłonności do brutalnych reakcji.

Drugie niebezpieczeństwo kryło się we frustracji sąsiadów, których Bolesław wielokrotnie pokonał na polu bitwy. W cesarstwie nie zapomniano upokarzających porażek militarnych z lat 1005-1017 i straty ważnego strategicznie rejonu Łużyc i Milska na górnym Połabiu. Czesi nie raz ucierpieli od Chrobrego z powodu swojego sojuszu z cesarstwem, a jeszcze stracili na rzecz Polski Morawy i Słowację. Ruś poniosła duże straty wizerunkowe, finansowe i terytorialne (Przemyśl i Grody Czerwieńskie) w wyniku wojny przegranej latem 1018 roku.

Jak słusznie zauważył Anonim Gall (ks. I, 17), Mieszko II „stał się przedmiotem nienawiści dla wszystkich sąsiadów, a to skutkiem nienawiści, jaką żywili do jego ojca”. Rządzący w sąsiednich państwach Ludolfingowie, Przemyślidzi i Rurykowicze nie zapomnieli przecież o swoich krzywdach. Siedzieli cicho, dopóki bali się skutecznego odwetu swojego arcywroga, ale tylko czekali okazji do rewanżu za swoje dawne upokorzenia. Nadzieją natchnęła ich śmierć króla Bolesława 17 czerwca 1025 roku.

PRZEMILCZANI BRACIA MIESZKA II

Sąsiedzi bez problemu znaleźli preteksty do interwencji w wewnętrzne sprawy królestwa piastowskiego. Wstawili się bowiem za skrzywdzonymi braćmi Mieszka II – starszym Bezprimem i młodszym Ottonem, którzy decyzją Chrobrego nie dostali udziału we władzy, a przez królewskiego brata zostali na wszelki wypadek wypędzeni z Polski. A przecież zgodnie z prawem zwyczajowym nie tylko każdy syn zmarłego władcy, ale też każdy męski członek dynastii miał prawo ubiegania się o tron, a co najmniej oczekiwał stanowiska, samodzielnych rządów w jakiejś dzielnicy zapewniającej godny status i godziwe życie.

Spory na tym tle to klasyka średniowiecznej rzeczywistości chyba we wszystkich państwach. Tymczasem polscy kronikarze próbowali ukryć tę przypadłość, pomijając milczeniem nawet istnienie wielu synów władców piastowskich.

Wzorem Anonima Galla kreślili uładzoną wizję dynastycznej przeszłości, w której począwszy od praprzodka Piasta, zawsze był tylko jeden dziedzic korony książęcej, a potem królewskiej. Stwarzało to obraz uproszczony, z gruntu fałszywy.

Na szczęście o licznych kontrpretendentach do tronu nie zapominali zewnętrzni obserwatorzy rozwoju polskiej sytuacji politycznej, która wbrew propagandowym zabiegom rodzimych historyków pełna była kryzysów sukcesyjnych. To dzięki obcym kronikarzom wiemy o braciach Mieszka II i o sprowokowanym przez nich kryzysie politycznym, który ostatecznie doprowadził do upadku drugiego polskiego króla i do rozpadu pierwszego królestwa.

Bezprim był pierworodnym synem Bolesława i nieznanej z imienia Węgierki (być może siedmiogrodzkiej księżniczka Judyty?), która w latach 986-987 spędziła trochę czasu u boku ówczesnego następcy tronu piastowskiego, zanim została bezceremonialnie odesłana na Węgry, bo zarysował się lepszy sojusz polityczny, który przypieczętowano małżeństwem Chrobrego z pochodzącą z zachodu Emnildą.

Zadziwiające jest, że nie wiemy niczego pewnego o losie Bezprima, zanim mając już ponad czterdzieści lat, nie wystąpił przeciw bratu królowi. Podejrzewa się, że mógł w tym czasie mieszkać na matczynych Węgrzech, gdzie zarządzał komitatem Beszprém/Veszprém, albo wręcz przeciwnie – od 1001 roku przebywał na „zesłaniu” w italskim klasztorze. A może cały czas był w Polsce pod kontrolą ojca, który skutecznie tłamsił jego ambicje polityczne?

Niewiele więcej wiemy o młodszym od Mieszka Ottonie Bolesławowicu. Jego „cesarskie” imię daje się wpisać w miękką strategię geopolityczną Ottona III, który zamiast zastraszać, starał się na różne sposoby przeciągać na swoją stronę pogranicznych władców. To samo imię nadano przecież w tym czasie synom władcy Węgier Stefana i doży weneckiego Piotra II Orseolo. Podejrzewano nawet, że cesarz mógł zostać ojcem chrzestnym najmłodszego z Piastów, kiedy w marcu 1000 roku przyjechał do Polski na zjazd gnieźnieński. Drugi raz Otto Bolesławowic wspomniany jest jako wysłannik, który w lutym 1018 eskortował do Polski czwartą żonę swojego ojca, saską margrabiankę Odę Ekkehardównę.

UPADEK „GODNY PŁACZU”

Mieszko II wypędził obu braci z Polski około 1029-1030 roku albo profilaktycznie, albo dlatego, że zbyt aktywnie przeciw niemu knuli, zgłaszając swoje pretensje do udziału we władzy nad państwem. W przeciwieństwie do Chrobrego, który wypędzając swoich przyrodnich braci w 992 roku, ostatecznie pozbył się konkurentów do władzy, dla jego syna ten ruch miał konsekwencje katastrofalne. Po wyjeździe z Polski Bezprim i Otto połączyli wysiłki i zaczęli knuć z wrogami Polski, którzy tylko czekali na dogodną okazję do zemsty za dawne porażki.

Cesarz Konrad II i wielki książę kijowski zaatakowali Mieszka II z dwóch stron, zmuszając go w 1031 roku do ucieczki z Polski. Nieszczęśnik szukał pomocy u swoich krewnych w Czechach, gdzie książę Oldrich/Udalryk (1012-1033 i 1034) go uwięził i nakazał wykastrować, mszcząc się za oślepienie swojego brata Bolesława III przez Chrobrego w 1003 roku. Władzę w Polsce objął początkowo Bezprim, którego okrucieństwo doprowadziło do spisku, w wyniku którego rok później został zamordowany.

Sprowokowało to kolejną interwencję cesarza Konrada II, który 7 lipca 1032 zarządził podział Polski na trzy części rządzone przez sprowadzonego z Czech Mieszka II, jego młodszego brata Ottona i niejakiego Ditricha – prawdopodobnie syna jednego z wygnanych w 992 przyrodnich braci Chrobrego. Po śmierci Ottona w 1033 roku Mieszko II, który wcześniej musiał się zrzec korony królewskiej, jeszcze na krótko zjednoczył państwo, ale po jego nagłej śmierci w maju 1034 nastąpił chaos polityczny połączony z tzw. reakcją pogańską, czyli buntem przeciw Kościołowi utożsamianemu z „reżimem” piastowskim.

Jak napisał cesarski kronikarz Wipon: „Mieszko, książę Polski, zszedł przedwczesną śmiercią, a wiara chrześcijańska tam przez jego poprzedników zaczęta i przez niego lepiej umocniona upadła, niestety, w sposób godny płaczu”.

NIESPRAWIEDLIWE OCENY

Mieszko II Lambert nie zasłużył sobie w polskiej historii na dobrą pamięć. Przydawano mu nawet kiedyś przydomek Gnuśny, obciążając całą odpowiedzialnością za rozpad piastowskiego królestwa, którego siłę z takim trudem zbudował jego wielki ojciec.

A przecież Bolesław Chrobry zostawił mu dziedzictwo nie do utrzymania – państwo, któremu nadał kształt niemożliwy do obrony przed otaczającymi je samymi wrogami, którzy tylko czyhali na okazję do rewanżu za swoje dawne klęski.

Jeśli dodamy do tego spiskujących braci i wewnętrzne napięcia społeczno-religijne, to otrzymujemy zbieg negatywnych okoliczności, które właściwie musiały się skończyć klęską drugiego polskiego króla.

Mieszko II był chyba bardzo dobrze przygotowany przez ojca do rządzenia, ale w dłuższej perspektywie nie był w stanie utrzymać geopolityczne status quo, więc pierwsza monarchia piastowska rozpadła się na kilka lat, dopóki jego syn Kazimierz Odnowiciel w 1039 roku nie zaprowadził ponownie porządku politycznego.

eprasa.pl 404822a087

weekendówka 176

ROŚLINOŻERNI

Jeśli to trzeci piątek października, to – nie, nie, nie jesteśmy w Belgii bynajmniej, parafrazując tytuł pamiętnej komedii z 1969 roku. To oznacza, że nadszedł Światowy Dzień Owoców i Warzyw

Ów wzmiankowany piątek był wprawdzie wczoraj, ale to przecież wcale nie przeszkadza, byśmy „weekendówkowo" poświętowali.

Tym bardziej, że pierwszy taki dzień ustanowiono właśnie 18 października 2013 roku w Nowej Zelandii. Wówczas, z inicjatywy tamtejszej Fundacji „5+ A Day", zorganizowano szereg inicjatyw, które miały na celu zachęcenie dzieci i młodzieży do zastępowania niezbyt zdrowych przekąsek owocami i warzywami.

Skąd to 5+ A Day? Otóż swego czasu, na początku XXI wieku Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) opublikowała raport, w którym zaleciła spożywanie 400 g owoców i warzyw dziennie (bez ziemniaków jednakże!), co miało zapobiegać przewlekłym chorobom, w tej liczbie nowotworom, cukrzycy, otyłości i chorobom serca. I te 400 gramów najlepiej jest spożywać w 5 porcjach dziennie po 80 gramów. Przynajmniej w 5 porcjach, bo te 400 gramów na dzień to rzecz jasna minimum.

Inicjatywy „5+ A Day" rozwijać się poczęły na całym świecie; Wlk. Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Japonii czy Australii (tam jako „Go for 2 & 5" – dwa posiłki oparte na owocach i 5 warzywnych dziennie). Potem jednak zainteresowanie akcją spadło, aż do wzmożenia nowozelandzkiego właśnie.

No bo warzywa i owoce to skarb w czystej postaci. To, że mają witaminy, to wie każdy. Ale takie cytrusy, dzięki flawonoidom, pomagają wzmocnić ściany naczyń krwionośnych. Granat, zwany owocem młodości, ma silne właściwości przeciwzapalne. Szpinak to kopalnia żelaza i magnezu (Popeye nie mógł się mylić!), czosnek to naturalny antybiotyk, dzięki uwalnianej po rozgnieceniu allicynie, a buraki dotleniają mięśnie i rozszerzają naczynia krwionośne, dlatego sportowcy piją je często przed zawodami.

Marchewka chroni skórę przed promieniowaniem UV i działa świetnie na cerę, na skórę zbawiennie działa też zawarty w pomidorach likopen, warto też sięgać po papaję – ta wygładza skórę.

Banany, dynia czy awokado sprawiają, że mamy piękniejsze, zdrowsze, bardziej elastyczne i połyskliwe włosy, zaś jabłka dają prawdziwego energetycznego kopa.

„Bo my musimy być dziś mniej pazerni, roślinożerni, roślinożerni" – śpiewali Zenon Laskowik z Bohdanem Smoleniem w „Z tyłu sklepu". Cóż, mieli rację, choć pobudki pieśni, były oczywiście zgoła inne... Smacznego! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

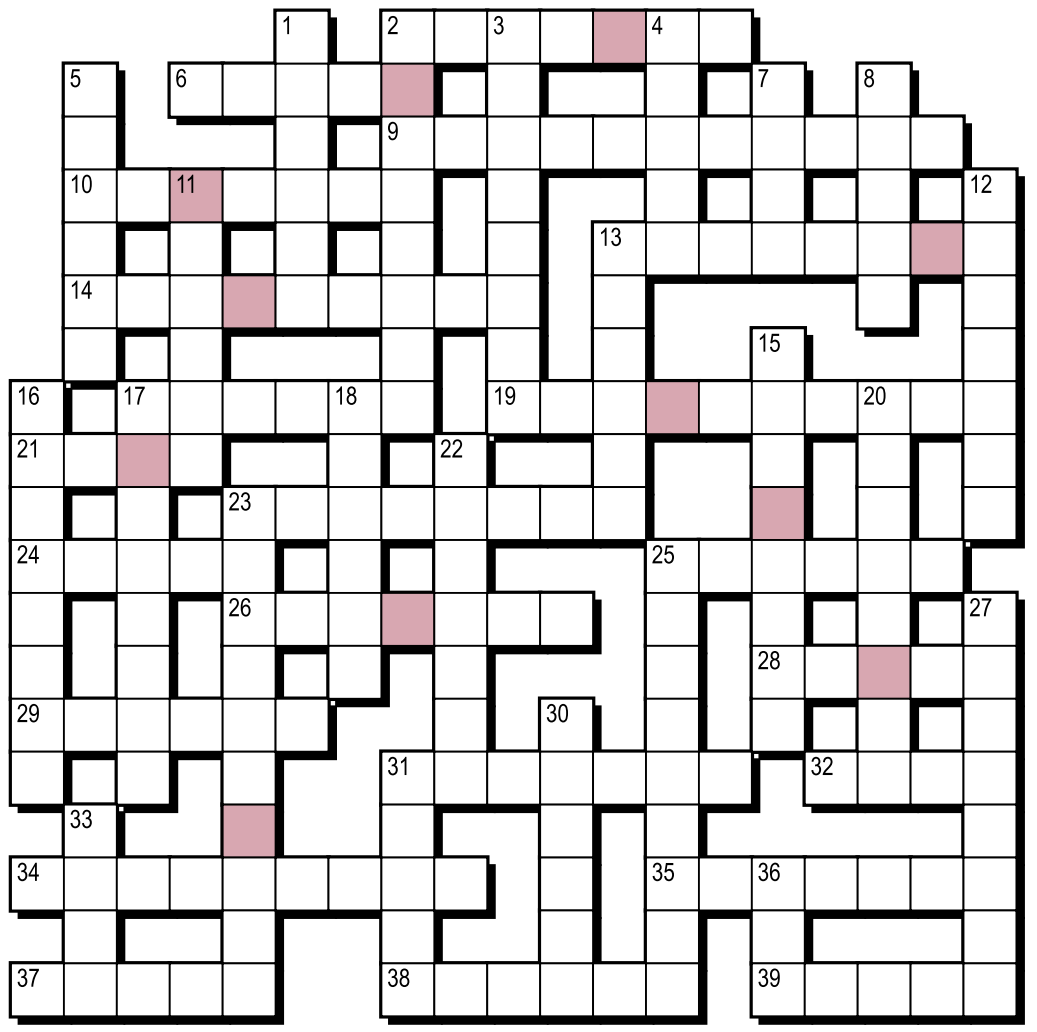

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 175 z 11.10:

Poziomo: 1) wyrąb 3) mahoń 7) leszczyna 8) dendrolog 10) robinia 11) bez 13) topole 15) buk 17) bazie 18) jabłonie 19) lipa 20) las 22) jarzębina 23) koń 24) renkloda 26) brzoza 30) palmiarnia 32) ulica 34) ałycza 35) kasztany 38) eukaliptus 39) korkodąb

Pionowo: 1) wiatr 2) banany 3) morwa 4) owoce 5) sekwoja 6) czereśnia 8) dąb 9) jodły 11) brzoskwinia 12) zieleń 14) wierzba 15) baobab 16) klon 17) balata 18) jawory 21) mandarynka 25) osika 27) rwacz 28) olcha 29) jarząb 31) rokita 32) użytki 33) bale 36) susz 37) tek

HASŁO:
ZAGAJNIK BLISKO RZEKI

WARZYWA I OWOCE
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) modra albo pekińska
6) ... Czereśniowa w Londynie, znana wielbicielom Mary Poppins
9) „Jakubek i ... olbrzymka", powieść dla dzieci Roalda Dahla
10) równie kwaśna jak cytryna
13) brokuł, który zbladł?
14) czarne lub czerwone, na krzaczku działkowicza
17) owoce w sałatce śródziemnomorskiej
19) warzywo w wiosennym pęczku
21) odmiana gruszy o dużych, wydłużonych owocach
23) odmiana jabłoni odporna na mróz
24) ktoś zdrów jak ... (warzywo)
25) ostry składnik ćwikły
26) inna nazwa rabarbaru
28) drzewo rodzące lubaszki, renklody, węgierki
29) kiwi, ale nie owoc
31) zielony, idealny do młodych ziemniaczków
32) ... natury
34) młode warzywa ukazujące się po raz pierwszy w sezonie
35) ziarna warzyw, kwiatów
37) cebulki bliskie miłośnikom komiksów?
38) rzymska lub lodowa
39) kojarzy się z Halloween

Pionowo:
1) „W Japonii ... zakwitły o dwie pory roku wcześniej", w piosence Kaśki Sochackiej
2) dynie szparagowe
3) pomidorowy – w słoiczku lub puszce
4) tropikalna roślina warzywna, której twarda okrywa może służyć jako naczynie
5) warzywniaki
7) owoc z makiem z pasternakiem
8) sączenie soczku, nektaru, koktajlu
11) kulisty owoc z dużą pestką w środku
12) owoce bez zawleczek
13) wczesna odmiana marchwi (z liter wyrazu „kotara")
15) pnącze z owocami, które mogą stać się rodzynkami
16) inna nazwa bakłażana; gruszka miłosna
17) fistaszek
18) deser z mąki ziemniaczanej, soku owocowego, wody i cukru
20) A, B, C, D lub PP
22) owocowo-warzywne – w supermarkecie
23) ziemniaczki
25) sercówka z sadu
27) warzywa lub owoce zakonserwowane w occie z dodatkiem przypraw
30) szalotka
31) jego wysuszony miąższ to kopra
33) cztery ... roku
36) obiekt zainteresowań pomologa

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34392298

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 404822a087